

SOWA W KUCHNI, BONO W BIEDZIE, HUELLE PODRABIA MANNA

PRZE

Numer 21/2970 26 maja 2002 r.

KROŹ

Cena 3 zł 50 gr
(w tym 7% VAT)

BEN GURION
ojciec Mossadu
nie żyje, ale
MOSSAD
działa i zabija



Indeks 371424 • Y-9013-C

Całkiem nowy wiersz Tadeusza Różewicza

JUŻ W KIOSKACH!



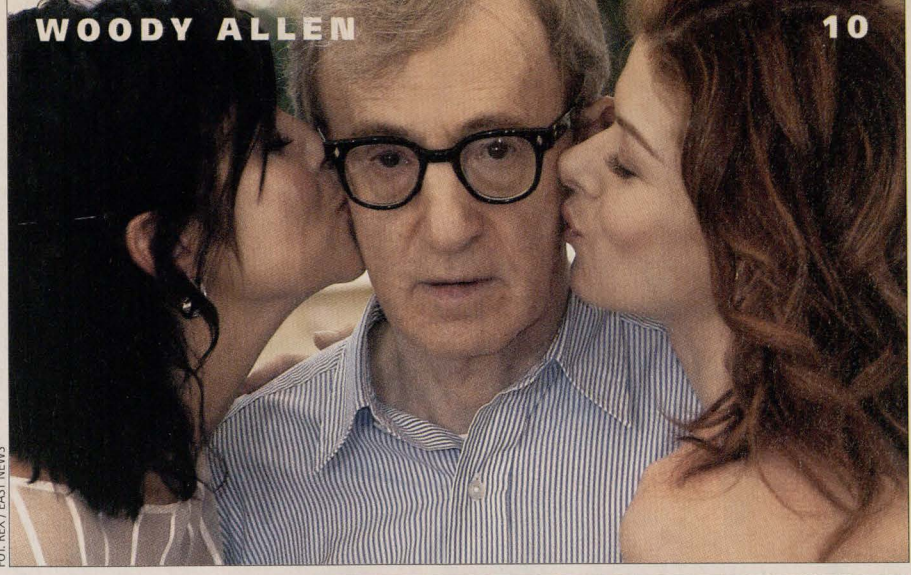
EKSKLUZYWNY
DODATEK
„Gwiezdne wojny.
Atak klonów”



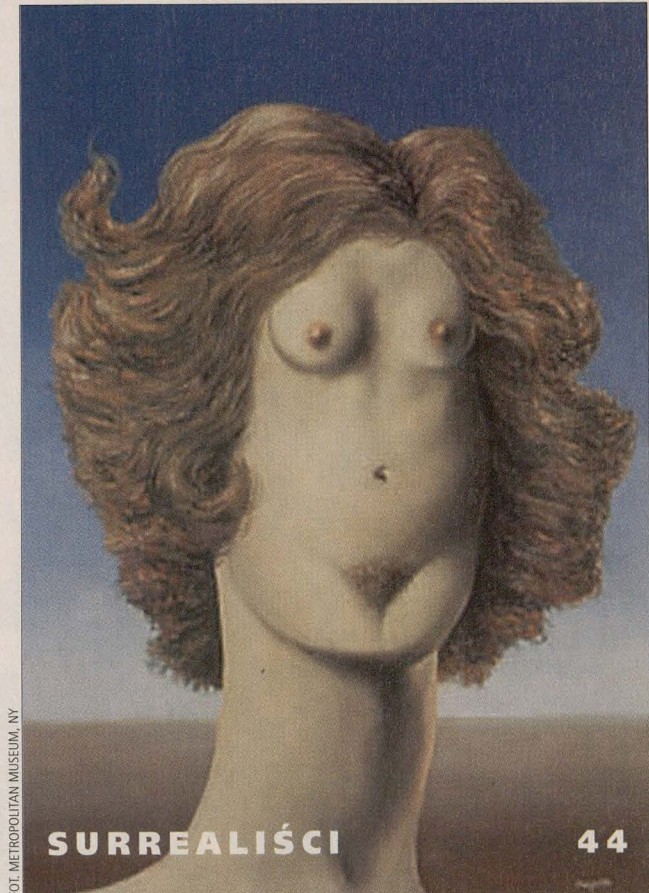
SŁODKI
PREZENT
BATONIK MÜSLI
CORNÝ



- 4 Ilustrowany „Przekrój” tygodnia
 - 7 Sensacja – Sztuka porąbana
 - 8 Rozmowa z Marcinem Wroną o jego nowojorskiej nagrodzie
 - 9 Atak zdziennienia – felieton Bartłomieja Sienkiewicza
 - 10 Co ja tu robię? – wywiad „Przekroju” z Woodym Allenem
 - 12 Wódka, pozwól żyć! – happening warszawskich aktorów
 - 15 Nowy wiersz Tadeusza Różewicza
 - 16 NIKE – nominacje 2002
 - 18 Na początku był chaos, potem Mossad – Michał Wójcik
 - 25 Tadeusz Rolke na II Triennale Fotografii w Hamburgu – rozmowa
 - 28 Przez żołądek do nogi – rozmowa z kucharzem polskiej reprezentacji piłkarskiej
 - 31 List z Holandii – Peter Dijkema
 - 32 Werner Herzog – filmowiec ekstremalny – Krzysztof Stanisławski
 - 37 Polska Angola – Christiaan van Lierop
 - 38 Pro publico BONO – Filip Łobodziński o kolejnej charytatywnej akcji gwiazdy rocka
 - 42 Cyborg – to zabrzmie dumnie – Waldemar Sadowski
 - 44 Uprasza się dotykać – Jan Gondowicz o wystawach surrealistów
 - 49 Prowokacje i obciachy – Jarosława Krawczyka prywatna historia malarstwa
 - 50 Manu Chao – występny internacjonal – Filip Łobodziński
 - 52 Zapraszamy do piekła – Michał Komar o nowym przekładzie Dantego
 - 55 Odgrzewane kotlety Reicha-Ranickiego – Zbigniew Bochenek
 - 56 Książki – „Pogaduszki” Ludwika Jerzego Kerna
 - 58 Literatura – Paweł Huelle, fragment noweli „Castorp”
 - 64 Kici kici, felietony Małgorzaty Baranowskiej i Jerzego Bralczyka
 - 66 KULINARNE PIÓRO POLSKI
 - 67 Hoff – Talia jedzie?
 - 68 Piątka klepka, Myśli, Obraz wyrażen, Stefania Grodzierska odpowiada, Senniczek
 - 70 Kto mi pomoże? – Alicję Resich-Modlińską odpytuje Maria Czubaszek
 - 71 Listy
 - 74 CO PAN NA TO, PANIE LEM?
 - 76 Rozmaitości
- 9, 30, 40, 41, 64, 65, 68, 69 Pan Stanisław z Łodzi Marka Raczkowskiego



FOT. REX / EAST NEWS

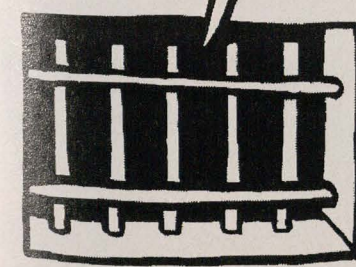


FOT. METROPOLITAN MUSEUM, NY

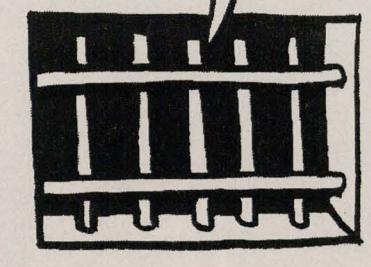
SURREALIŚCI

44

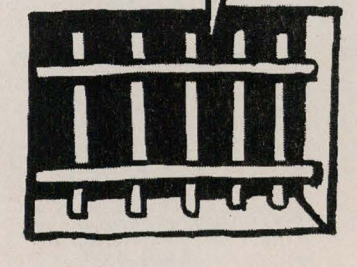
... SPYTAŁEM
POLICJANTA
O DROGĘ...



... ON MI JĄ WSKA-
ZAŁ, A JA NIĄ
POSZEDŁEM...



... I TUTAJ
TRAFIŁEM.



WILHELM SASNAL



Chcemy do mamy!

Zaledwie sześć lat po prywatyzacji Stoczni Szczecińskiej powraca w państwowe ręce. Zakład, który jeszcze do niedawna był piątą stoczną na świecie i gospodarczą wizytówką Szczecina, dziś tonie w długach. Skarb państwa przejmie zobowiązania wobec banków, które z kolei udzielią stoczni dodatkowych kredytów na wznowienie produkcji. Pracownicy mają nadzieję, że „nowy” właściciel wypłaci im zaległe pensje. Ponowne przejęcie Stoczni Szczecińskiej będzie pierwszą reanacjonalizacją w historii polskiej gospodarki po roku 1989.

Półtora tysiąca stoczniovców zablokowało ruch w Szczecinie, domagając się wypłaty zaległych pensji i wznowienia produkcji przez stocznnię



W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

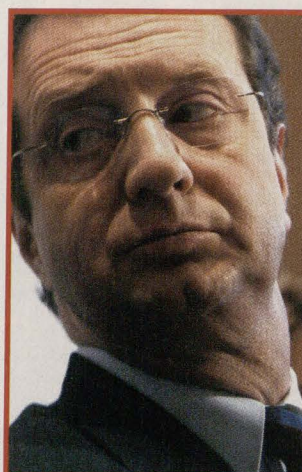
...o najnowszych badaniach Instytutu Marki Polskiej, z których wynika, że najbardziej znanym, a często jednym rozpoznawalnym, polskim produktem w Europie jest wódka. Większość Europejczyków, z wyjątkiem Francuzów, uważa nas za brudasów i niechlujów.

...o wygranym przez Polskę 1:0 meczu z Estonią, ostatnim sparingu Polaków przed mistrzostwami świata, w którym jedyną ciekawą rzeczą był fakt, że trener Engel wypróbował aż 22 graczy. Wszyscy grali tak sobie.

...o holenderskich hodowcach, którzy ujawnili, że marchewki pierwotnie były fioletowe. Pomarańczowa odmiana jest dziełem XVI-wiecznych holenderskich hodowców-patriotów, którzy uznali, że marchewki powinny mieć rodową barwę dynastii oranżkiej.

...o filmie „Devdas”, najnowszej i najdroższej produkcji indyjskiego Bollywood, którą zgłoszono do festiwalu w Cannes. W trzygodzinnej sadze o miłości i władzy grają najślawniejsi indyjscy aktorzy: Shahrukh Khan, Madhuri Dixit i Aishwarya Rai (miss świata 1994). Jak mówi reżyser Sanjay Leela Bansali, film jest skrzyżowaniem „Zakochanego Szekspira” i „Moulin Rouge”.

18 maja rozpoczął się sezon pieszych pielgrzymek na Jasną Górę. Jako pierwsza do Częstochowy dotarła 347. pielgrzymka łowicka z księdzem biskupem Józefem Zawitkowskim na czele (i na zdjęciu)



MYŚL TYGODNIA

Zostałem dotknięty
bardzo dotkliwie, ale i słusznie.

Marek Pol, wicepremier
i minister infrastruktury,
który za spóźnione
oświadczenie majątkowe
utraci w tym roku
trzynastą pensję poselską



„Księżna de Cleves”
Cranacha Starszego
skradziona
przez Breitwiesera
z domu aukcyjnego
w Eaden-Baden.
Obecnie francuscy żołnierze
przeszukują dno kanału,
do którego matka złodzieja
wrzuciła antyki



Sztuka porabana

31-letni Francuz
ukradł
z europejskich
muzeów 60 obrazów
i ponad sto antyków
ogromnej wartości.
Na wieść o jego
aresztowaniu matka
złodzieja porabiała
obrazy, a antyki
wrzuciła do kanału

Stephane Breitwieser z pewnością trafi do Księgi rekordów Guinnessa. W ciągu ośmiu lat ukradł 50 muzeów we Francji, Szwajcarii, Belgii, Austrii, Holandii i Niemczech. Zrabował dzieła o łącznej wartości prawie półtora miliarda dolarów. Miał 24 lata, kiedy z domu aukcyjnego w Baden-Baden skradł pierwszy obraz – malowidło Lucasa Cranacha Starszego.

Co najciekawsze, Breitwieser nie sprzedał ani jednego ze zrabowanych dzieł. Kradł z zamiłowania do sztuki. W sypialni w domu swojej matki w Eschentzwiller (Alzacja) zgromadził niezwykle cenną kolekcję: malowidła Pietera Breughela Młodsze, Antoine'a Watteau, Francois Bouchera, Corneille'a de la Haye i Cranacha. Do tego zabytki ze srebra, brązu i kości słoniowej, fajanse, średniowieczną broń, inkunabuły, XVIII-wieczną porcelanę i zabytkowe instrumenty muzyczne. W sumie 60 obrazów i 112 antyków. Wszystkie „eksponaty” wyniósł w biały dzień z domów aukcyjnych i małych europejskich muzeów. Przez osiem lat po za matką nikt nie wiedział o jego ukrytej pasji.

Wpadł na trąbce. W listopadzie ubiegłego roku szwajcarska policja przyłapała go na próbie kradzieży XVII-wiecznego instrumentu z muzeum Wagnera w Lucernie. Gdyby nie wściekłość matki, być może po krótkim pobycie w więzieniu Breitwieser mógłby powrócić do swojej kolekcjonerskiej pasji.

Ze złości na syna, który dał się aresztować, matka złodzieja postanowiła usunąć

„graty” z jego pokoju. Jak wyjaśniła policja, „trzeba było posprzątać w domu”. Na nieszczęście europejskiego dziedzictwa kulturowego pani Breitwieser nie znała się na sztuce. Obrazy porabiała i wyrzuciła do śmieci, a antyki „zdeponowała” w pobliskim kanale. Policja trafiła na trop kolekcji, gdy ludzie zaczęli przynosić ze spacerów XVII-wieczne srebra. Pani Breitwieser została aresztowana w ubiegłą środę, a Stephane przyznał się do kradzieży dzieł zniszczonych przez matkę.

Zamiłowanie do sztuki Breitwieser odziedziczył po dziadku, malarzu. Kradzieże z kolekcji muzealnych rozpoczął w Szwajcarii, gdzie przyjechał pracować jako kelner. Wybierał małe, prowincjonalne kolekcje, które nie posiadały odpowiednich zabezpieczeń. Obrazy wycinał z ram i podobnie jak antyki niepostrzeżenie wynosił pod płaszczem.

Jak dotąd policja nie trafiła na żaden ślad po zniszczonych malowidłach. Jeśli matka złodzieja mówi prawdę, szczątki obrazów spłonęły w jednej z francuskich spalarni śmieci. Większość antyków wyłowionych z kanału po renowacji powróci do macierzystych muzeów. Stephane Breitwieser odsiedzi długi wyrok. Ciekawe, co francuska prokuratura poczyni z Mireille Breitwieser. Czy można karać rozwścieczoną matkę za to, że w swojej ignorancji wbiła siekiere w obraz Lucasa Cranacha Starszego?

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

Nagrodzony, kompletnie oszołomiony



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Marcin Wrona odbiera nagrodę, a Scorsese bije mu brawo

20-minutowa etiuda „Człowiek Magnes” Marcina Wrony zdobyła nagrodę dla najlepszego filmu studenckiego i wyróżnienie dla filmu krótkometrażowego na Tribeca Film Festival w Nowym Jorku. Pomysłodawcą imprezy jest Robert De Niro. Poza Marcinem Wroną nagrodzeni zostali: Dylan Kidd (najlepszy film fabularny – „Rodger Dodger”), Daniel Junge (najlepszy dokument – „Chiefs”), Natalia Almada (najlepszy film krótkometrażowy – „All Water Has A Perfect Memory”).

„Człowiek Magnes” to opowiedziana z humorem historia relacji ojca i syna. Niespodziewanie ojciec odkrywa w sobie zdolności bioenergoterapeutyczne i całkowicie poświęca się nowej pasji. Już nie syn, tylko kolejni pacjenci – a raczej pacjentki – są dla niego najważniejsi... W rolach głównych wystąpili Ewa Kasprzyk, Zdzisław Wardejn i Andrzej Basiukiewicz. Autorem zdjęć do filmu jest Paweł Flis.

Marcin Wrona (lat 27) jest absolwentem filmoznawstwa na UJ, ukończył III rok reżyserii na Wydziale Radia i Telewizji w Katowicach. Studiuje w Mistrzowskiej Szkole Reżyserii Filmowej Andrzeja Wajdy.

W najbliższym czasie etiudę „Człowiek Magnes” można zobaczyć na festiwalach w Krakowie (27.06, kino Mikro), Łagowie (23–30.06) i Kazimierzu (2–11.08). W sierpniu film będzie miał premierę w Canal+.

(MaSa)

Z MARCINEM WRONĄ, ZDOBYWCĄ NAGRODY ZA NAJLEPSZY FILM STUDENCKI TRIBECA FILM FESTIWAL, ROZMAWIA MAŁGORZATA SADOWSKA

MAŁGORZATA SADOWSKA: Jak to jest – odbierać nagrodę na festiwalu w Nowym Jorku?

MARCIN WRONA: To było niesamowite uczucie! Podczas odbierania nagród musiałem coś powiedzieć i naprawdę przyszło mi to z trudem. Na wprost mnie siedzieli: De Niro, Martin Scorsese, Kevin Spacey, Frances McDormand, Al Pacino... Scorsese to dla mnie papież kina i fakt, że był na sali i jeszcze bił mi brawo, był dla mnie największym wyróżnieniem.

I co powiedziałeś?

– Że to chyba pomyłka!

Jak „Człowiek Magnes” trafił na festiwal?

– To czysty przypadek. O Tribecę dowiedziałem się od Amerykanina poznanego na festiwalu w Clermont-Ferrand i po prostu wysłałem zgłoszenie. Później powiedziano mi, że w selekcji znalazło się około dwóch tysięcy filmów. Do konkursu zakwalifikowało się 30. Dodam, że w moim bloku były wszystkie – czyli trzy – filmy spoza Stanów Zjednoczonych i uchodził on za „blok filmów egzotycznych”...

To pierwsza edycja Tribeca Film Festival. Jaki charakter ma ta impreza?

– Festiwal – zrobiony z ogromnym rozmachem – odbywał się na dolnym Manhattanie, miejscu tragedii z 11 września. Głównym celem imprezy toczącej się pod hasłem „Wracamy do domu” było przywrócenie życia tej części miasta. Nie liczyłem na żadne nagrody, trochę jednak podejrzywałem, że „Człowiek Magnes” może się spodobać Amerykanom... Przede wszystkim dlatego, że ma charakter dość osobistego wyznania, a oni to lubią.

Osobistego wyznania?

– Tak, jest to historia oparta na faktach z mojego dzieciństwa. Kiedy byłem w podstawówce, rodzice postanowili się rozwieść. Jednocześnie ojciec doznał olśnienia i postanowił leczyć – zresztą jest skuteczny. Uznałem, że to dobry temat na film: z jednej strony rozpad więzi z najbliższymi, z drugiej gotowość wspierania innych ludzi.

Czy ojciec widział film? Co o nim myśli?

– Widział, ale chyba nie jest specjalnie zachwycony. Robiąc film, liczyłem na to,

że złapiemy kontakt – a od jakiegoś czasu nie mówiliśmy tym samym językiem. To był najważniejszy powód, dla którego zdecydowałem się opowiedzieć swoją historię.

Udało się „złapać kontakt”?

– Nasze relacje nie stały się lepsze ani gorsze, ale bardziej szczerze. O wielu sprawach w mojej rodzinie zaczęło się mówić otwarcie. Więc warto było zrobić ten film. Poza tym, analizując różne sytuacje rodzinne na potrzeby scenariusza, zrozumiałem pewne rzeczy, których nie byłem w stanie pojąć, będąc dzieckiem.

Dlaczego nie zdecydowałeś się zrobić dokumentu o sobie – jak choćby Marcin Koszałka w „Takiego pięknego syna urodziłam”?

– Nie chciałem się aż tak bardzo grzebać w swojej przeszłości. Fundowanie sobie i swojej rodzinie tego typu psychodramy zupełnie mnie nie pociągało. Poza tym wybór fabuły pozwolił mi na zabawę formą, która nadała tematowi lekkość.

Na czym polega ta zabawa?

– Film kręcony jest częściowo na taśmie, częściowo na becie i kamerą cyfrową. Są fragmenty animowane, przypominające „Dobranockę”. Chodziło mi o uzyskanie struktury *collage'u* i o kicz. Bo świat, w jakim obraca się mój ojciec – ezoteryki, taniej magii – jest niezwykle kiczowaty.

Czy „Człowiek Magnes” zaistnieje w Stanach?

– Kiedy skończyła się ceremonia, jak spod ziemi wyrosli jacyś faceci, zaczęli mnie obściskować, całować. Ktoś podszedł i powiedział, że właśnie ścisnął mnie najwybitniejszy scenarzysta w Nowym Jorku i bardzo wpływowy producent. Ja, oczywiście, nie wiedziałem, kim są ci ludzie, byłem kompletnie oszołomiony. Później dostałem e-mail od jednego z organizatorów. Napisał, że mnóstwo ludzi dzwoni z pytaniami o mnie i o film. Najbliższy czas pokaże, co z tego wyniknie.

Masz pomysł na film debiutancki?

– Tak, będzie to współczesna, realistyczna historia rodzinna. Ale już nie o mojej rodzinie!

Rozmawiała
MAŁGORZATA SADOWSKA

Atak dzieciennienia



FOT. MAREK SZCZEPANIK

Kiedy w latach 80., w trakcie trwania zimnej wojny, prezydent USA Ronald Reagan nazwał ZSRR „imperium zła”, wyrażenie to zrobiło natychmiast zawrotną karierę. Nie tylko bowiem celnie trafiało przeciwnika, lecz także wpisywało się w zrozumiałą dla każdego widza „Gwiezdną wojnę” kontekst. Światowa polityka sięgnęła w ten sposób do kodu kulturowego stworzonego przez kino, nadając mu nowe, własne znaczenie. Także i my, ludzie żyjący wówczas za żelazną kurtyną, z mściwą radością przyjęliśmy Reaganowską interpretację „Gwiezdną wojnę” (oczywiście nie ci, którzy byli członkami Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej...).

Kino prawie od początku swojego istnienia brało udział w polityce jako pożądaný sojusznik bądź posłuszny instrument, by przypomnieć choćby film „Pancernik Petiomkin” Eisensteina czy działania Hollywood w latach 40. i 50. w USA. Ale zawsze był to związek oparty na wyraźnym rozróżnieniu między światem kinowej uludy

a światem rzeczywistym, między tym, co dzieje się naprawdę, a tym, co kino przedstawia. Obawiam się, że jesteśmy świadkami zmiany tego stanu rzeczy. Oto bowiem kino zaczęło wyprzedzać rzeczywistość: wydarzenia, zjawiska, idee pojawiające się na ekranie zdają się później być odwzorowywane przez realny świat. I nie chodzi tu o takie mody jak okulary bohatera „Matriksa” noszone dzisiaj powszechnie, ale na przykład o filmy o globalnych terrorystach, które niespodziewanie „spełniły się” 11 września, czy specyficzny sposób rozumienia rzeczywistości przez polityków, podążający za uproszczonym obrazem z celuloide, ignorujący złożoną, niejednoznaczną tkankę świata.

Polityka postępująca za kinem, przyjmująca za dobrą monetę sztuczne wizje tworzone przez scenarzystów i reżyserów, przekłada się potem na zachowania powszechne na zasadzie sprzężenia zwrotnego. I tak amerykańscy żołnierze wyruszający na teren Afganistanu pozdrawiają się

słowami rycerzy Jedi: „Niech Moc będzie z tobą!”, a ich głównodowodzący, prezydent Bush, ogłasza walkę z „osią złą”, umieszczając na niej kraje z zupełnie różnych porządków.

Grupą wiekową, do której coraz to powszechniej adresuje się przekaz kinowy, są dzieci 8–14-letnie zapewniające sukces komercyjny przedsięwzięcia, co powoduje, że treści przekazywane w kinie infantylniej w zastraszającym tempie. Obraz rzeczywistości przedstawiany w najbardziej wziętych produkcjach staje się karykaturą realnych problemów – ich skrajnym uproszczeniem kształtującym życiowe wybory i masowe gusty.

Być może zaczynamy żyć w świecie, o którego przyszłości w większym stopniu będzie decydować producent filmowy czy telewizyjny lansujący pewien styl zachowań zbiorowych niż wybrani wolą większości przedstawiciele. Dodajmy, zachowań zbiorowych, którym politycy będą musieli się podporządkować, jeśli chcą utrzymać swoją popularność. I tak stopniowo zacznie się zacierać granica

między tym, co realne, a tym, co nierealne, co stanowi tylko wytwór fantazji, kaprysu, żądzy zysku.

Nowe technologie sprzęgające informacje, obraz i dźwięk w jeden powszechnie dostępny pakiet stają się potężnym narzędziem przekazu, nad którym tradycyjne państwa dawno już utraciły kontrolę. Poszerza się w ten sposób swoboda indywidualnego wyboru, wolność jednostki, ale też powstaje nowy typ władzy niepodlegającej żadnym ograniczeniom i żadnej weryfikacji.

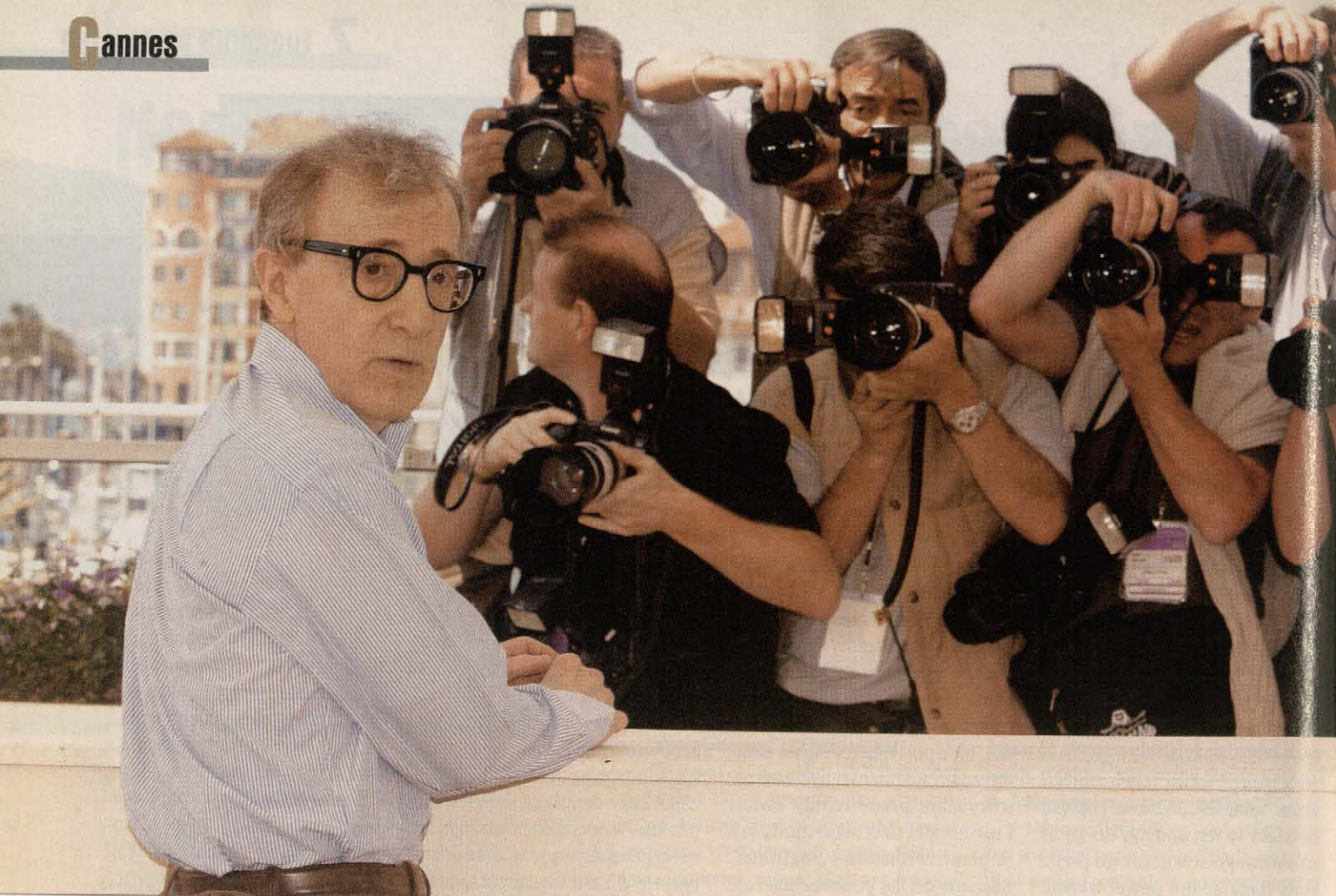
A na „Atak klonów”, nową część „Gwiezdną wojnę”, która właśnie wchodzi na ekrany, pójdę śledzić, w którą stronę podąża współczesny świat, lecz także dla chwilowego oderwania się od książek. Bo przecież są jeszcze książki, do jasnej cholery!

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ

Autor jest współtwórcą i byłym wieloletnim wicedyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich. Obecnie publicysta.



RYS. MAREK RACZKOWSKI



Organizatorzy 55. edycji festiwalu filmowego w Cannes ukryli w programie mały żart. Nowy film Claude'a Leloucha „And Now... Ladies and Gentleman” („A teraz... Panie i Panowie”), zatytułowany frazą, którą zwykło się gości witać, zaplanowano na zamknięcie festiwalu, 26 maja. Na otwarcie zaś zaprezentowano satyryczną komedię odsłaniającą kulisy amerykańskiego przemysłu filmowego pod tytułem „Hollywood Ending” („Hollywoodzkie zakończenie”). Jej autorowi Woody'emu Allenowi wręczono honorową Złotą Palmę za całokształt twórczości oraz zgotowano mu pięciominutową owację na stojąco. Odbierający trofeum 67-letni reżyser wyglądał na zażenowanego.

Co ja tutaj robię?

Pomylili mnie z kimś innym – mówi WOODY ALLEN w rozmowie z Rafałem B. Niemojewskim

Dyrektor festiwalu Gilles Jacob bezskutecznie zapraszał Pana do Cannes przez 25 lat. Dlaczego zdecydował się Pan w końcu przyjechać?

– Jestem domatorem i nie cierpię podróży. Nie lubię też rozbijać się po przyjęciach, być bezustannie fotografowanym, przesłuchiwanym przez dziennikarzy i rozdeptywanym przez tłumy. Wolę zostać w domu i spokojnie pracować. Tym razem zrobiłem jednak wyjątek. Uznałem, że nadszedł czas, by podziękować europejskiej publiczności za łaskawość, jaką okazywała mi przez te wszystkie lata.

Występując na ceremonii otwarcia, w jednoznaczny sposób zignorował Pan apel Kongresu Żydów Amerykańskich o zbojkotowanie tegorocznego festiwalu ze względu na narastający we Francji antysemityzm i propalestyńską politykę francuskiego rządu...

– Od wielu lat bywam we Francji kilka razy do roku i nigdy jeszcze nie spotkałem się w tym kraju z przejawami antysemityzmu. Uważam, że Francuzi mogą być z siebie dumni po tym, jak w drugiej turze wyborów prezydenckich zmobilizowali się i odpowiedzianie zagłosowali przeciw kandydato-

wi skrajnej prawicy, choć dla zwolenników lewicy oznaczało to głosowanie na kandydata z przeciwnego obozu. Wyniki pokazały, że opowiedzieli się przeciw brakowi tolerancji i ksenofobii.

Co czuł Pan, odbierając honorową Złotą Palmę za całokształt twórczości, nagrodę, którą uhonorowany został wcześniej Pański największy autorytet Ingmar Bergman?

– Przyznanie mi tej nagrody to jakieś kompletne nieporozumienie. I wcale nie próbuję być fałszywie skromny. To jakaś głupota. Przed zaproszeniem mnie na scenę zaprezentowano dokument o historii festiwalu, w którym pojawili się wszyscy największy reżyserzy: Bergman, Fellini, Buñuel, Welles, Kurosawa i na koniec – ja. Sam fakt, że zaliczono mnie do tego canneńskiego panteonu, wydaje mi się jakimś żartem. Nie zrobię z tego powodu skandalu, ale naprawdę uważam to za nieporozumienie. Nie wiem, może to kwestia błędu jakiegoś urzędnika, który pomylił nazwiska.

Wyglądał Pan na skrupowanego, gdy zgromadzeni w audytorium Lumière'a przedstawiciele branży filmowej oklaskiwali Pana na stojąco...

– Jeśli się to kiedyś panu przytrafi, to zobacz pan, że to bardzo niezręczna sytuacja. To trochę tak, jak przejeżdżka windą w towarzystwie obcej osoby – nienaturalna sytuacja, w której zupełnie nie wiadomo, jak się zachować. Kiedy wywołano mnie na scenę, miałem nadzieję, że potrwa to zaledwie chwilę – a tu uraczono mnie pięciominutową owacją. Na Boga, ci ludzie nie mieli litości! Zawsze zastanawiałem się, jak okropnie muszą się czuć bohaterowie różnych benefisów, podczas których całymi godzinami wysłuchiwać muszą komplementów i podziękowań. Teraz już wiem.

Pańskie wystąpienie podczas niedawnej ceremonii rozdania Oscarów również spotkało się z wielkim entuzjazmem...

– Owacja podczas Oscarów była prawdziwą niespodzianką. Byłem przygotowany raczej na to, że zostanę obrzucony pomidorami. Miałem nawet na tę okazję specjalny smoking z tworzywa sztucznego. Moje wystąpienie do ostatniej chwili trzymane było w tajemnicy. Nie wolno mi było o nim poinformować nawet moich najbliższych przyjaciół. Co więcej, celowo rozpuszczono plotki o tym, że część ceremonii poświęconą tragedii w Nowym Jorku poprowadzi sam Rudolph Giuliani. Proszę sobie wyobrazić publiczność, która spodziewała się zobaczyć jednego z najbardziej poważanych ludzi w Stanach, a w zamian ujrzała na scenie Woody'ego Allena... Niewiele pamiętam z tej uroczystości. Byłem bardzo zestresowany, gdyż tuż przed wejściem na scenę otrzymałem ostrzeżenie oraz instrukcję, aby po wystąpieniu zejść szybko ze sceny, bo z tyłu miał się w tym momencie opuścić gigantyczny ekran. Podczas całego przemówienia wyobrażałem sobie, jak wielki ekran rozgniewa mnie na środku sceny na oczach milionów ludzi.

„Hollywood Ending” opowiada historię dojrzałego amerykańskiego reżysera żyjącego z dwudziestoparoletnią kobietą, którego od bankructwa ratuje sukces we Francji. Déjà vu?

– Historia opowiedziana w filmie jest fikcyjna, ale jak zawsze są w niej pewne nawiązania do rzeczywistości. W filmie wskutek zaburzeń psychosomatycznych mój bohater traci wzrok. Postanawia jednak utrzymać to w tajemnicy i kontynuować pracę nad swoim filmem. Moje filmy od początku wyglądały tak, jakby nakręcił je ślepiec, i wcale tego nie ukrywam. Faktem jest natomiast, że europejska widownia już nie raz uratowała mnie z opresji.

Jak wytłumaczyć brak proporcji między sukcesem, jaki odnoszą Pańskie filmy w Europie, a ich odbiorem w Ameryce?

– Mam na ten temat kilka teorii. Pierwsza z nich zakłada, że moje filmy zyskują w przekładzie. Kiedy oglądamy obcojęzyczny film, nie dostrzegamy tak łatwo błędów i nieudanych dialogów. Innym wytłumaczeniem może być to, że w młodości bardzo fascynowało mnie kino europejskie. Moją wrażliwość ukształtowały dzieła mistrzów takich jak Bergman, Fellini, Truffaut czy Renoir. Ich filmy były dla mnie prawdziwym objawieniem. Myślałem, że do dziś mniej lub bardziej świadomie naśladuję tych twórców i dlatego moje filmy bliskie są wrażliwości europejskiego widza. Poza tym wszyscy lubimy rzeczy z importu. I tak na przykład Francuzi zachwycają się moimi filmami tak samo jak Amerykanie francuskim winem i serami, nawet tymi bardzo kiepskiej jakości, sprowadzanymi do Stanów dlatego, że nie nadają się do sprzedaży we Francji.

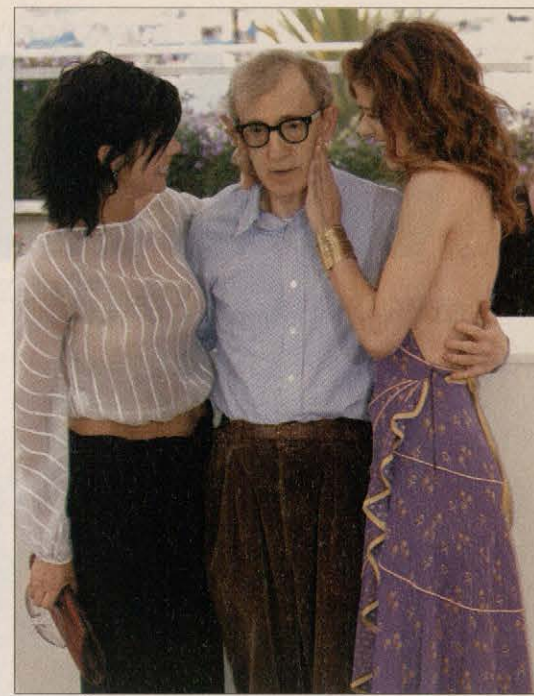
Dawniej odnosił Pan sukcesy także w Stanach. Otrzymał Pan przecież Oscary za scenariusz „Hannah i jej siostry” i za reżyserię „Annie Hall”.

– Zgadza się, ale nawet to nie pomogło „Annie Hall” stać się sukcesem kasowym. Z tego co wiem, spośród wszystkich filmów nagrodzonych Oscarem „Annie Hall” jest tym, który zarobił najmniej. Do dziś niecałe 20 milionów dolarów. Dla porównania: dzisiejsze wielkie produkcje zarabiają ponad sto milionów dolarów w ciągu pierwszego weekendu. Od piątku wieczorem do poniedziałku rano taki film jest w stanie zarobić więcej niż wszystkie filmy Felliniego, Kurosawy i Bergmana razem wzięte! Próbowałem już wszystkiego, aby zachęcić amerykańską publiczność do oglądania moich filmów. Nakręciłem musical – nie zarobiłem ani grosza, próbowałem kryminału – okazał się fiaskiem, po zrealizowaniu filmu czarno-białego popadłem w poważne długi. W pewnym momencie zadałem sobie nawet pytanie, czy szkopuł nie tkwi przypadkiem w tym, że pojawiając się w moich filmach jako aktor, ale jak się później okazało, filmy, w których nie było mnie na ekranie, wypadły pod tym względem równie kiepsko jak cała reszta.

Czy mają na to wpływ zwykle bardzo wrogo do Pana nastawieni amerykańscy krytycy?

– Jeśli film nie spodoba się krytykom, wyświetlany jest w pustych salach. Jeśli krytycy napiszą o nim coś dobrego, można spodziewać się kilku osób na każdym seansie. Mój dramat polega na tym, że nie jestem w stanie przyciągnąć ludzi do kina. Kiedy przed premierą organizujemy pokazy próbne na uniwersytetach, sale są wypełnione po brzegi, a publiczność doskonale się bawi. Natomiast na seansach, na których trzeba zapłacić za bilet, sale świecą pustkami.

Jednym z najczęstszych zarzutów amerykańskiej krytyki jest to, że obsadza się Pan zawsze w to-



Allenowi towarzyszą w Cannes jego partnerki z filmu „Hollywood Ending” – Tiffani Thiessen i Jodie Markell

warzystwie o wiele młodszych kobiet...

– Ja nie widzę tutaj żadnego problemu. No, może poza scenami łóżkowymi, do których wynajmować trzeba kaskaderów.

Czy uważa Pan, że honorowa Złota Palma przyczyni się do polepszenia pańskiej pozycji za Oceanem?

– Mam taką nadzieję. Wielu amerykańskich artystów, muzyków, malarzy, filmowców, pisarzy wybiło się w Europie na długo przed tym, zanim doceniono ich w ojczyźnie. Edgar Allan Poe, William Faulkner i dziesiątki innych w Ameryce zauważono dopiero po tym, jak zdobyli sławę i laury po drugiej stronie Oceanu. W Europie kulturę traktuje się na poważnie. W Ameryce zaś tego słowa używa się na określenie obecności bakterii w jogurcie.

Dlaczego więc w „Hollywood Ending” kpi Pan również z Europejczyków, którzy zachwycają się filmem nakręconym przez ślepego reżysera?

– W większości przypadków Europejczycy mają rację. Czasem jednak się mylą i potrafią zachwycić się artystą, który na to absolutnie nie zasługuje, i bezpodstawnie obdarzają go nagrodami i honorami. Ja sam jestem idealnym przykładem takiej pomyłki... niewielkiej, bo widziałem już gorsze. Europejczycy myślą o moim temacie w dwóch zasadniczych kwestiach. Po pierwsze, przekonani są, że jestem intelektualistą – chyba dlatego, że noszę okulary – oraz uważają mnie za artystę, ponieważ moje filmy zamiast zysków zawsze przynoszą straty...

Rozmawiał RAFAŁ B. NIEMOJEWSKI

Wódko, pozwóżyć!

ZDJĘCIA PRZEMEK WIERZCHOWSKI



Aktorzy chcą przejąć magazyny Zakładów Monopolowych „Koneser” na warszawskiej Pradze.

W sobotę zajęli je szturmem. Ma tu być teatr dla młodych dramaturgów, aktorów i reżyserów. Utrzymać go mają widzowie

Olgierd Łukaszewicz – MANIFEST

Zobowiązująca jest już sama nazwa: „Białostocka off”. Najprostsze skojarzenie to oczywiście „off-Broadway” – o ile w Warszawie w ogóle istnieje jakiś „Broadway”... Z całą pewnością nie ma tu jednak sceny, która miałaby dość odwagi, by wystawiać młodych polskich dramaturgów. Ale teatr na Białostockiej to „off” w jeszcze innym sensie – jest stąd daleko do centrum, a peryferyjność miejsca podkreśla legenda Żabkowskiej, bazaru Różycyńskiego, z całą tą „białostockością”, „wschodniością” terenów przy Dworcu Wileńskim i naszymi kompleksami wschodnioeuropejskimi. Więc ów „off” jest też poniekąd w sercu. Ujmując to poetycko: próbujemy odnaleźć się na peryferiach, chcemy grzebać w tym piachu mazowieckim, próbować krzesać ogień z naszej wyobraźni na klepisku hali fabrycznej...

Najbardziej interesuje mnie możliwość spotkania się tutaj młodych pisarzy, dramaturgów. Również tych rekrutujących się spośród scenarzystów, którzy w normalnej sytuacji pisaliby dla filmu. Może na dzienne budżetowej w kinematografii skorzysta teatr?

Chciałbym, aby w tym miejscu zapanał aktorski, komediancki żywioł. Powin-

ny pojawić się teatryzki, recitale piosenkarzkie, grupy tańca. Jednak najważniejszy byłby teatr.

Zniechęca się nas: tam nikt nie przyjedzie, to za daleko, Praga jest niebezpieczna... Ale postindustrialna przestrzeń jako przestrzeń sztuki sprawdziła się, potwierdzają to doświadczenia francuskie, niemieckie, angielskie. Takie zjawisko jest czymś naturalnym w stolicach europejskich, gdzie zresztą zarządy miast dotują grupy offowe. I patrząc dziś choćby na niemieckie sceny miejskie, widzimy, że teatry niezależne zmieniły ich oblicze. Dlaczego więc nie mielibyśmy dać impulsu do tego typu działań w Warszawie?

Udowodnimy, że Polskę można zmieniać. Robimy to na swój, komediancki, sposób, urządzając happening. Mój lęk budzi tylko jedno: czy nowa przestrzeń zostanie zaakceptowana przez środowisko i czy owi bezetatowi aktorzy NAPRAWDĘ szukają swojego miejsca w sztuce. Bo o młodych jestem spokojny, ci tutaj przywędrują – choć dziś to my, dziadkowie, daliśmy przykład, jak się brać do dzieła...

Wzywam więc wszystkich aktorów – również tych z teatrów, choćby z mojego, Współczesnego, grających właśnie w spektaklu „Bambini di Praga”. *Bambini*, proszę na Pragę! ■



Aktorski happening w Zakładach Monopolowych „Koneser”. Warszawska Praga, 18 maja 2002



TADEUSZ RÓŻEWICZ

ustawy

ustawa o wychowaniu
w trzeźwości jest super ale
wymaga nowelizacji

ustawa o ochronie
języka polskiego jest fajna
nie wymaga nic

słowo maupa
wzbogaca nasz język

rosjanie mają słowo
sobaczka

poeci w internecie
maupa
spoko

na czatach panuje
język czatów

nieszczęście zaczyna się
kiedy to trafia
do mediów

na czatach jest
cenzura

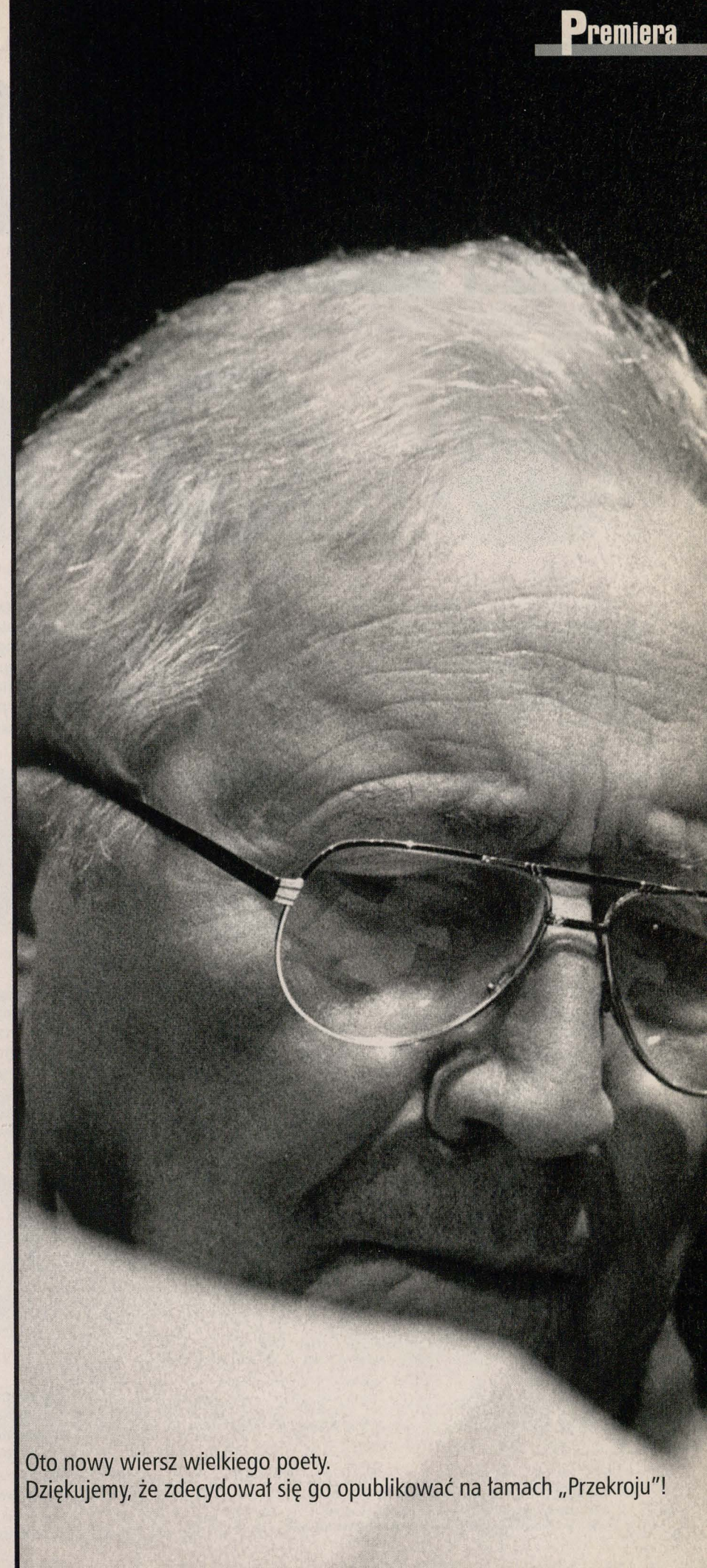
język literacki
język potoczny

w komunikacji czatowej
inaczej niż
w komunikacji
kolejowej

witam w salonie
na imię mam
dek-ta

czy mogą być ścigany
za użycie słowa
necenzuralnego
w języku martwym

specjaliści (?) mówią
że za sto lat zostanie
język ale zaginie polska mowa
oraz języki mniejszych nacji
np. czeski słowacki węgierski
austriacki celtycki anglikański
więc o co ten szum?!?
zostanie przecież amerykański



Oto nowy wiersz wielkiego poety.
Dziękujemy, że zdecydował się go opublikować na łamach „Przekroju”!

...i tworzyć

FUNDATORZY



Henryka Bochniarz
NICOM Consulting Ltd.

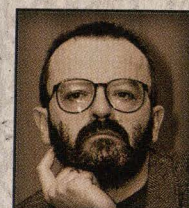


Adam Michnik
Gazeta Wyborcza

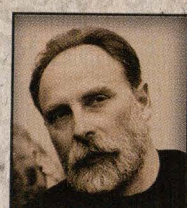
JURY



Stanisław Beres
filolog polski,
profesor, poeta



Piotr Bratkowski
filolog polski,
dziennikarz, poeta,
prozaik



Stefan Chwin
filolog polski,
profesor, prozaik



Joanna Brach-Czajka
filozof, proz.



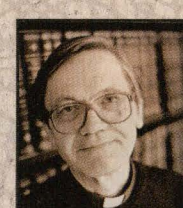
Maria Janion
filolożka polska,
profesor



Jerzy Jarzębski
filolog polski,
profesor, krytyk



Kazimierz Kutz
reżyser filmowy,
senator



ks. Stanisław Musiał
ksiądz jezuita

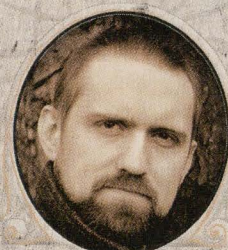


François Rosset
filolog polski

NOMINOWANI



Bronisław BACZKO
(ur. 1924)
„Hiob, mój przyjaciel. Obietnice
szczęścia i nieuchronność zła”, PWN
Tom esejów filozoficzno-
historycznych pokazujących
na przykładzie pism Woltera,
Diderota i Rousseau nadzieje
i lęki ludzi doby Oświecenia.



Wojciech BONOWICZ
(ur. 1967)
„Tischner”, Znak
Barwna i źródłowa biografia
ks. Józefa Tischnera, filozofa,
kapelana Solidarności, jednej
z najważniejszych postaci
polskiego życia publicznego
ostatniej ćwierci XX wieku.



Janusz GŁOWACKI
(ur. 1938)
„Ostatni cieć”, Czytelnik
Groteskowo-katastroficzny
wielogłos powieściowy
o Ameryce, którą spotworniały
i wynaturzony kult wolności
i pieniądza zamienia
w karykaturę samej siebie.



Agnieszka GRAFF
(ur. 1970)
„Świat bez kobiet”, W.A.B.
Szkice pisane z perspektywy
feministycznej, bo tylko ona
zdanem autorki, pozwala
dostrzec problemy kobiety
współczesnej w całej ich
złożoności i różnorodności.



Manuela GRETKOWSKA
(ur. 1964)
„Polka”, W.A.B.
Pierwszy w Polsce, ubarwiony
przeżyciami religijno-
medialnymi, dziennik ciąży
zakochanej narodzinami
nowej Polki.



Julia HARTWIG
(ur. 1921)
„Nie ma odpowiedzi”, Sic!
Tę wierszy bogaty w obrazy
przemijania, ale i w myśli, które
(być może) pozwolą
nie poddać się rozpacz
wynikającej z nieuchronnego
upływu czasu.



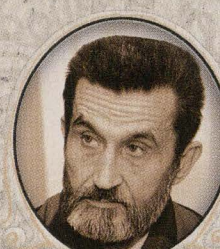
Karolina ŁANCKORÓŃSKA
(ur. 1898)
„Wspomnienia wojenne”, Znak
Niecodzienna codzienność
okupacji sowieckiej
i niemieckiej z lat 1939–1945
opisana piórem arystokratki,
historyka sztuki, kobiety
wybitnie silnej i wybitnie
doświadczonej.



Krystian LUPA
(ur. 1943)
„Labirynt”, W.A.B.
Proza-nieproza najgłośniejszego
polskiego reżysera teatralnego,
książka wypełniona
wspomnieniami, relacjami
z podróży i opowiadaniem.



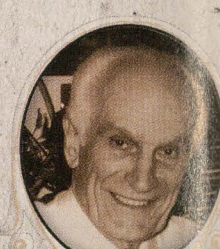
Jacek ŁUKASIEWICZ
(ur. 1934)
„Herbert”, Wyd. Dolnośląskie
Obficie okraszona materiałem
fotograficznym (wymóg serii
„A to Polska właśnie”) biografia
Zbigniewa Herberta,
wybitnego poety,
autora „Pana Cogito”
i „Barbarzyńcy w ogrodzie”.



Marek NOWAKOWSKI
(ur. 1935)
„Empire”, Twój Styl
Stylizowana na tanią prozę
brukową opowieść
o powojennych przedmieściach
Warszawy, marzeniach
dorastających chłopców
i upadku marzeń.



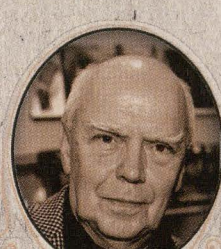
Joanna OLCZAK-RONIKIER
(ur. 1934)
„W ogrodzie pamięci”, Znak
Wspomnienia o kolejach losów
rodziny żydowskiej
zasymlowanej w Polsce –
najstarszy wizerunek rodzinny
w tej książce pochodzi
z początku wieku XIX,
najnowszy – z początku XXI.



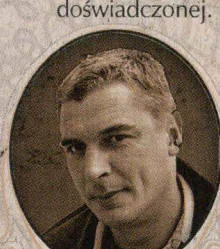
Marian PANKOWSKI
(ur. 1919)
„W stronę miłości”, Biblioteka Narodowa
Skandalizujące opowiadania
o starości, uczuciach
i literaturze, których bohater
nie tylko z imienia
i nazwiska przypomina
Mariana Pankowskiego.



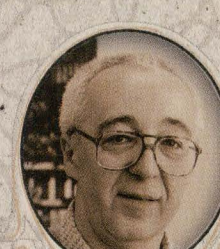
Jacek RÓŻEWICZ
(ur. 1921)
„Żył profesor”, Wyd. Dolnośląskie
Tytułowy poemat (będący
kolejnym rachunkiem
wystawionym przez Różewicza
poetyce i sztuce XX wieku)
z dodaniem pięciu wierszy –
oto najnowszy tom poezji
laureata Nike z roku 2000.



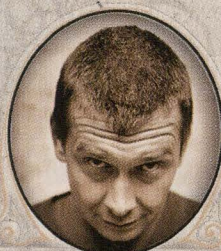
Jarosław Marek RYMKIEWICZ
(ur. 1935)
„Leśmian. Encyklopedia”, Sic!
Dokumentalnie
fantasmagoryczna opowieść
encyklopedyczna
w 98 hasłach o życiu
tutejszym i zaświatowym
Bolesława Leśmiana.



Andrzej STASIUK
(ur. 1960)
„Zima”, Czarne
Pięć prozatorskich songów,
w których słowa wyczarowują
mistyczne piękno z zasadniczo
przerazającej rzeczywistości
Podbeskidzia.



Stefan SZYMUTKO
(ur. 1958)
„Nagrobek ciotki Cili”,
Wyd. Uniwersytetu Śląskiego
Zbiór esejów, w których
spekulacje i dokonania tytanów
myśli ludzkiej są konfrontowane
z tradycyjną wiedzą
i zdroworozsądkowym
doświadczeniem tytułowej
krewnej autora.



Marcin ŚWIETLIICKI
(ur. 1961)
„Czynny do odwołania”, Czarne
Książka poety-frontmena-
prezentera pełna jest wierszy
prawdziwie mocnych,
m.in. o dnienu, ładnienu
i zmywaniu – z dodatkiem
kilku utworów
nieco okazjonalnych.



Olga TOKARCZUK
(ur. 1962)
„Gra na wielu bębenkach”, Rura
Pierwszy zbiór opowiadań
etatowej niemal laureatki
plebiscytu czytelników
w kolejnych edycjach Nike –
opowiadań kryminalnych,
magicznych i (prawie)
politycznych.



Bożena UMIŃSKA
(ur. 1948)
„Postać z cieniem. Portrety
Żydów w polskiej literaturze”, Sic!
Tytuł książki mówi wszystko
o jej zawartości. Pozostaje tylko
czekać na esej, który zajmie się
tym zagadnieniem w utworach
późniejszych niż Orzeszkowa
czy Schulz.



Krzysztof VARGA
(ur. 1968)
„Tequila”, Czarna Lampa
Minipowieść będąca
„lamentem” wewnętrznym
wygłaszanym
przez bezimiennego wokalistę
nad zmarłym kolegą
z zespołu rokendrolowego
i nad odchodzącym
światem młodości.

Na początku był chaos, potem Mossad



Izraelski żołnierz zakazuje fotografowania sceny aresztowania Palestyńczyka w Ramallah w lutym tego roku. Dzięki informacjom zebranych przez Mossad Izraelczycy znali nazwiska wszystkich terrorystów okupujących Bazylikę Narodzenia Pańskiego

Najmniejsza i tajemnicza. Gigantyczna i jawna. Zmora państw na całym świecie. Agencja Mossad

MICHAŁ WÓJCIK

Gdy rankiem 2 kwietnia kolumna izraelskich czołgów wjechała do Betlejem, Jaser Arafat od razu wiedział, co się święci. Ostatnie działania izraelskich sił zbrojnych miały bowiem swoje uzasadnienie i jakiś trudny do rozszyfrowania porządek. Dwa dni wcześniej doborowy oddział izraelskich komandosów zatrzymał na blokadzie koło Ramallah pięciu oficerów elitarniej jednostki palestyńskiej Force 17. Kilka dni później w izraelskich aresztach znajdowało się już ponad cztery tysiące palestyńskich bojowników. Cios w struktury zbrojne Autonomii okazał się celny i bolesny. Nie byłby możliwy bez działania instytucji, która zajmuje się ściganiem terrorystów i werbowaniem palestyńskich kolaborantów. Mossad, bo o nim mowa, przygotował operację „Obrotna Tarcza” na niespotykaną dotąd skalę. Izraelczycy znali nazwiska wszystkich terrorystów oblężonych w Bazylice Narodzenia Pańskiego. Wiedzieli, że bojownicy wniesli na jej teren cały arsenał broni, również ładunki wybuchowe. Skąd Mossad miał te informacje, skoro wokół Bazyliki wisieli zamordowani Palestyńczycy podejrzani o kolaborację z Izraelem, a sami bojownicy Hamasu – jak się okazało – nie przedstawiali się mnichom? Oczywiście, nigdy się tego nie dowiemy. Zastanawiające jest jednak to, że w połowie maja grupka pięciu oblężonych w świątyni cywilów uciekła z niej po drabinie. Jeszcze

To ogłoszenie o naborze do Mossadu ukazało się w izraelskich gazetach. „Mossad jest otwarty. Nie dla wszystkich, nie dla wielu, ale może dla ciebie”. Dziś znane są nazwiska niektórych byłych agentów, znane jest miejsce centrali Mossadu w Tel Awiwie. Nie wolno jej fotografować

ciekawsze, że mimo szczelnego pierścienia wokół nikt tych ludzi nie zatrzymał. Czyżby wojsko izraelskie oblegało w Bazylice również swoich ludzi? Te pytania pozostaną bez odpowiedzi, bo Mossad nie tłumaczy się mediom ze swoich operacji. Od 54 lat celem tej najbardziej tajemniczej organizacji wywiadowczej świata jest wyłącznie jedno – zapewnienie bezpieczeństwa Izraelowi.

Wszystko dla kraju

14 maja 1948 r. Ben Gurion, polski Żyd urodzony w Płońsku, jako szef Agencji Żydowskiej proklamuje w Tel Awiwie powstanie Państwa Izrael. Jeszcze tego samego dnia wieczorem wojska Egiptu, Jordanii, Arabii Saudyjskiej, Iraku, Libanu i Syrii wkraczają do Palestyny. 80 tysięcy członków armii żydowskiej przystępuje do obrony. Państwo Izrael ma dopiero kil-

ka godzin, ale już wtedy posiada swoje tajne służby. Istnienie agencji wywiadowczej, zanim oficjalnie zaistniało państwo, to w historii wyjątek, ale samo powstanie Izraela było wydarzeniem nie mniej wyjątkowym. Naród wycieńczony Holocaustem otrzymał od wspólnoty międzynarodowej kawałek ziemi i natychmiast stanął wobec kolejnego śmiertelnego zagrożenia.

Oficjalnie 1 kwietnia 1951 r. premier Ben Gurion powołuje do życia tajną organizację o długiej nazwie Ha Mossad le-Modi'in ule Ta'kidim Meguhadim, czyli Instytut Wywiadu i Zadań Specjalnych. Premier oficjalnie ogłasza: „Obowiązkiem Żydów w diasporze jest udzielanie pomocy Izraelowi niezależnie od tego, czy rząd, któremu Żydzi w danym kraju podlegają, pragnie tego, czy nie. Gdy mówimy »jeden naród żydowski« – musimy pominąć fakt, że naród żydowski jest rozproszony



FOT. AP/PEAST NEWS



U góry: przesłuchanie Adolfa Eichmanna (pierwszy z lewej) przed izraelskim prokuratorem w roku 1961. Eichmanna uprowadził z Buenos Aires oddział Mossadu, osądzono go i stracono w Izraelu

Z prawej: Efekt akcji oddziału Mossadu na lotnisku w Bejrucie w grudniu roku 1968. W odwecie za zamach terrorystyczny na samolot izraelski w Atenach Izraelczycy wysadzili 14 arabskich samolotów



po wszystkich krajach świata i że żyjący tam Żydzi są obywatelami państw, w których przebywają". Te słowa stają się podstawą ideologii Mossadu, która opiera się na założeniu, że każdy Żyd – bez względu na to, gdzie mieszka i jakie ma obywatelstwo – powinien zachować wierność Izraelowi. Przez lata zasada ta była krytykowana i podważana również przez członków diaspory, jednak to między innymi dzięki pomocy ludzi niezwiązanych

bezpośrednio z Mossadem Izrael przetrwał do dziś.

Mossad znaczy tyle co Instytut. W strukturze izraelskich służb specjalnych odpowiada za wywiad. Bezpieczeństwo wewnętrzne, ochrona dyplomatów, samolotów i żydowskich instytucji za granicą leżą w gestii Szin Bet. Aman to wywiad wojskowy, Lakam – gospodarczy, ze szczególnym uwzględnieniem programu atomowego. Do zadań tych

instytucji należy przekonanie świata, że Izrael jest w stanie ukarać każdego, kto przeciwstawi się żydowskiej racji stanu. Jednak pierwsza operacja, w której sprawdził się Mossad, nie była z pozoru operacją wywiadowczą. Rozpoczęła się zaraz po wojnie.

Kraj dla Żydów

Operację sprowadzenia Żydów do Izraela wziął na siebie działają-

cy w porozumieniu z Mossadem Instytut Alija B. Jego działacze rozjechali się po świecie, nakłaniając do emigracji setki tysięcy ludzi, a potem organizując im wyjazd. W ciągu czterech lat swojego istnienia półmilionowe państwo było w stanie przyjąć blisko 700 tysięcy osób.

Pierwsza fala nielegalnej wówczas emigracji ruszyła w roku 1945. Agenci wydobywali ludzi z przejściowych obozów dla uchodźców, załatwiali im paszporty i ułatwiali przyjazd do kraju. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi dotarło do portu w Hajfie przed ogłoszeniem niepodległości. Po 14 maja 1948 r. emigracja z Europy była już legalna.

Kiedy setki tysięcy Żydów z krajów komunistycznych znalazło się za żelazną kurtyną, przed agentami Mossadu stanęły nowe wyzwania. Od lat 70. kierowali emigracją rosyjskich Żydów, których z ZSRR, a potem z Rosji, wyjechało łącznie 800 tysięcy. W roku 1956 działali w Polsce i na Węgrzech. Kilkanaście tysięcy Żydów rumuńskich wyjechało z kraju za łapówki sięgające 60 milionów dolarów. Połowę tej sumy dostał do kieszeni dyktator Nicolae Ceaușescu. Obowiązywał tu oficjalny cennik: trzy tysiące dolarów za osobę – tyle zdaniem władz rumuńskich kosztowało wyedukowanie jednego obywatela.

Jeszcze większe zadania czekały Mossad w krajach arabskich i afrykańskich. Ponad sto tysięcy Żydów ewakuowano z Maroka, co było o tyle łatwe, że prezydent tego kraju okazał się eksdyrektorem agencji turystycznej. Zyski z organizowania pracochłonnej operacji zasiliły zatem jego konto.

Do historii przeszła również akcja wywiezienia z Etiopii ciemnoskórych Żydów, którzy od wieków nazywali siebie *Beta Israel* – Domem Izraela. Nieżydowscy sąsiedzi nazywali ich z kolei „obcymi”, czyli Falaszami. Kilka tysięcy Falaszów dopłynęło z Sudanu turystycznymi łódkami do zacumowanych dalej transportowców. Przy ewakuacji sudańskich Żydów samolotami typu Herkules z odbudowanego w tym celu starego lotniska koło miasta Szubak środki ostrożności posunięte były nawet do tego, że agenci Mossadu zbierali

za sobą niedopałki papierosów rzucane na ziemię.

Akcja sprowadzania Żydów do Izraela trwa nadal. W najbliższym czasie mogą wyjechać ostatni Żydzi z Tunezji, prerażeni próbą wysadzenia w powietrze synagogi na Dżerbie. Do drogi szykuje się pięć tysięcy Żydów marokańskich. Być może dołączy do nich wielu obywateli francuskich zaniepokojonych wzrostem nastrojów prawicowych we Francji.

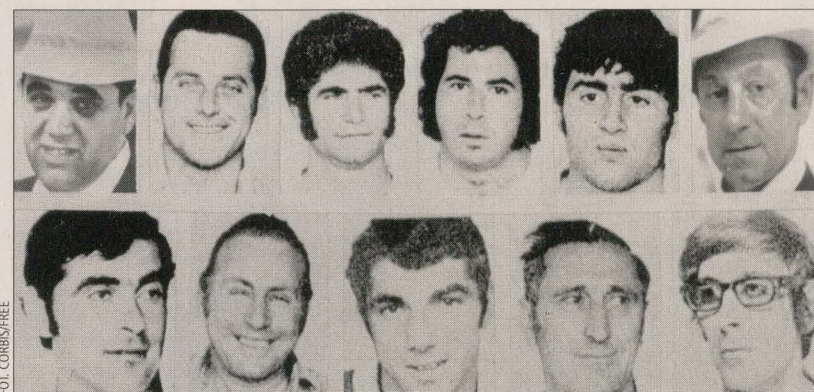
Eichmann żyje

W połowie roku 1959 na biurku szefa Mossadu zaterkotał telefon. Dzwonił stary znajomy z Wiednia Szymon Wiesenthal. To właśnie on wcześniej ujawnił, że zaraz po zakończeniu wojny setki zbrodniarzy wojennych ukryło się i wyjechało z Europy. Agenci Wiesenthala odkryli, że ewakuacja zbrodniarzy odbywała się w usystematyzowany sposób w ramach akcji przerzutowej. Podobną siatkę, tyle że dla ratowania ocalałych po Holocauście Żydów środkowoeuropejskich, organizował w tym czasie Mossad. Dochodziło nawet do tego, że drogi ewakuacji ocalałej ludności żydowskiej do Palestyny krzyżowały się z drogami ucieczki byłych członków SS. Po latach wyszło na jaw, że w niemieckim mieście Merano w tym samym momencie w punkcie przerzutowym znajdowały się dwie grupy. Na parterze i w piwnicy czekali z nowymi dokumentami esesmani i gestapowcy, a na piętrze ukrywali się Żydzi.

Owego poranka w roku 1959 Wiesenthal telefonował w innej sprawie. Jego ludzie stali się posładaczami małego nekrologu opublikowanego w jednej z niemieckich gazet. Zmarła niejaka Vera Liebl. Nekrolog nie wzbudził niczych podejrzeń, gdyby nie to, że rodzina zmarłej opublikowała drugi człon jej nazwiska – Eichmann. A to dawało do myślenia. Jeżeli rodzina publikuje w oficjalnym zawiadomieniu o pogrzebie taką informację, możliwe, że kobieta nie była wdową po człowieku, którego nazwisko nosiła z dumą, ale żoną. A więc człowiek ten żyje. Wystarczy zatem go odnaleźć.

Na początku roku 1960 na dowódcę supertajnej operacji, której celem miało być odnalezienie Eichmanna, wyznaczono Zvi Aharoniego.

Był on członkiem tajnej żydowskiej armii Hagany jeszcze w czasie wojny. Wyszkolony przez angielskich komandosów znał hebrajski i niemiecki. Jednak to nie największe jego atuty. Miał wygląd czystej krwi aryjczyka, a jego niebieskie oczy nie budziły żadnych rasowych wątpliwości.



Twarze izraelskich sportowców zabitych przez Palestyńczyków z Czarnego Września na olimpiadzie w Monachium w roku 1972. W odwecie agencji Mossadu w krótkich odstępach czasu zabili dziewięciu znanych palestyńskich terrorystów. Arafata oszczędzili

„Kiedy usłyszałem nazwisko Adolf Eichmann, znikło całe napięcie wynikające z długiej, mozolnej operacji. Musiałem dać wyraz radości. Byliśmy uszczęśliwieni”

Na początku roku 1944 zrzucano go ze spadochronem na terytorium okupowanych Węgier. Właśnie tu rozgrywał się wówczas jeden z ostatnich akordów zagłady ludności żydowskiej. Po stłumieniu powstania w warszawskim getcie i gigantycznej akcji mordowania polskich i wschodnioeuropejskich Żydów Niemcy przystąpili do wymordowania ostatniej wielkiej wspólnoty w Europie. Celem było 800 tysięcy węgierskich Żydów. Akcją kierował Adolf Eichmann.

Zvi Aharoni zaczął kompletować zespół, dyskretnie nawiązywał kontakty z przedstawicielami diaspory żydowskiej w Argentynie i czekał.

Nie wiadomo, ile kosztowała cała operacja, latami zbierane dokumenty, setki podróży, rozmów, łapówek i wzajemnych zobowiązań. Znamy natomiast doskonale przebieg wypadków 11 maja 1960 r.

Pod wolno stojący dom w San Fernando, niedaleko Buenos Aires, podjechał ciężarowy samochód.

Chwilę wcześniej tą samą drogą przejeżdżał autobus, z którego wysiadł tysiące człowiek z małymi okularami na nosie. Zazwyczaj szedł w kierunku swojego domu, mijał go i obchodził wokół. Mogłoby się wydawać, że próbuje w ten sposób zmylić „ogon”, ale tak naprawdę skromnie wyglądający urzędnik chodził popatrzyć na grządki swojego ogródka. Tym razem zastanowił się, co przed jego domem robi ciężarówka z podniesioną klapą od silnika. Gdy mijał auto, z szoferki wyskoczył młody barczysty chłopak. Zvi Malchin zwany w oddziale Atletą nie znał hiszpańskiego, wykrztusił więc jedynie: „*Momentito!*” – „Chwileczkę!”.

Przechodzień odwrócił się, ale ręce nadal trzymał w kieszeniach. Agent Mossadu nie wytrzymał. Rzucił się na niego w obawie, że ten zaraz wyciągnie rewolwer. Skok całkowicie zaskoczył Eichmanna. Mężczyźni szepcąc jak zapaśnicy zsunęli się do przydrożnego rowu. Napadnięty wrzeszczał jak opętany. Agent bał się puścić jego przeguby w obawie o własne życie. Na pomoc skoczył mu jeszcze jeden Izraelczyk. Ponieważ wrzaski nie ustępowały,

a nad drogę wzbił się kurz wzniesiony przez szamoczące się ciała, Zvi Aharoni wcisnął pedał gazu, aby warkotem silnika zagłuszyć hałas. Wkrótce trzeci z agentów dołączył do płataniny ciał i razem z kolegami zawłókł stawiającego wciąż opór człowieka do środka samochodu.

Kilka godzin później gdzieś w Kilmes – dzielnicy Buenos Aires – napadnięty leżał z zasłoniętymi oczami na łóżku w wyciszonym pokoju. Był skuty kajdankami,

nie ruszał się. Zvi zapytał spokojnym głosem o nazwisko. – Ricardo Klement – odparł więzień. – Jakiego nazwiska używał pan uprzednio? – Otto Heninger – padła odpowiedź. Gdyby Zvi pytał dalej, dowiedziałby się, że leżący to również Otto Barth. Mogłoby paść jeszcze kilka nazwisk, ale Zvi zapytał o wzrost.

– Metr siedemdziesiąt siedem – padła odpowiedź. Potem pytania sypały się jak pociski z karabinu. Numer butów, rozmiar ubrania, numer członkowski w NSDAP, numer w SS, data urodzenia, miejsce. Ale wyczekiwana przez cały rząd Izraela odpowiedź, padła dopiero na ostatnie pytanie. – Pańskie nazwisko w momencie urodzenia?

– Adolf Eichmann. „Opuszczałem tunel. Promienny blask słońca! – wspominał po latach dowódca oddziału. – Nie potrafiłem inaczej, musiałem się uśmiechnąć. Eichmann leżał na łóżku. Kiedy usłyszałem nazwisko Adolf Eichmann, znikło całe napięcie wynikające z długiej, mozolnej operacji. Musiałem dać wyraz radości. Dlatego wyciągnąłem rękę nad łóżkiem. Avraham (inny uczestnik akcji) uprowadzenia



Komandosi izraelscy wyprowadzają pasażerów uwolnionych podczas brawurowej akcji w roku 1972. Samolot Sabeny porwali palestyńscy terroryści. Dzięki Mossadowi udało się odbić maszynę i uratować wszystkich zakładników

Eichmanna) ją uściśnął. Byliśmy uszczęśliwieni”.

Przed elitarną jednostką Mossadu leżał bezbronny, spętany i unieruchomiony człowiek, który odpowiadał za śmierć milionów Żydów.

Każdy Żyd należy do Mossadu

Wywiezienie Eichmanna z Argentyny (agenci Mossadu przebrali go za pilota izraelskich linii lotniczych, nafaszerowali narkotykami i przetransportowali do Tel Awiwu rejsowym samolotem) nie miało precedensu w historii agencji wywiadowczych na całym świecie. Dzięki uprowadzeniu Eichmanna rząd Izraela udowodnił, że jest w stanie odnaleźć hitlerowskich niedobitków. Pokazał również, że będzie zwalczał wszystkich swoich wrogów w każdym miejscu na ziemi.

Od początku swojego istnienia Mossad miał kilka atutów wyróż-

nających go spośród światowych wywiadów. Przede wszystkim Agencja i jej członkowie byli bardzo młodzi. Jeden z szefów mówił wprost: „Nasze głowy nie były zaśmiecone, zaczynaliśmy od zera. Nie hamowały nas żadne dawne tradycje ani powtarzane nawyki”.

Inną ważną cechą izraelskiej agencji jest to, że w krótkiej historii państwa kilku wybitnych agentów Mossadu i Szin Bet było premierami: Peres, Netaniahu, Barak, Szaron... To powoduje, że najmniejszy problem agencji jest zarazem problemem rządu. Na taki luksus działania i funkcjonowania nie mogą sobie pozwolić inne światowe agencje wywiadowcze.

Po trzecie, Mossad był i jest agencją stosunkowo małą. O ile na przykład pierwszy główny zarząd KGB zajmujący się tym samym co Mossad, czyli wywiadem zewnętrznym, liczył na początku lat 90. 15 tysięcy oficerów i trzy tysiące zatrudnionych w kwaterze

głównej, o tyle wywiad izraelski dysponował w tym czasie zaledwie 1200 pracownikami łącznie ze sprzątaczkami. Zdaniem Victora Ostrowskiego, jedyne jak dotąd byłego oficera Mossadu, który wyjawiał szczegóły swojego dawnego życia, na całym świecie pracuje w tym samym momencie zaledwie 35 oficerów operacyjnych.

Mossad nie musi dysponować tysiącami agentów, ponieważ zgodnie z zasadą Ben Guriona „każdy Żyd jest potencjalnie członkiem Mossadu”. Wprowadzony przez agencję unikalny system „Sayanim” oznacza, że izraelski wywiad dysponuje nieograniczonym w praktyce zespołem ochotniczych pomocników rozsianych na całym świecie. Mogą to być profesorowie, dziennikarze, lekarze. Mogą być również sprzątaczkami, pielęgniarkami, krawcowymi. W istocie spoiwem wielu operacji przeprowadzonych z narażeniem życia przez Mossad i cywi-

lów oddających agencji i krajowi swe usługi był patriotyzm.

Jak zostać legendarnym szpiegiem

Werbunek do Mossadu niewiele się różni od werbunku do innych agencji. Victor Ostrowski, który opisał swoje szkolenie, zwraca uwagę, że agencja poszukuje osób łagodnego usposobienia, łatwo nawiązujących kontakty, nierzucających się w oczy.

Szkolenie Ostrowskiego było – jak wspomina – brutalne. Najpierw w zespole obcych sobie ludzi opowiadał o rodzinie. Miał kłamać w sposób przekonujący. Następnie wywieziono go do centrum miasta. Ostrowski miał się pojawić na balkonie jednej z kamienic ze szklanką w ręku. Podał się za przedstawiciela firmy nadzorującej ruch miejski i namówił lokatorkę, aby pokazała mu balkon w celu zawieszenia tam kamery monitorującej ruch.

Potem miał przeprowadzić dyskretną obserwację jednego z budynków. Co zrobił? Usiadł na dole z blokiem rysunkowym i zaczął rysować fasadę. Zatrzymała go podstawiona policja. Niezwykle brutalne przesłuchanie, łapanie za słowa, upokarzające rozkazy.

Następnie Ostrowski przechodził serie intensywnych szkoleń wojskowych i psychologicznych. Nauczono go werbować Arabów, którzy stanowią główny obiekt zainteresowania agencji. Dziś

było, to już połowa sukcesu” – mówi stara angielska doktryna wywiadowcza.

Sukcesy i klęski

Gdy w czerwcu 1967 roku Mossad doniósł o planowanej inwazji Egiptu, izraelskie lotnictwo zniszczyło wszystkie samoloty wroga, zanim te wzbity się w powietrze. Plan bombardowań dostarczyli egipscy Żydzi. Gdy rok później dwaj członkowie Ludowego

Mossad nie musi dysponować tysiącami agentów, ponieważ zgodnie z zasadą Ben Guriona „każdy Żyd jest potencjalnie członkiem Mossadu”

Mossad ma członków nawet wśród Palestyńczyków. Nie każdy bowiem obywatel Autonomii zgadza się z polityką Arafata, a wielu ożeniło się z Żydówkami. Palestyńscy agenci naprowadzają „likwidatorów” na członków Hamasu. Informują o spodziewanych zamachach. Tak też było w trakcie ostatniej operacji „Obronna Tarcza”.

Nawet jeśli metody Mossadu nie różnią się specjalnie od tych, które stosuje CIA, brytyjska MI6 czy choćby polski UOP, wielu Izraelczyków i ludzi na całym świecie jest przekonanych, że Mossad góruje nad innymi. Skąd się bierze to przekonanie?

W odpowiedzi na to pytanie może pomóc pewna anegdota. W połowie lat 80. w gazetach na całym świecie pojawiła się seria artykułów o wojnie agencji wywiadowczych. To oddział dezinformacji Mossadu wprowadził trochę zamieszania. Chodziło o pogłębienie paranoi arabskich przywódców. Mossad sam informował świat, że izraelskie służby nie mają sobie równych. To kulturowanie własnej potęgi jest, oczywiście, umotywowane psychologicznie. „Siła służb wywiadowczych leży nie tylko w jakości zebranych informacji, lecz także w legendzie, jaką potrafią się otoczyć. Jeśli wrogowie i sprzymierzeńcy wierzą w ich wszechobecność i odnajdują ślady interwencji nawet tam, gdzie jej nie

Frontu Wyzwolenia Palestyny otworzyli ogień do samolotu izraelskich linii lotniczych w Atenach, Mossad poinformował, że za zamachem stoją terroryści przeszkoleni w Libanie. Akcja odwetowa odbyła się błyskawicznie. Na lotnisku w Bejrucie wyleciało w powietrze 14 cywilnych samolotów należących do arabskich linii lotniczych. Znów dyskretna pomoc żydowskich informatorów.

Współpracy ze strony francuskich Żydów Mossad zawdzięcza informację o miejscu stacjonowania pięciu kanonierek, na sprzedaż których marszałek de Gaulle nie zgodził się po akcji Izraela w Bejrucie. 24 grudnia 1969 r., w porze wigilii, międzynarodowa ekipa agentów wdarła się do portu w Cherbourgu i po prostu ukradła Francuzom kanonierki sprzed nosa.

Kolejna słynna akcja potwierdzająca skuteczność i bezwzględność Mossadu odbyła się po tragicznych wydarzeniach na igrzyskach olimpijskich w Monachium w roku 1972. Oddział odłamowej frakcji palestyńskiej al Fatah – Czarny Wrzesień – porwał wtedy izraelskich lekkoatletów. Wskutek fatalnie przeprowadzonej akcji odbijania zakładników przez niemieckie służby sportowcy zginęli. Mossad powołał do życia specjalną grupę „likwidatorów”, którzy bez względu na koszty własne mieli odstrzelić li-

derów Czarnego Września, al Fatah i OWP. Zaczęło się gigantyczne polowanie godne filmu sensacyjnego. W niewielkich odstępach czasu w siedmiu zamachach zginęło dziesięciu palestyńskich liderów. Waela Adela Zwaitera, przedstawiciela OWP w Rzymie, zastrzelono 17 października 1972 r., Mohmud el-Hamszari, przedstawiciel OWP w Paryżu, zginął, gdy w czasie rozmowy wybuchł jego domowy telefon. Miesiąc później w podobny sposób poniósł śmierć Husajn Abu el-Khair, przedstawiciel OWP na Cyprze.

26 czerwca 1976 r. dwóch członków Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny i dwóch zachodnoniemieckich „partyzantów miejskich” uprowadziło francuski samolot pasażerski z 250 pasażerami na pokładzie. Maszyna wylądowała w Ugandzie, kraju rządzonego przez niesprzyjający Izraelowi reżim. Na starym lotnisku w Entebbe rozegrał się dramat. W hitlerowskim stylu porywacze dokonali selekcji na gojów i Żydów. 83 obywateli Izraela zatrzymano w celu wymiany ich na 490 więzionych w Izraelu terrorystów. Resztę zwolniono.

FOT. APPEAST NEWS



Urządzenie do podsłuchu znalezione u agenta Mossadu aresztowanego w Szwajcarii w lutym roku 1998. Złapała go szwajcarska policja w trakcie próby zainstalowania urządzenia w budynku publicznym w Bernie

Uwolnieni opowiadali potem dziennikarzom o tej specyficznej segregacji rasowej. Premier Izraela dał Mossadowi wolną rękę. Szef agencji wysłał na odległość 1500 kilometrów trzy gigantyczne transportowce pełne uzbrojenia i ludzi. Po złamaniu kilkudziesięciu przepisów prawa międzynarodowego komandosi zastrzelili



Życie jest krótkie... film też!

krótkometrażowe filmy dokumentalne, fabularne i animowane

Organizator:
Instytucja Filmowa Apollo Film
ul. Pychowicka 7, 30-364 Kraków
tel. 0...12/ 267 13 55, fax 267 10 60
www.shortfilm.apollo.pl





Tysiące Palestyńczyków otaczają trumnę Abu Dżihada, dowódcy skrzydła militarnego Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Dżihada zabili komandosi izraelscy w 2001 roku

porywaczy i uwolnili zakładników. Podczas akcji zginął trafiony przez ugandyjskiego snajpera Jonatan Netaniahu, brat przyszłego premiera, autor krwawej zemsty na Czarnym Wrześniu.

Naczelną zasadą, jakiej mieli się trzymać zamachowcy, był brak dodatkowych ofiar. Ginać miał wyłącznie wybrany człowiek. W pierwszym zamachu na terrorystów Czarnego Września brał nawet udział w roli obserwatora sam szef Mossadu.

Wielka wpadka nastąpiła w czerwcu roku 1973. Wysłani w obcy teren agenci zamiast szefa Czarnego Września zabili niewinnego kelnera w Lillehammer w Norwegii. Sześciu członków Mossadu aresztowano, a reputacja agencji została nadwyrężona. Agencja wycofała się z kontynuowania śmiertelnej serii. Wskutek tego agenci nie dotarli do Jasera Arafata będącego na liście potencjalnych celów Mossadu.

Pierwszy raz Arafat trafił na celownik izraelskiego snajpera do-

piero w roku 1982. Zgody na akcję nie dał jednak premier Begin. Innym razem w zamian za zabicie kilku agentów Mossadu izraelskie siły lotnicze zbombardowały siedzibę szefa OWP w Tunisie. Płonący budynek Arafat oglądał jednak z oddali. Kilka minut wcześniej przypadkowo postanowił pobić trochę dla zdrowia.

Dramatyczny los spotkał samego szefa Czarnego Września. Abu Daud korzystał w roku 1986 z dyskretnego gościny rządu polskiego. Siedział w wygodnym fotelu na parterze hotelu Victoria w Warszawie, gdy dosięgło go sześć kul. Mimo ciężkich obrażeń wylizał się i opuścił przyjazny kraj.

Własna droga

Jeden z dyrektorów Mossadu Meir Amit mawiał: „Jeżeli życie się okruciami z cudzego stołu, uzależnieni od humoru właściciela, to wasza sytuacja jest bardzo niewygodna i trudna. Jeżeli dysponujecie swoimi własnymi, niez-

ależnymi możliwościami, wspinać się o szczebel wyżej”. Wywiad izraelski wkroczył na ten szczebel 19 września 1988 r. Tego dnia zmodyfikowana wersja rakiety Jerycho skonstruowanej do przenoszenia izraelskiej bomby atomowej wyniosła na orbitę satelitę o nazwie „Ofek” – „Horyzont”. Dla Mossadu zaczęła się nowa era. Wywiad dowiedział się z podsłuchu, że Syria gromadzi gaz musztardowy, który może być zrzucony przez rakiety dostarczone przez Rosję. Libia rozpoczęła produkcję broni chemicznej. Na domiar złego Muammar Kaddafi zakupił niemieckie urządzenia do tankowania paliwa samolotowego w powietrzu. Oznaczało to kolejne zagrożenie z powietrza. Poza tym Irak był o krok od skonstruowania własnej broni atomowej. Satelita (z czasem Izrael posiadał ich kilka) pokazał, że przygotowania do atomowego konfliktu idą pełną parą.

Opinia publiczna Izraela o tych zagrożeniach dowiadywała się ostatnia. Jednak dziś, wraz z coraz

głębszą elektroniczną infiltracją wrogów i rozwojem niezależnych mediów, wewnętrzne tajemnice przestały być tak pilnie strzeżone. Wiadomo, gdzie mieści się siedziba Mossadu w Tel Awiwie, znane są nazwiska niektórych byłych szefów agencji.

Czy Izraelowi przyjdzie zapłacić za te niedyskrecje? Raczej można w to wątpić. Izrael jest co prawda krajem demokratycznym, ale pal licha demokrację, gdy chodzi o przetrwanie.

MICHAŁ WÓJCIK

Przy pisaniu tekstu korzystałem z następujących źródeł:
• Roger Falligot, Remi Kauffer „Służby specjalne: historia wywiadu i kontrwywiadu na świecie”, Warszawa 1998
• Daniel Raviv, Yossi Melman „...A każdy szpieg to książę. Pełna historia wywiadu izraelskiego”, Warszawa 1998
• Zvi Aharoni, Wilhelm Dietl „Operacja Eichmann. Jak to było naprawdę”, Warszawa 1998
• Claire Hoy, Victor Ostrowski „Wyznania szpiega. Z tajemnic izraelskiego wywiadu”, Warszawa 1990
• Bolesław Piastowicz „Szin Bet: tajna broń Izraela”, Warszawa 1970.



FOT. TADEUSZ ROLKE / AG (3)

Targ, ryby i pstryk!

Od kwietnia do września
Hamburczycy obejrzą
setki tysięcy fotografii.
Na zdjęciach genialnego
polskiego fotografa
TADEUSZA ROLKEGO
zobaczą samych siebie

VERENA MAJCHROWSKA: Jeżeli wyobrażymy sobie Hamburg jako duży, luksusowy balon, to Fischmarkt jest jak dziura, przez którą uchodzi z niego powietrze. Ten wentyl w „zdrowej” tkance miasta jest potrzebny?

TADEUSZ ROLKE: To nie jest niezdrowa narośl na zdrowym organizmie miejskim. Fischmarkt budzi się do życia w każdą niedzielę o szóstej rano i około południa zamiera. Pełni z jednej strony ważną funkcję gospodarczo-zaopatrzeniową, z drugiej towarzyszą i kultową. Zasadniczo ma charakter festynu ludowego, ale stałymi jego bywalcami są i przedstawiciele elit, bohemy artystycznej, i wszelkie oryginały, outsiderzy, którzy trafiają tu po całonocnej „knajpenrundzie”, jedzą śniadanie, piją szampana, kupują świeże krewetki, po prostu kontynuują upojną zabawę.

Ktoś, kto przyjechałby do tego miasta w niedzielę po południu i wyjechał w sobotę wieczorem, nie wiedziałby, że taki Hamburg istnieje.

Na wystawie pokazujesz zdjęcia Fischmarktu z lat 70. Co zmieniło się od tamtego czasu? I czy przypadkiem z miejsca tak przepełnionego autentyzmem nie uczyniono turystycznej atrakcji, targowiska souvenirów?

– Dalej jest to miejsce targowe i miejsce rozrywki, ludzie słuchają muzyki, tańczą albo wychodzą obciążeni torbami. I co najważniejsze: cieszą się tym miejscem. Co się zmieniło? Dziś większość handlarzy to cudzoziemcy, wśród których dominują Turcy, choć słyszałem też polskie głosy... Optycznie też się trochę zmieniło, dzieci-kwiaty już tam nie rosną, inna jest moda, inna swoboda zachowania, ale dziwacy, typy niepodlegające klasyfikacji, przychodzą tam po dzień dzisiejszy, to ich żywioł, a dla fotografa ciągle kuszący temat.

Kim byłeś wtedy? Czy, jak napisał pewien krytyk, „człowiekiem niebezpiecznym i obcym temu światu”,



bo uzbrojonym w aparat? Obserwowałeś widowisko, czy byłeś też aktorem?

– Muszę przyznać, że nie od razu załapałem bakcyła. Na początku pobytu w Hamburgu przeprowadzono mnie na Fischmarkt gościnnie i poznał go. Nie mogę powiedzieć, że mi się to nie podobało, ale nie spłynęła na mnie wówczas twórcza wena. Minęło dobrych kilka lat, zanim pojawiłem się tam ponownie, tym razem jako oprowadzający. Na szczęście wziąłem aparaty, trochę filmów i po chwili stwierdziłem, że muszę się na jakiś czas rozstać z zaproszoną przeze mnie panią. Wtedy właśnie bakcył tego miejsca zaatakował. Po dwóch godzinach z ubolewaniem dostrzegłem, że nie mam już filmów. Postanowiłem więc, że za tydzień będę tam znowu o szóstej rano. I tak się to zaczęło. Miałem dużo szczęścia, bo już na samym początku pojawili się ludzie, którzy mi bardzo pomogli. Poznałem dyrektora artystycznego

instytucji, która zajmowała się promowaniem miasta, i kiedy mu pokazałem kilkanaście pierwszych odbitek, stworzył mi rachunek w firmie fotograficznej, gdzie mogłem się zaopatrywać w materiały.

Na początku byłem trochę myśliwym, ale potem szybko się zintegrowałem. Wniknąłem w tkanę. Stałem się bywalcem, postacią rozpoznawalną.

Czy pojawiali się tam inni fotografowie?

– Byli tacy, którzy na tym zarabiali. Fotografowali polaroidem ludzi w knajpach i natychmiast sprzedawali im portrety.

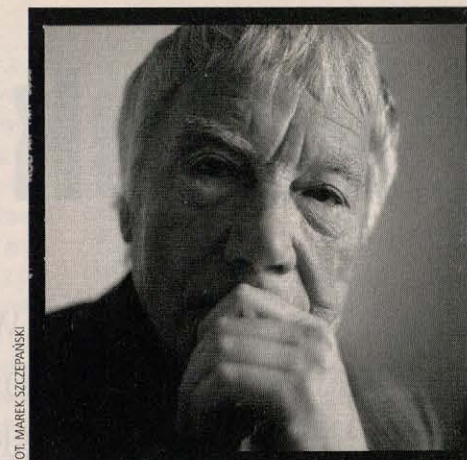
Ale chodzi mi o kogoś bezinteresownie rejestrującego ten świat?

– Nie przypominam sobie. Na pewno nie spotkałem nikogo, kto z taką regularnością odchodziłby z aparatem w rękę.

Czy w Warszawie nigdy nie inspirowały Cię podobne miejsca, weźmy bazar Różyckiego, Stadion Dziesięciolecia...

– Nie, nie ma porównania. Mnie się wydaje, że jest to inna mentalność, inna kultura. Odałem wrażenie, że w Polsce handlarze mniej identyfikują się ze swoim zajęciem czy zawodem, a to przecież buduje całą aurę danego miejsca. Ludzie są tutaj mniej otwarci i podejrzewam, że byłoby to trudniejsze zadanie. Na przykład przez wszystkie lata fotografowania Fischmarktu raz jedyny spotkałem się z protestem. Jakiemuś Turkowi nie spodobało się, że robię zdjęcie jego córce. Przeprasiłem go i na tym się skończyło. U nas często spotykałem się z agresywną odmową.

A poza tym na Stadion nikt nie jeździ, żeby tam spędzić wolny czas. To miejsce *strictly* handlowe, pozbawione zaplecza rozrywkowego,



FOT. MAREK SZCZEPANSKI

TADEUSZ ROLKE

(ur. w 1929) zdjęcia zaczął robić w latach 50. Po wyjściu z więzienia, gdzie znalazł się jako jedna z tysięcy ofiar stalinizmu, zajął się fotografią reportażową. W 1958 r. otrzymał dwie drugie nagrody na Ogólnopolskiej Wystawie Fotografii i został obwołany cudownym dzieckiem fotografii polskiej. Przyjaźnie z najwybitniejszymi artystami zaowocowały portretami tak znanych postaci, jak Tadeusz Kantor, Henryk Szażewski, Alina Szapocznikow, Piotr Skrzynecki. Po roku 1968 wyemigrował do RFN. W 1997 r. w Centrum Sztuki Współczesnej pokazał wystawę „Fotografowałem lata 60. i nie tylko...”.



tradycji. Uboższa jest oferta towarowa, nie dostaniesz tam tuzina ostróg za beczkę.

Kim był pan ze zdjęcia, który pokazuje pośladek?

– Był sprzedawcą maskotek, chyba małych penisów. Zaczęliśmy się targować o te penisy i kiedy próbowaliśmy zbić cenę, powiedział, że za pięć marek to on może mi najwyżej tylek pokazać. Więc ja na to przystałem, dobiliśmy targu i zrobiłem mu zdjęcie. W przeciwieństwie do polaroidowców, to ja płaciłem za tę przyjemność.

Rozmawiała VERENA MAJCHROWSKA

„Fischmarkt” Tadeusza Rolkego można oglądać w Hamburger Kunstverein do 16 czerwca. Wystawa jest częścią II Triennale Fotografii Hamburg 2002, na które składa się kilkadziesiąt wystaw zaplanowanych do końca września.

Przez żołądek do nogi

O koreańskim mięsie, polskiej Żubrówce i włoskim spaghetti, które dało Polsce awans do finałów mistrzostw świata, z **ROBERTEM SOWĄ**, kucharzem piłkarskiej reprezentacji Polski rozmawiają Marta Walkowska-Lipko i Tomasz Lipko

MARTA WALKOWSKA-LIPKO, TOMASZ LIPKO: Jak kucharz kadry przygotowuje się do mistrzostw świata?

ROBERT SOWA: Najpierw uzgadniam z lekarzem kadry Stanisławem Machowskim szczegółowe menu na każdy dzień pobytu. Potem kontaktuję się mailowo z szefami kuchni miejscowych hoteli i zapewniam dostawę wszystkich składników na miejscu. Po przyjeździe do Korei najpierw sprawdzę terminy przydatności do spożycia na wszystkich opakowaniach, stemple weterynaryjne na porcjach mięsa i upewnię się, czy żaden z produktów nie został

rozpieczętowany. Zwłaszcza na wyjazdach obowiązuje żelazna reguła: żaden napój nie może zostać otworzony bez mojej obecności. W całej kadrze tylko ja mam prawo otwierać wszystkie kartony, puszki czy butelki przed posiłkami. Po różnych kłopotach żołądkowych paru naszych kadrowiczów takiej kuchennej dyscypliny zażądał od nas sam trener Engel.

Na ilu pomocników może Pan liczyć w Korei?

– Mogę liczyć na co najmniej czterech skośnookich specjalistów. Niestety, z tego, co już

wiem, trudno się będzie z nimi porozumieć. Ja sam znam angielski i niemiecki, ale niestety nie mam gwarancji, że moi pomocnicy znają języki obce. To źle, bo nawet niewielkie nieporozumienie może mieć dla całej drużyny konsekwencje trudne do przewidzenia. Na takie wypadki mam zawsze ze sobą klucz, który otwiera mi wiele drzwi w kuchniach całego świata. To polski alkohol – niezwykle popularny za granicą. Zawsze zabieram ze sobą na czarną godzinę butelkę Żubrówki, która wiele razy szczęśliwie kończyła najróżniejsze kry-

zysy i zjednywała mi przyjaciół w trudnych momentach.

O jakich problemach w Korei już teraz wiadomo?

– Nie parzą kawy w tradycyjnym tego słowa rozumieniu. W ogóle nie ma tam zwyczaju picia *espresso* – ulubionej przez całą drużynę. Dlatego szykuję zapasy dobrej brazylijskiej kawy. Do samolotu będziemy też musieli wtaszczyć ogromny ekspres. W drużynie krążą także dowcipy o koreańskiej potrawce z psa zmielonego razem z budą. Faktem jest, że nie jestem pewien pocho-

dzenia mięsa, które zapewnią nam gospodarze. Muszę więc wziąć ze sobą z Polski mięso mrożone. Musimy zabrać ze sobą tak egzotyczne w Korei potrawy jak ser biały, ser żółty, parmezan, oliwę z oliwek, pomidory w puszcze. W sumie, jak już obliczyłem, nasza wałówka będzie ważyła co najmniej 400 kilogramów, choć cały czas liczę na to, że w ostatniej chwili gospodarze pozwolą mi coś z tej listy wykreślić.

Na pokładzie samolotu też Pan rządzi?

– Oczywiście. Lecimy prezydenckim samolotem i już dawno ustaliłem szczegółowe menu z cateringiem LOT-u – na noc (wylot z Warszawy przed północą) lekki kurczak z warzywami i ryżem. Rano lekkie śniadanie – podany zostanie omlet z szynką, białe pieczywo z twarogiem i dżemami, a przed lądowaniem już tylko suchy prowiant – podróż trwa tak długo, że produkty załadowane w Warszawie w okolicach Phenianu już stanowiłyby ryzyko ze względu na świeżość.

Co Pan im będzie serwował w czasie samego turnieju?

– Przed całym turniejem, który – bez względu na wynik – będzie dla organizmów piłkarzy rzadko spotykaną torturą, przejdziemy na dietę wysokobiałkową i węglowodanową, a więc: ziemniaki, dużo ryb w najróżniejszych postaciach, drób, jaja i rośliny strączkowe oraz płatki zbożowe, *muesli* i bogate w węglowodany banany. Do tego dochodzi jeszcze cały proces aklimatyzacji z niestrawnością i rozregulowanym trybem aktywności dziennej. W porozumieniu z lekarzem reprezentacji rozpoczynamy zatem operację „zmiana diety” na trzy dni przed odlotem do Azji. Koniec z coca-colą, herbatą i czekoladą, w zamian za to dużo białka, mało kalorii i ścisłe trzymanie się stałych godzin posiłków.

Wiadomo już, co będzie podane przed pierwszym meczem z Koreą?

– Posiłek przedmeczowy jest w reprezentacji zawsze taki sam i nigdy nie ma prawa się zmienić: bulion z kurczaka z warzywami

i mięsem oraz z makaronem ryżowym, na drugie filetowany łosoś norweski, grillowana pierś z kurczaka bez żadnego sosu, *spaghetti* gotowane *al dente* z jednym z dwóch sosów: neapolitańskim na bazie samych pomidorów, bazylii i oliwy oraz bolońskim, czyli ten sam zestaw połączony z mięsem mielonym i warzywami. Kiedyś „zajrzałem przez ramię” kucharzowi Norwegów i okazało się, że jedyną różnicą w przedmeczowym obiedzie obu naszych reprezentacji był sposób doprawienia sosu bolońskiego.

Zasadnicza różnica między kucharzami różnych reprezentacji polega na zaufaniu do miejscowych produktów. Trzy lata temu, gdy graliśmy z Anglią o finały mistrzostw Europy, Anglicy przed meczem wysłali do Warszawy ogromnego tira ze wszystkimi produktami – od pieczywa po wodę mineralną. Uznali Polskę za kraj, gdzie nie ma bezpiecznego jedzenia. Według mnie takie podejście to absurd. Zabieram ze sobą tylko to, co naprawdę jest niezbędne i korzystam z warzyw i mięs przygotowanych dla nas przez gospodarzy, nawet w takich krajach jak Bułgaria czy ostatnio Białoruś. Przeważnie zabieram ze sobą właśnie biały ser, sprawdzoną oliwę, ewentualnie płatki kukurydziane.

Na ile godzin przed meczem podaje Pan piłkarzom ostatni posiłek?

– Zawsze godzinę przed meczem musimy być na stadionie. Dwie godziny wcześniej musimy wyjechać z hotelu. Obiad podaję więc pięć godzin wcześniej, tak żeby reprezentacyjne żołądki zdążyły odpocząć i żeby tuż przed wyjazdem, po krótkiej drzemce, chłopcy mogli jeszcze zjeść podwieczorek. Wykładałem im wtedy na stół świeże owoce, kawę, herbatę, ciastka i kanapki z chudą szynką. Największym powodzeniem tuż przed meczem cieszy się ba-

nan

– najbardziej bodaj sportowy owoc.

Banan uznawany jest za najlepszy posiłek przed skrajnie wytężonym wysiłkiem fizycznym, jakim jest mecz – zawiera bardzo dużo energetycznych węglowodanów, które doskonale wzmacniają organizm, a jednocześnie nie jest ciężkostrawny jak na swoją wartość odżywczą.

A po meczu?

– Posiłek musi być przede wszystkim lekki. 90 minut gry walki o mistrzostwo świata to nawet dla organizmu zawodowego piłkarza skrajny wysiłek, piłkarze w trakcie jednego spotkania potrafią stracić kilka kilogramów wagi. Dlatego po takim wyczerpaniu organizmu należy go oszczędzać przynajmniej przez kolejne 48 godzin. Bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że zwłaszcza na takim turnieju jak mistrzostwa świata rola kucharza jest wyjątkowa, choć wszystko jak zwykle szczegółowo konsultuję z lekarzem kadry Stanisławem Machowskim. Jak u człowieka po ciężkiej operacji wprowadzanie pokarmów po meczu zaczyna się od rzeczy najlżejszych i jest ograniczone całym szeregiem ścisłych rygorów. Na pewno wypłukane w czasie wy-

siłku sole mineralne, sód i witaminy na okrągło będą musiały im uzupełniać w dużej ilości mlekiem, napojami i wodą mineralną oraz lekimi bulionami drobiowymi. Mimo piekielnych upałów wszystkie napoje będą podawane wyłącznie w temperaturze pokojowej, tak żeby organizm przyswoił maksymalnie dużo brakujących składników.

Owoce i warzywa?

– Piłkarze jedzą bardzo dużo owoców, najczęściej są to banany (węglowodany), ale też winogrona w obydwu kolorach, kiwi, mandarynki i jabłka (muszą być twarde, po miękkich mają problemy żołądkowe). W menu obok obowiązkowej zielonej sałaty musi być kuku rydza (dosypują ją do większości potraw obaj „Francuzi” – Piotrek Świerczewski i Jacek Bąk). Na stole zawsze musi być ocet balsamiczny, oliwa z oliwek, chrupiące bagietki. No i napoje. Dwóch bramkarzy pochłania napoje szklankami: Jurek Dudek wypija hektolitry mleka, zaś trener bramkarzy Józef Młynarczyk – herbaty.

Zawsze obecna jest sałatka z tuńczyka, sałatka grecka, *caprese*, czyli pomidory z mozzarellą, półmisek z serami (ulubione danie Piotra Świerczewskiego).

Przy jakich posiłkach dopuszczalny jest alkohol?

- Jeszcze za poprzedniego trenera, Wójcika, utarł się zwyczaj, który teraz właściwie stał się już tradycją, że dzień przed meczem po kolacji zasiada do stołu z całą drużyną trener z całym sztabem - wszystkimi szkoleniowcami, lekarzami, masażystami - i wszyscy razem piją piwo. To wyjątkowy moment, gdzie wszyscy ze sobą mogą na luzie porozmawiać. No i oczywiście po wygranym meczu obowiązkowo wjeżdżają na stół butelki szampana.

Dużo ma Pan problemów z kulinarnymi kaprysami naszych gwiazd?

- Prawie każdy z nich ma swoje zachcianki i rzeczywiście muszą je zaspokajać. Jacek Bąk grający na co dzień w Lens (wicemistrz Francji) jest niespotykanym łasuchem na lody pod wszelką postacią i może pochłoniąć każdą ich ilość. Ja przygotowuję mu specjalnie lody waniliowo-cynamonowe z gorącymi śliwkami. Tomek Iwan z Austrii Wiedeń gustuje w słynnym wiedeńskim deserze „Heisse Liebe”, czyli „Gorąca miłość” - maliny na gorąco z lodami waniliowymi; dla Bartka Karwana trzeba pamiętać o pomidorach z mozzarellą i octem balsamicznym. Wiceprezes Boniek to koniecznie placki ziemniaczane. Największy

problem mam jednak z Pawłem Kryszalowiczem, który ubóstwia pieczarki smażone na głębokim tłuszczu, więc zawsze na początku zgrupowania przemycam mu przynajmniej jedną porządną porcję dobrze wysmażonych pieczarek. W lecie zawsze urządzamy sobie porządnego grilla z dobrymi polskimi kiełbasami i kaszanką. Dlatego właśnie, chociaż to nie za bardzo dietetyczne, każde dłuższe zgrupowanie zaczynam od schabowego z kapustą, polskich pierogów, żurku z kiełbasą. Dla tych chłopaków grających na co dzień w Berlinach, Paryżach czy Londynach to niesamowita frajda. Do Korei też zabieram worek żytniej mąki i suszone grzyby, żeby po zwycięstwie przygotować chłopakom w egzotycznej Azji wazę dymiącego żurku.

Najbardziej kłopotliwa fanaberia piłkarzy?

- Paradoksalnie chodziło o białe ser. Graliśmy przełomowy mecz w eliminacjach z Norwegią w Oslo. Wszyscy podenerwowani, nagle okazuje się, że w hotelowej spiżarni nie ma białego sera - podstawy śniadania dla całej drużyny. Dla naszych piłkarzy białe ser na śniadanie to świętość, jest komponowany na kilkanaście sposobów - na przykład Jacek Zieliński smaży go powidłami, trener Engel stosuje ser z pomidorami, papryką. Niestety po błyskawicznym rekonesansie w najbliższych skle-

pach spożywczych zorientowałem się, że białe ser jest w Norwegii specjałem nieznanym. W desperacji zakupiłem twarożki homogenizowane wszelkich gatunków i kombinując na granicy magii, przygotowałem im coś, co najbardziej przypominało białe twarożki. Jak opowiedziałem im całą historię, wszyscy parsknęli śmiechem, atmosfera od razu się rozluźniła. Potem rozegrali jeden z najlepszych i najbardziej dramatycznych pojedynków w eliminacjach, pokonując Norwegię na wyjeździe 3:2. W Korei i Japonii problem twarożku niestety powróci - nie mogę go wziąć choćby ze względu na krótki termin ważności.

Bywa, że piłkarze pomagają Panu w kuchni?

- W ekstremalnych sytuacjach bywa, że muszą prosić ich o pomoc. Choćby z tego względu nigdy nie zapomnę rewanżu z Norwegią, czyli meczu decydującego o naszym awansie do finałów. Mecz odbywał się na Stadionie Śląskim w Katowicach. Na skutek nieporozumienia cała ekipa była nieźle spóźniona na obiad w katowickim hotelu Warszawa i gdy przedzierał się w korkach, dzwoniłem z autokaru do hotelowych kucharzy, żeby już wystawiali przygotowany obiad. I to był mój błąd - wsadzony do wywaru makaron

kompletnie się rozgotował. Obowiązkowa przed każdym meczem *pasta al dente* została bezpowrotnie zepsuta. W tym momencie na szczęście mogłem liczyć na naszego niezawodnego rozgrywającego z włoskiej Brescii Marka Koźmiskiego. W tym dramatycznym momencie porozumiałem się z nim w kuchni bez słów. Z pomocą miejscowych kucharzy w ciągu kilkunastu minut przygotowaliśmy jedno z najlepszych *spaghetti alla bolognese* w mojej karierze. Kilka godzin później w obecności kiludziestotysięcznej publiczności wygraliśmy z Norwegią 3:0 i pierwszy raz od 13 lat awansowaliśmy do finałów mistrzostw świata.

Rozmawiali
MARTA WALKOWSKA-LIPKO
i TOMASZ LIPKO

ROBERT SOWA

jest honorowym prezesem Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Szefów Kuchni i Cukierni, członkiem Światowego Stowarzyszenia Kucharzy (World Association of Cooks) i szefem kuchni warszawskiego hotelu Jan III Sobieski od 1994 roku. Oficjalny kucharz piłkarskiej reprezentacji Polski od 1998 roku.

Być Holendrem

Zabójstwo Pima Fortuyna nie spowoduje wielkiego kryzysu w Holandii. Ale świat nie będzie już patrzył na nasz kraj jak na oazę szczęśliwców i luzaków

Ostatnie uśmiechy moich przyjaciół z Polski, obietnice, że na pewno tu wrócą, bo nie ma równie fajnego kraju jak Holandia. Przyjechali z Polski na ślub, bo właśnie ożeniłem się z Polką. Dopiero co taksówka zniknęła za rogiem, jeszcze parę komentarzy, znów ciepłe słowa pod adresem Holandii, o tolerancji, o swobodzie, o lekkości bytu. I wreszcie powrót do rzeczywistości.

W radiu ciągle o śmierci Pima Fortuyna. Pierwszy polityczny mord od kilku stuleci. W komentarzach telewizyjnych to samo patetyczne pytanie - co dalej z naszym krajem, z demokracją, z której tak byliśmy dumni?

Nie mam wątpliwości, że wyjdziemy z tego kryzysu. Pozbieramy się bardzo szybko, bo pragmatyzm mamy we krwi. Legalizacja eutanazji, prostytucji, miękkie narkotyki dostępne na każdym rogu - to właśnie wynik naszego praktycznego podejścia do życia. A jednak tak pieczołowicie budowany obraz Holandii jako „fajnego” kraju może się zmienić.

Od początku lat 80. dużo podróżuję po Europie. Co roku uczestniczę w międzynarodowych spotkaniach go, podczas których grającej tej najstarszej gry planszowej na świecie znanej głównie w Azji walczą o tytuł mistrza Europy. Wszędzie czuję otaczającą mnie sympatię - Holender, i to jeszcze z Amsterdamu, stolicy tolerancji, wielu kultur, narodowości. Jestem zwykle mile połączany. Atmosfera na kongresach przypomina życie w Amsterdamie: króluje otwartość i tolerancja.

Tylko raz było inaczej i dziś, przy okazji śmierci Pima Fortuyna i moralnego kaca, który tak mocno dokucza Holendrom, przypomina mi się to wydarzenie. Działo się to w roku 1989 na mistrzostwach Europy w Niszu, jeszcze w Jugosławii. Przytłoczyły mnie wtedy nacjonalistyczne nastroje Serbów. Mówili niestwo-



Tysiące Holendrów wzięły udział w pogrzebie Pima Fortuyna 10 maja

rzne rzeczy o Chorwatach, o agresji, gwałtach, nienawiści. Żyli konfliktami, które wydarzyły się kilka stuleci wcześniej, a oni przeżywali je tak intensywnie, jakby działy się wczoraj. Mimo gościnności Serbów poczułem się jak w obcym świecie. Jak bardzo był to obcy świat, Holendrzy przekonali się kilka lat później. Nasi politycy nie zdawali sobie sprawy, że podjęli się rzeczy niemożliwej - stworzenia w Srebrenicy bezpiecznej strefy dla muzułmanów. Serbowie, których nie powstrzymało holenderskie wojsko, zamordowali tysiące bezbronnych ludzi. Dziś wiemy, że te wydarzenia okryły Holandię hańbą. Po opublikowaniu przed kilkoma tygodniami raportu w tej sprawie nie jestem już tak dumny i pewny siebie jako Holender.

Boli też fakt, że dopiero w tym roku nasz rząd poczuł się współodpowiedzialny za wydarzenia w Srebrenicy i podał się do dysmisji. Prasa zagraniczna, w tym polska, przekonywała, że to dowód wysokiego poziomu demokracji w Holandii. Odetchnęliśmy z ulgą. Samozadowolenie skończyło się 6 maja, kiedy to strzały szaleńca przypomniły, że nasz kraj jest taki sam jak inne.

Pim Fortuyn nie był tylko prawicowym politykiem wzbudzającym emocje z powodu swoich poglądów: niechęci do imigrantów, otwartej krytyki islamu. Był też, o czym mówił bez ogródek, homoseksualistą i obnosił się ze swoim bogactwem, a okazywanie bogactwa w Holandii

nie jest mile widziane. Część moich rodaków obwinia polityków i prasę o demonizowanie jego postaci. Znowu - jak w przypadku Srebrenicy - wielu Holendrów zadaje sobie teraz pytanie o odpowiedzialność i winę za zbrodnię.

Dziś rozumiemy - być może lepiej niż wcześniej - że demokracja nie jest dana raz na zawsze. Chwaleni za otwartość i tolerancję łatwo zapomnieliśmy, że jesteśmy tacy sami jak inni. Mamy swoich szaleńców, rasistów, kiboli - nie gorszych niż w Anglii.

Zresztą inni o tym wiedzą i przylepiają nam niegorsze narodowe etykiety. Od XVII wieku, po wojnach z Holendrami, język angielski pełny jest pejoratywnych określeń naszej nacji. *Dutch courage* to odwaga po alkoholu, holenderskie przyjęcie - każdy płaci za siebie, holenderski koncert - każdy śpiewa solo w tym samym czasie.

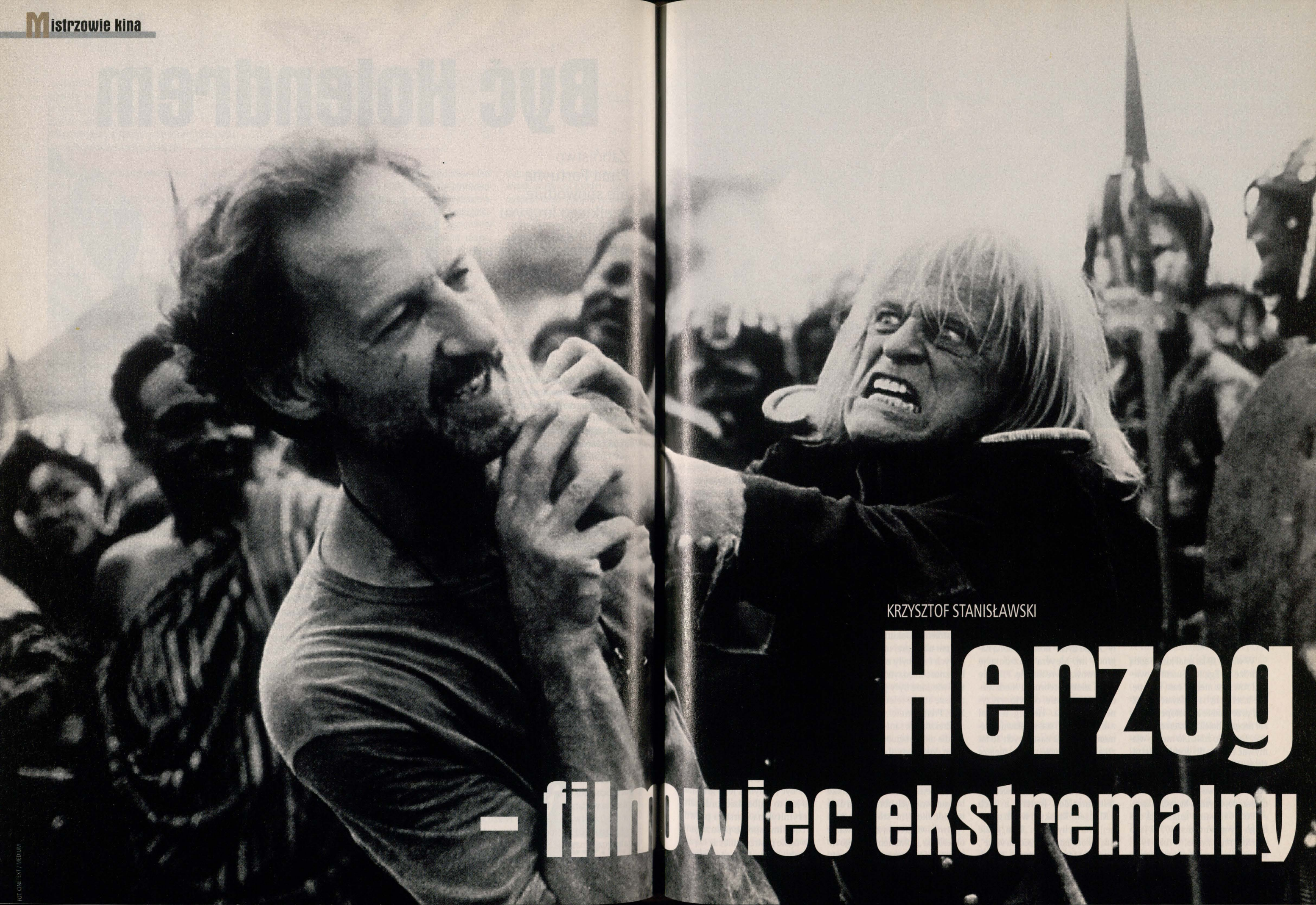
Jest też powiedzenie *Dutch comfort* - fałszywe pocieszenie i współczucie. Po zabójstwie Pima Fortuyna Holendrzy pokazali jednak prawdziwe emocje. Miliony kwiatów, listów pożegnalnych, tysiące ludzi w kolejce do złożenia wpisów w księgach kondolencyjnych. Solidarne współczucie niezależnie od koloru skóry, wyznania, poglądów politycznych, a nawet przynależności do klubów piłkarskich. Może to będzie nasze *catharsis*?

PETER DIJKEMA

Autor jest niezależnym holenderskim dziennikarzem.



rys. Marek Raczkowski



KRZYSZTOF STANISŁAWSKI

Herzog

– filmowiec ekstremalny

„Lubię podchodzić aż ku granicy nieprawdy, by odkryć w ten sposób intensywniejszą postać prawdy”



Herzog w trakcie kręcenia ostatniego filmu fabularnego „Niezwyciężony”. Na poprzedniej stronie: Werner Herzog i Klaus Kinsky w filmie dokumentalnym „Mój ukochany wróg”

Na otwierającym 24 maja Kra-kowskim Festiwalu Filmowym nagrodę główną za całokształt twórczości – Smoka Smoków – otrzyma Werner Herzog, jeden z najoryginalniejszych i najbardziej tajemniczych filmowców naszych czasów. On sam będzie nieobecny. Jak dowiedzieliśmy się, przebywa w Tybecie, gdzie pracuje nad najnowszym projektem filmowym „Kalachakra”.

Podróże magiczne

W wieku 18 lat miał już za sobą podróże do Egiptu i Sudanu, zwiedził również niemal całą Europę. Nie trzeba chyba dodawać, że jeździł przeważnie autostopem i unikał drogich hoteli. Szczepnie wyznawał, że często zdarzało mu się wla-mywać na noc do domków letni-skowych lub spać po prostu na dworze – na ławce, w szałasie. Podróże – mówił – to poszukiwanie miejsc utopijnych, o których marzę. Podróżowanie miało też dla niego wymiar magiczny. Już jako dojrzały mężczyzna, w roku 1974, na wieść o chorobie Lotte Eisner,

znanej niemieckiej pani historyk i krytyka filmu, udał się do niej do paryskiego szpitala na piechotę, „z przekonaniem, że Lotte będzie żyć, gdy przyjdę do niej pieszo...”. Przeżyła.

Dokumenty – niedokumenty

Kręci filmy od roku 1962. Nie ukończył żadnej szkoły, uczył się, kręcąc krótkometrażówki. Za scenariusz swojej debiutanckiej fabuły „Znaki życia” dostał ceniową nagrodę im. Meyera oraz dotację państwową na realizację. Film się udał i zdobył Srebrnego Niedźwie-dzia na Berlinale, co było wyczynem nie lada. Herzog niemal z dnia na dzień stał się sławny i ceniony. W ciągu następnych 20 lat zrealizował swoje najgłośniejsze filmy fabularne: „Aguirre, gniew boży”, „Zagadkę Kaspára Hausera”, „Stroszka”, „Woyzecka”, „Nosferatu”, „Fitzcarraldo” (cztery z nich z Klausem Kinsky w roli głównej) oraz schyłkowe: „Tam, gdzie śnią zielone mrówki”, „Cobra verde”, i po dłuższej przerwie „Krzyk

kamienia”. Po jeszcze dłuższej przerwie (10 lat od „Krzyku...”, a 14 od „Cobry...”) powstał „Niezwyciężony” (Invincible) z Timem Rotherm. Czekamy na polską premierę tego filmu.

Zaczynał od dokumentów i nigdy nie przestał ich kręcić. Był to równoległy i całkowicie równorzędny nurt jego twórczości. W ostatnim 15-leciu Herzog kręcił właściwie tylko dokumenty i to one przypominały światu o jego istnieniu. Dokumenty przyniosły mu najwięcej nagród festiwalowych i zdobyły największą publiczność międzynarodową, gdyż wyświetlane były przez najważniejsze stacje telewizyjne: BBC, ZDF, Premiere etc.

Zresztą, jak sam przyznaje, nie ma dla niego różnicy pomiędzy filmem dokumentalnym i fabularnym, kręci po prostu swój kolejny film, stanowiący następny rozdział jego „eseju o człowieku”. Także bohaterowie tych obrazów są dlań w jednakowym stopniu realni i prawdziwi. Zresztą zastosowanie określenia „dokument” do jego filmów niefabularnych jest czysto

umowne, gdyż w istocie nie są to dokumenty, lecz filmy wykorzystujące materiał dokumentalny, ale jednocześnie inscenizujące go, podporządkowujące precyzyjnie-mu scenariuszowi i spisany-mu kwestiom wypowiedzianym przez bohaterów. W pewnym sensie Herzog stworzył odrębny gatunek – bardzo swoisty, ale i bardzo charakterystyczny dla całej jego filozofii kina oraz specyficznego podejścia do zagadnienia prawdy w filmie.

Cinéma-vérité

Tak, *cinéma-vérité*, jeden z najważniejszych *leitmotivów* kina w całej jego historii. Dla Herzoga podstawa artystycznego światopoglądu. Na temat swojego stosunku do *cinéma-vérité* mówił wielokrotnie, chociażby przy okazji „Kraju milczenia i ciemności”: „nienawidzę *cinéma-vérité*. I chciałbym kiedyś być jednym z jego grabarzy, bo jest to najbardziej ordynarna i prymitywna warstwa prawdy, gdzie film i sposób postrzegania, i w ogóle postrzeganie nie idą zbyt daleko. Więc lubię podchodzić



Klaus Kinsky i Werner Herzog na planie „Fitzcarraldo”

aż ku granicy nieprawdy, by odkryć w ten sposób intensywniejszą postać prawdy. Głucha i niewidoma Fini Straubinger opowiada na przykład o skokach narciarskich, które rzekomo oglądała jako mała dziewczynka, kiedy jeszcze widziała i słyszała. A tak naprawdę nigdy tego nie przeżyła. Poprosiłem ją o powiedzenie tego tekstu. W filmie brzmi to tak, jakby opowiadała o własnych przeżyciach. Ale przez fakt, że to mówi, wychodzi na jaw prawda o niej samej, prawda, która bez tego nigdy nie byłaby tak oczywista”.

Wiele lat później z równą zaciętością zaatakuję *cinéma-vérité* w swojej „Deklaracji z Minnesoty”, opublikowanej w Internecie w roku 1999. Znowu padają gwałtowne oskarżenia: „Filmowcy z kręgu *cinéma-vérité* podobni są do turystów fotografujących fakty jak starożytne ruiny. Turystyka jest grzechem, piesza wędrówka – cnotą”. Wcześniej oskarża: „*cinéma-vérité* miesza fakty i prawdę, dlatego też uprawia tylko jałowy grunt. Fakty czasem posiadają tak osobliwą, dziwacz-

ną siłę, która sprawia, że ich wewnętrzna prawda wydaje się niewyobrażalna. Fakt tworzy normy, prawda iluminację”.

Genialny wariat

„Żaden tak zwany reżyser nie uraczył mnie nigdy niczym innym jak gównem i smrodem z ust. Swoje paskudne przyzwyczajenia przekazują dalej jak choroby weneryczne: dłubanie w nosie, drapanie się po dupie i ruchy paralityków. To, co wyczyniali z moją duszą, to zwyczajny nierząd. Gęsi chcą uczyć orła latania! Herzog – jeśli o to chodzi – uważa się za wyjątek i rozgłasza to wszem i wobec. Tylko dlatego, że nie pozwalał mi otwierać pyska, a jemu nie pozostało nic innego, niż dawać mi robić to, co chcę, uważa się za wrażliwego. Ten szmaciarz jest szczególnie grzechem, piesza wędrówka – cnotą”. Wcześniej oskarża: „*cinéma-vérité* miesza fakty i prawdę, dlatego też uprawia tylko jałowy grunt. Fakty czasem posiadają tak osobliwą, dziwacz-

na siłę, która sprawia, że ich wewnętrzna prawda wydaje się niewyobrażalna. Fakt tworzy normy, prawda iluminację”.

Te słowa napisał Klaus Kinsky w swojej skandalizującej autobiografii „Ja chcę miłości!” Aktor, który zagrał 145 ról filmowych, w 80 procentach drugoplanowych, oraz kilkadziesiąt epizodów, był gwiazdą najlepszych filmów Herzoga. To dzięki niemu „Aguirre”, „Fitzcarraldo”, „Woyzeck”, „Nosferatu” i „Cobra verde” stali się bohaterami masowej wyobraźni. Pomijając kilka perełek, jak rola w „Najważniejsze to kochać” Żuławskiego czy „Doktorze Żywego” Davida Leana, największymi kreacjami Kinsky’ego były role w filmach Herzoga. Bez nich przeszedłby do historii kina jako aktor głośny i skandalizujący, ale jednak drugoplanowy i zaledwie charakterystyczny.

Czy Herzog nie poradziłby sobie bez Kinsky’ego? Może mógłby,

a nawet próbował. W „Fitzcarraldo” tytułową rolę miał zagrać Jason Robards obok Micka Jaggera, dopiero jednak po wycofaniu się obu panów, spowodowanym przeciągającymi się zdjęciami w amazońskiej dżungli, Herzog zaprosił na plan Kinsky’ego, dla którego żadne przeszkody i niedogodności nie miały znaczenia przy kreowaniu postaci.

„Na planie tego filmu dochodziło do największych spięć. Każdego dnia – mówił Herzog w rozmowie ze mną – musiałem od nowa przystępować do okiełznywania tego aktorskiego zwierza, jakim w istocie był Kinsky. Mówię to przy całym szacunku dla jego umiejętności oraz pomimo przedziwnej mieszanki wzajemnej miłości i nienawiści, jaka nas łączyła od pierwszego filmu »Aguirre, gniew boży«. Kiedyś na planie »Fitzcarraldo« przyszła do mnie delegacja Indian, którzy – jak zauważyłem – natychmiast milkli, gdy tylko Kinsky podnosił głos. A głos miał tak wysoki, że czasem pękały szklanki. Otóż Indianie przyszli, żeby mi powiedzieć, że się boją. Ale nie tego

szalonego blondyna, który tak strasznie krzyczy, lecz mnie, który te wrzaski przyjmuje w spokoju i powraca do przerwanej pracy.

Praca z Kinskim na pewno nie była łatwa i często przybierała ekstremalne formy. Niewiele przypominała konwencjonalną współpracę z aktorem. Kinsky zresztą nie lubił nazywać się aktorem i dostawał szału, gdy mówiło się o sztuce aktorskiej. Dla niego – i ja również tak myślę – kino to najprawdziwsze życie, nawet jeśli czasem posługuje się rekwizytami czy strojami z dawnych epok. Gdy kręciliśmy »Fitzcarraldo« i gdy wszystko waliło się nam na głowę, gdy

ce filmów roku 1999 tygodnika „Time”. Znów Kinsky pomógł Herzogowi znaleźć się na topie.

Tuż przed końcem świata

„Wulkan” (La Soufriere) to reportaż z nieuniknionej katastrofy, która nigdy się nie zdarzyła. Zdjęcia były kręcone na Gwadelupie w bezpośredniej bliskości wulkanu, którego erupcja spodziewana była w każdej chwili. Bohaterem filmu Herzoga jest pewien czarny bezdomny, który jako jedyny mieszkaniec wyspy nie chce opuścić zagrożonego kataklizmem miasta i oczekuje na przyście Boga. Mówi, że życie

wił filmować inny „koniec świata”: w Kuwejcie po wojnie w Zatoce, gdy cofający się Irakijczycy podpaliли szyby naftowe, sprowadzając na niebo nad Półwyspem Arabskim wieczne ciemności, które miały trwać latami. Herzog z pokładu helikoptera sfilmował ocean ognia i dymu, współczesną apokalipsę, która zaczęła się w stylu CNN, a kończyła w niemal biblijnym wymiarze. W tej opowieści pojawiają się jednak nie tylko jeźdźcy Apokalipsy, lecz także anioły zbawienia, a właściwie ratunku. To strażacy w fantastycznych żaroodpornych kombinezonach pokonujący bezmiar żaru i dymów.

„Mam 180 cm wzrostu, ważę 80 kg, najlepiej poruszam się piechotą, no i jestem zdecydowanym przeciwnikiem witamin – wyznał mi Werner Herzog. – Moje życie to niemal w całości moje filmy. A kręcenie filmów to nie sztuka, lecz atletyka – ciągłe zmaganie się z przyrodą, ludźmi, własnymi słabościami.

Zawsze byłem tylko atletą. Najpierw jako dziecko chciałem być mistrzem narciarskim. Jako czternastolatek brałem udział w zawodach międzynarodowych. Jednak po niemal śmiertelnym wypadku mojego przyjaciela zaniechałem uprawiania narciarstwa. Chociaż i dziś oddałbym dziesięć lat życia za możliwość skoku na mamuciej skoczni w Planicy. Chyba dlatego tak dobrze umiałem porozumieć się ze skoczkiem Steinerem, bohaterem dokumentu »Wielka ekstaza snyderca Steinera« (...)

Wędruję cały czas i nierzadko pokonuję odległości do dwóch tysięcy kilometrów. W Afryce, gdzie nakręciłem chyba najwięcej filmów, siedziałem trzynaście razy w różnych więzieniach. Wybito mi tam zęby i zmiażdżono lewą rękę. Może i dzięki temu mam prawo twierdzić, że wiem cokolwiek o Afryce. W wielu punktach jesteśmy zresztą zgodni z Ryszardem Kapuścińskim, którego książki kocham i z którym serdecznie się przyjaźnię. Podczas kręcenia »Krzyku kamienia« [do którego inspiracją był dokument „Gasherbrum – lśniąca góra”, nakręcony wspólnie z Reinholdem Messnerem, później współproducentem „Krzyku”] przez ponad 50 godzin

znajdowałem się z asystentem na półce skalnej na zboczu Corro Torre, w śniegu, przy temperaturze –30 C, tylko w letnim ubraniu i bez jedzenia. Gdy nas odnaleziono, od dawna powinniśmy nie żyć. (...) Innym razem, na planie filmu, w którym grałem rolę legendarnego dokumentalisty Jona Ivensa, pirotechnicy zamontowali zbyt mocny ładunek wybuchowy za lustrem, które miało pęknąć w jednej ze scen, a ono dosłownie eksplodowało w odległości dwóch metrów ode mnie. Wyjęto mi z twarzy ponad dwieście odłamków szkła. W ostatniej chwili odwróciłem głowę, bo inaczej na pewno straciłbym oczy”.

Herzog w Ameryce

Największym sukcesem festiwalowym i komercyjnym Herzoga ostatniego pięciolecia był pełnometrażowy, inscenizowany dokument „Mały Dieter chciałby latać” – film, który otworzył mu bramy Ameryki, a o tym marzy przecież każdy filmowiec. Po „Dieterze...” opowiadającym historię pilota amerykańskiego niemieckiego pochodzenia, któremu jako jedytnemu udało się uciec z wietnamskiego więzienia w Laosie, Herzog stał się popularny w Stanach, co zaowocowało licznymi zaproszeniami na festiwale z filmami i do kampusów uniwersyteckich z wykładami oraz – w konsekwencji – przeniesieniem się reżysera, przynajmniej częściowo, do USA. Odtąd ten Bawarczyk z wyboru i przekonania stał się Kalifornijczykiem z San Francisco. Czy jednak Ameryka, której reżyser przygląda się okiem dokumentalisty, od dawna kręjąc między innymi „How Much Wood Would a Woodchuck Chuck”, a później „God’s Angry Man” oraz „Huie’s Sermon”, „kupiła” Herzoga? Chyba nie. Ostatnio, jak się zdaje, bardziej interesuje go Wschód: Rosja i Tybet – źródła prawdziwej duchowości. Na przykład film, nad którym aktualnie pracuje, i którego światowa premiera zapowiadana jest na grudzień, opowiada o buddyjskim rytuale kalachakra, propagującym pokój i tolerancję, zawiera również rozmowy Herzoga z Dalajlamą.

KRZYSZTOF STANISŁAWSKI

Kryzys



Nie chcę narzekać, ale przechodzę ostatnio mały kryzys. I to wszystko przez Was, moi drodzy Polacy. Po prostu czuję się u Was coraz bardziej jak u siebie. Zaczynam akceptować sytuację, które jakiś czas temu były dla mnie całkowicie absurdalne. Bez wahania kupuję bilet na bagaż w tramwaju. Chętnie płacę za korzystanie z toalety, czasami nawet domagam się rachunku. Wszystko to jest bardzo niepokojące. Jak tak dalej pójdzie, to nie pozostanie mi nic innego, jak zapuścić wąsy, kupować popularne i regularnie oglądać rozgrywki żużla w telewizji. Dobrze, może trochę przesadziłem. Nigdy nie zrozumie, o co chodzi z tym żużlem.

Tak naprawdę, to najbardziej zdaje sobie sprawę, jakim stałem się dziwakiem, kiedy jadę do Anglii. Kumplom podaję rękę na powitanie, a oni się uśmiechają nerwowo, trzymając ręce sztywno przy boku. Dziwię się, że nikt nie podaje cytryny do herbaty, nikt mnie nie rozumie, jak tłumaczę, że bawarkę piją tylko kobiety w ciąży. Koleżanki patrzą na mnie z pogardą, kiedy otwieram im drzwi. Strofują mnie za to, że zachowuję się w stosunku do nich protekcyjnie. Stałem się obcy we własnym kraju. Stałem się dziwakiem i w Polsce, i w Anglii.

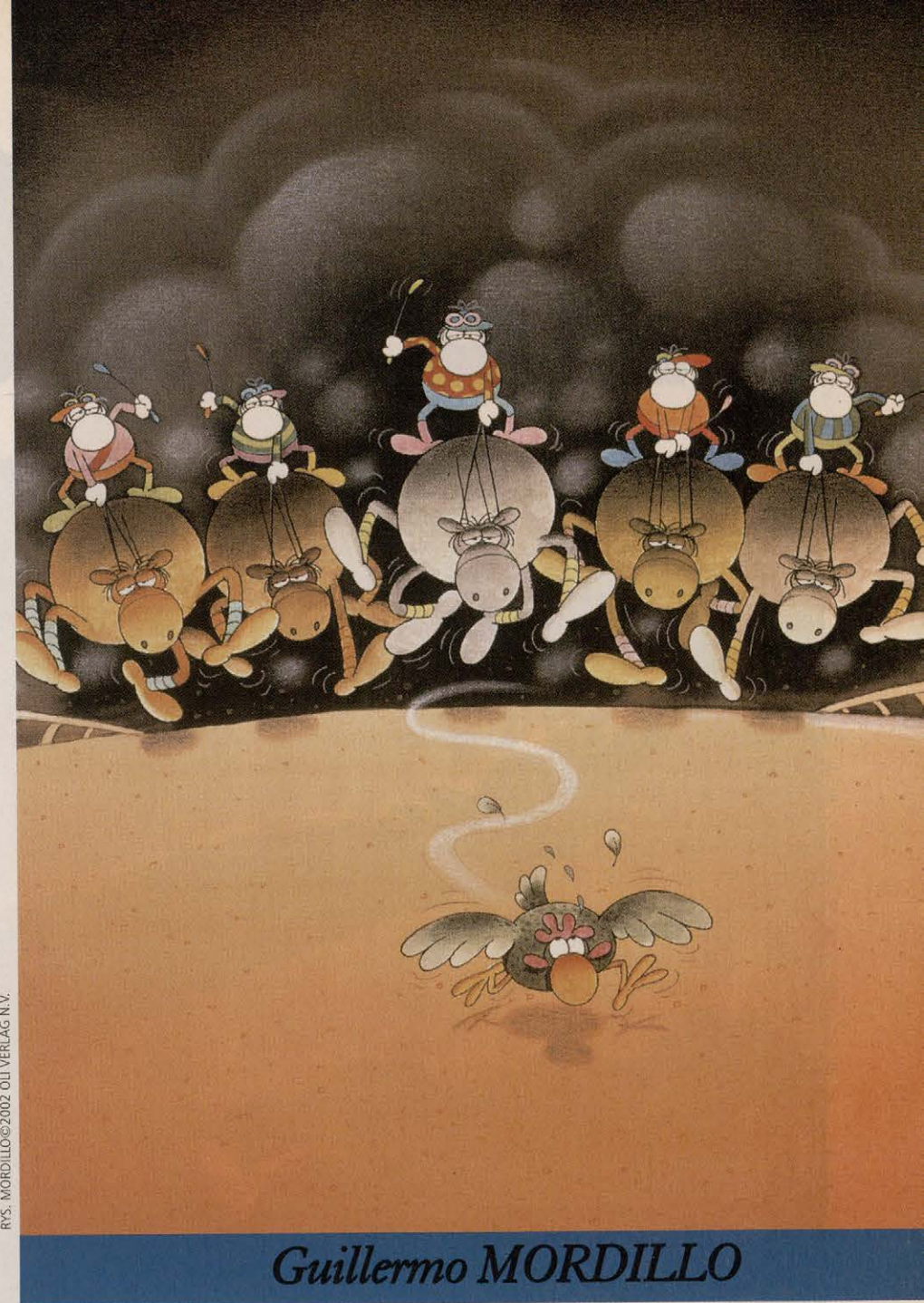
Są na szczęście rzeczy, do których w ogóle nie jestem w stanie się przyzwyczaić. I właśnie to mnie ostatnio trzyma przy życiu, przekonuje, że chyba nie jest ze mną aż tak źle, jak myślę. Dlaczego na przykład, jak przechodzę na pasach i mam zielone, to może mnie w tym samym czasie skosić samochód, który też ma zieloną strzałkę? Albo że mogę zapłacić mandat, jeśli przejdę na czerwonym świetle? Czy to jest normalne? No, powiedzcie sami!

Wybaczcie. Znowu zacząłem narzekać. Tak bardzo nie chciałem. Ale mam po prostu zamęt w głowie. Zaczynam się poważnie zastanawiać nad tym, czy nadal jestem Angolem, czy nie. Założeniem moich felietonów jest to, że bym pisał o tym, co mnie w Polsce dziwi. Szkopuł w tym, że im dłużej tutaj mieszkam, tym mniej rzeczy mnie zaskakuje. Podróże do Anglii są może i dobre, ale tylko na krótką metę. Jak mam Państwu opisywać różnice pomiędzy naszymi krajami, skoro widzę ich coraz mniej?

Mówi się, że podróże kształcą. Ślusznie. Tylko nie wiadomo, czy zawsze we właściwym kierunku.

Christiaan van Lierop

Jak wynika z tekstu, autor jest obcokrajowcem. Mieszka w Polsce, czasami w Anglii.



Guillermo MORDILLO

- Za 1000 złotych można (mieć bez wychodzenia z domu) • 13 razy trwała ondulację. Na terenie Warszawy fryzjer dojeżdża gratis, w okolicach trzeba dopłacić około 10 złotych**
- 25 razy masaż odchudzający, dojazd wliczony w koszt w obrębie Częstochowy
 - 14 razy masaż relaksacyjny lub leczniczy na terenie Warszawy • pięciu młodych mężczyzn na wieczór panieński, gotowych zabawiać pannę młodą i jej koleżanki, a nawet się rozebrać
 - makijaż okolicznościowy dla sześciu osób zrobiony przez profesjonalną wizażystkę
 - trzy razy prywatny koncert skrzypcowy, po półtorej godziny każdy
 - 15 razy manicure i pedicure wraz z lakierowaniem, dojazd wliczony w koszt • obiad dla 20 gości ugotowany przez profesjonalnego kucharza i podany przez kelnera
 - przez 502 dni litr mleka codziennie rano pod drzwi, tylko w obrębie gminy, w której działa firma • 58 razy dowolne zakupy przywiezione z supermarketu, cena tylko za transport

PRO PUBLICO BONO

FILIP ŁOBODZIŃSKI



Bono, lider zespołu U2, podczas koncertu w Irlandii, sierpień 2001

Bono, najpopularniejszy Irlandczyk na świecie, wyrusza w 10-dniową trasę po Afryce. Chce podbić nie wielotysięczne tłumy, ale serce jednego człowieka. Ten człowiek nazywa się Paul O'Neill, jest amerykańskim sekretarzem skarbu, czyli odpowiada za kasę Stanów Zjednoczonych

– Rząd Stanów Zjednoczonych przeznaczył dodatkowe pięć miliardów dolarów na rzecz rozwoju krajów potrzebujących – taką deklarację złożył publicznie w marcu tego roku prezydent Bush. U jego boku stał Bono, muzyk, który od kilkunastu lat podróżuje do Afryki – nie na safari, nie na romantyczne martini w Zanzibarze ani też śladami Karen Blixen. Jeździ po najbardziej niebezpiecznych zakątkach Afryki, rozmawia z ludźmi, poznaje ich biedę. Ile razy odwiedził Czarną Afrykę? A kto to zliczy? Ale nie zabrakło mu czasu, aby utrzymać pozycję jednego z najpopularniejszych wykonawców rocka wszech czasów. I trzeba przyznać, że do dziś nie spuścił z tonu na żadnym polu. Na ostatniej płycie zespołu U2 („All That You Can't Leave Behind”), którego liderem jest Bono, padają znamienne słowa: „Dość rozpacz, już bólu mam dość/i słów, co dają mi w kość/że podobno nie będzie już wojen”.

– Wolałbym siedzieć w studiu i nagrywać rockandrollowe piosenki, niż wciskać się w krawat i występować w imieniu Światowej Organizacji Zdrowia – wyznał niedawno telewizji CNN. A jednak wdziewa garnitur i rusza bez kompleksów na republikańskie gabinety. I w przeciwieństwie do wielu swoich kolegów, którzy poprzestają na spektakularnych jednorazowych akcjach, działa systematycznie i z powodzeniem. Rockowy gwiazdor i rockowy dobroczyńca.

Przekonać nieprzekonanych

Paul O'Neill nie jest łatwym negocjatorem. Niegdyś biznesmen, dziś sekretarz skarbu, nale-

ży do licznej grupy wpływowych Amerykanów, którzy nie wierzą w sens państwowej filantropii. Nie daje się wziąć na chwytające za serce argumenty, które wcześniej uwiodły Billa Clintona. Nie chodzi na koncerty rockowe, dlatego przekonać go do współpracy będzie trudniej niż brytyjskiego premiera Tony'ego Blaira, prywatnie fana U2. Nie jest wreszcie nieprzytomnie bogaty, ma bowiem w swojej pieczy publicznej pieniądze, a nie własne, jak Bill Gates, cesarz Microsoftu. A jednak sekretarz O'Neill wybiera się w tę podróż razem z Bono. Po co? Trzy czwarte ognisk AIDS leży właśnie w Czarnej Afryce. Niemal połowa ludności Botswany to nosiciele wirusa HIV. Połowa kontynentu to siedlisko nędzy, która stanowi idealne podglebie dla ekstremistów.

– Do 11 września Ameryka zachowywała się jak wyspa szczęścia – mówił Bono dziennikarzowi CNN. – Teraz jest już jasne, że nie sposób być taką wyspą pośrodku oceanu beznadziei. W Afryce jest potencjalnie kolejnych 10 Afganistanów.

Ale Afryka to także region, gdzie od lat działają setki organizacji niosących pomoc różnego rodzaju. Bono zabiera sekretarza O'Neilla, ponieważ chce mu pokazać, że pomoc charytatywna ma sens. Dzięki akcji zainicjowanej przez Bono szkoły w Ugandzie uczą dwa razy więcej uczniów niż kilka lat temu. Zwiększył się znacznie personel służby zdrowia. Sekretarz O'Neill musi to wszystko zobaczyć. Być może da się przekonać tak jak amerykański senator Jesse Helms. Przyłączył się do Bono w zeszłym roku, gdy ten pokazał mu zdjęcie studni

wykopanej za fundusze zebrane przez organizację Drop the Debt, której Bono jest rzecznikiem.

Drop the Debt, czyli Umorzyć Dług, to akcja, którą zainicjowano w roku 1997, początkowo pod nazwą Jubilee 2000. Żeby jednak pojąć w pełni jej sens, musimy się cofnąć do pewnego jesienno-wieczoru roku 1984, kiedy to Bob Geldof, inny irlandzki rockman, leżał ponury na sofie i gapił się tępo w telewizor.

Przerwać otepienie

Z drętwy wyrwał nagle Geldofa reportaż o głodujących dzieciach w tak zwanym Rogu Afryki (Etiopia, Somalia). Wstrząs był silny, a efekt lawinowy. Najpierw brytyjczy i irlandzcy muzycy nagrali piosenkę „Do They Know It's Christmas?” („Czy wiedzą, że jest Boże Narodzenie?”), z czego dochód miał pójść na pomoc dla najmłodszych ofiar głodowego kataklizmu. Zaraz potem pojawiła się w sklepach płyta z utworem „We Are the World” („Świat to my”) wykonanym z kolei przez Amerykanów. Wreszcie w lipcu 1985 roku doszło do spektakularnego, transmitowanego na cały świat koncertu „Live Aid” w Londynie i Filadelfii. Dochód z imprezy wyniósł ponad 200 milionów dolarów w pieniądzu, ubraniach i lekarstwach. Bob Geldof przekazał tę ogromną sumę najbardziej potrzebującym społeczeństwom afrykańskim.

Pomoc jednorazowa załatwia niewiele. Dlatego kraje Afryki od lat zaciągają długi u najbogatszych, by móc w ogóle funkcjonować. Spora część pożyczonych dolarów jest przezerana przez cynicznych dyktatorów, od jakich roi się na Czarnym Kontynencie. Część, ale nie wszystko. Co się dzieje z resztą?

– Plon „Live Aid” to 200 milionów dolarów. Jak tu się nie wkurzyć, gdy dowiadujesz się, że taką sumę Afryka wydaje co tydzień na samą obsługę długu? – zapytuje retorycznie Bono. Z tej irytacji wzięła się idea, by dla rzetelnego, a nie tylko medialnego i cyrkowego uczczenia milenijnego jubileuszu najbogatsze kraje świata umorzyły dług. „Koszt, jaki ponoszą kraje Trzeciego Świata z powodu obsługi zadłużenia

zagranicznego, jest wręcz nieprzyzwoity” – pisał kilka lat temu „Wall Street Journal”. I miał rację. Za każdego dolara, jaki Stany Zjednoczone przeznaczają na pomoc dla Trzeciego Świata, otrzymują z powrotem dziewięć w ramach spłaty odsetek długu.

Drop the Debt apeluje o skasowanie długu krajów najbiedniejszych i o stworzenie takiego systemu kontroli międzynarodowej, która umożliwi dalsze pożyczki, ale z czytelnymi regułami ich zagospodarowania.

Chodzi wyłącznie o kasę

Zgoda, piosenki to tylko nutki plus słowa, trochę hałasu, czasem zamieszania w mediach. Publiczny ogląd świata popkultury skłania raczej do podejrzeń, że to wszystko humbug. Że chodzi o miejsca na listach przebojów, o zwiększenie sprzedaży. Że politycy pokazujący się z gwiazdoram i żebrają w ten sposób o głosy młodych wyborców. U2 są od lat niezwykle popularni, każda ich nowa płyta czy trasa koncertowa oczekiwana jest z uwagą. Nie dziwi więc, gdy polityk mówi: „Lubię dobrą muzykę, słucham Czajkowskiego, Dávila i U2”. Tanie grepsy – powiadają sceptycy.

Rezerwy nie brak i po drugiej stronie barykady. W rozmowie z „Przekrojem” bardzo zgryźliwie na temat charytatywnych zapędów rockowców wypowiedział się John Lydon, czyli legendarny Johnny Rotten z niegdysiejszego punkowego zespołu brytyjskiego Sex Pistols.

– Co tydzień przekazuję znaczne sumy na sierocińce, na ośrodki terapii dzieci w Los Angeles – mówił Lydon. – Prowadzę firmę, która między innymi handluje nieruchomościami, z tego są spore pieniądze. Dużą część wpływów przekazuję na biedne dzieci. Ale nie zapraszam żadnego pieprzonego dziennikarza, żeby mi zrobił przy tym zdjęcie. Bono jest klaunem. Fotografowanie się z Billem Gatesem to nie jest pomoc charytatywna. Ściskanie sobie łapki z papieżem to też nie jest pomoc charytatywna. Publiczne zasiadanie na wielkich spędach bogaczy to nie jest pomoc charytatywna. To tylko karmienie własnego ego. Ten koleś zabiega o to, żeby świat zrobił mu do-

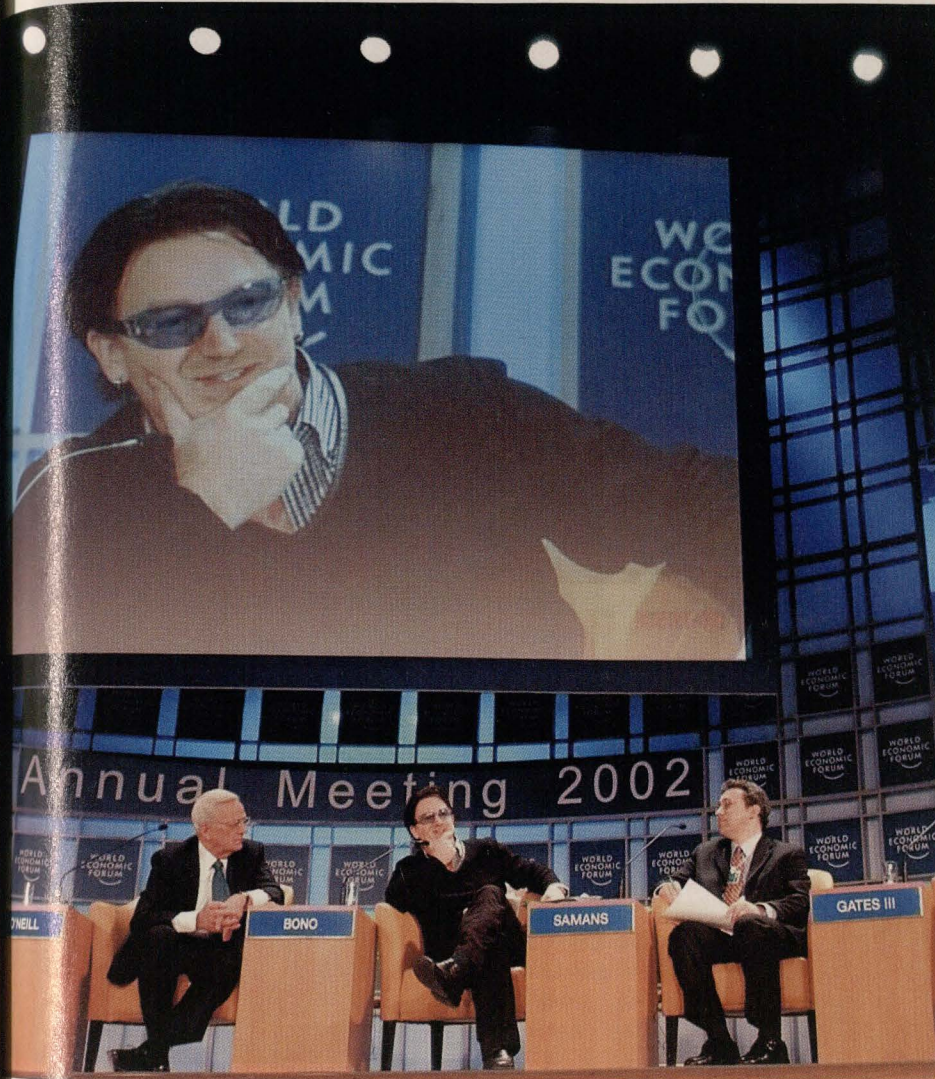
brze. On w ten sposób chodzi do moralnego burdelu.

Bono istotnie jest łatwym łupem dla podejrzliwych. Znanie są jego przechwałki, wypowiedzi co najmniej nieskromne. Wie, że kamery telewizyjne są mu łaskawe, więc kokietuje je nieustannie. Ale z drugiej strony wie coś jeszcze: nikt inny z równie popularnych ikon popkultury nie ma w sobie tyle energii, by wydobywać forsy spod ziemi (czytaj: z konserwatywnej kasy). Owszem, nie jest na froncie jedyny. Historia zna wielu muzyków zaangażowanych: Bob Dylan, John Lennon, Bruce Springsteen, Peter Gabriel, Sting, Neil Young, Stevie Wonder, Bob Marley, zespół Public Enemy. Nie zapominajmy, że cała idea wielkich akcji pod hasłem „Artyści z pomocą” zainicjowana została przez eks-Beatla George'a Harrisona w roku 1971 koncertem na rzecz ofiar głodu w Bangladeszu.

Najczęściej jednak artyści ograniczają się do apeli: „Musimy coś zrobić”. Bono ma dość słów. – Wiem, że jestem popularny. Niech to będzie instrument, który przysporzy choć trochę dobra temu zdeprawowanemu światu – mówi z rozbrajającą szczerością. I ciągnie za sobą kamery wszędzie tam, gdzie spodziewa się znaleźć poparcie. Chce stworzyć wielkie lobby na rzecz światowego slumsu.

Łapać konserwę

Od 2000 roku do głosów Bono i jego współtowarzyszy walki z biedą przyłączyły się znaczące autorytety gospodarcze. Znany i nam profesor Harvardu Jeffrey Sachs oświadczył, że niespłacalne długi powinny zostać anulowane natychmiast. W specjalnym memorandum inna wybitna instytucja ekonomiczna, Instytut im. Adama Smitha, przekonywała: „Taki krok pozwoli nie tylko podnieść poziom życia nuboższych warstw tych społeczeństw, ale da też inwestycyjny impuls do tego, by ich sytuacja się poprawiała. W ten sposób rosną szanse wzrostu dostatku i poprawy zatrudnienia. A to oznacza, że umorzenie długu leży tak samo w naszym interesie”.



Podczas Światowego Forum Gospodarczego w Nowym Jorku, luty 2002. Od lewej: amerykański sekretarz skarbu Paul O'Neill, Bono, Rock Samans z Zarządu Światowego Forum Gospodarczego

Papież okazał się łatwym celem, podobnie nie trudno było zauroczyć sekretarza generalnego ONZ, premiera Blaira czy prezydenta Clintona. Gates też nie dał się długo prosić. Jednak teraz w najbogatszym kraju świata rządzą, także finansami, konserwatyści, i to z tych najbardziej konserwatywnych. To ludzie nie lubiący kontrkultury, skrupowani przesadami na temat satanistów i narkomanów, jakimi rze-

komo są wszyscy zwolennicy gitarowego hałasu. Senator Helms jeszcze kilka lat temu otwarcie głosił, że przestępczość w Ameryce jest skutkiem działalności szatana na polu muzyki rockowej. A jednak i on dał się przekonać irlandzkiemu muzykowi.

Bono stanął przed Helmssem w ubiegłym roku i w trakcie rozmowy zacytował werset z Ewangelii według św. Mateusza: „Byłem na-

gi, a przydzialiście mnie”. Senator prawie się rozplakał, tydzień później w wywiadzie wyznał, że poczuł wstyd i postanowił się przyłączyć. Do tego stopnia, że sam teraz nakłania Kongres do wyasygnowania 500 milionów dolarów na pomoc dla zarażonych wirusem HIV afrykańskich dzieci. A w dodatku w zeszłym roku poszedł na koncert U2 w Waszyngtonie. Z pewnością rzucał się w oczy – jest 80-letnim, łysawym konserwatystą co się zowie.

Ale o to właśnie chodzi. O swego rodzaju porozumienie ponad podziałami. Bono należy do tych, co wyrzuceni drzwiami wrócą przez okno, co wypiją herbatkę z Lucyferem w imię szlachetnego celu.

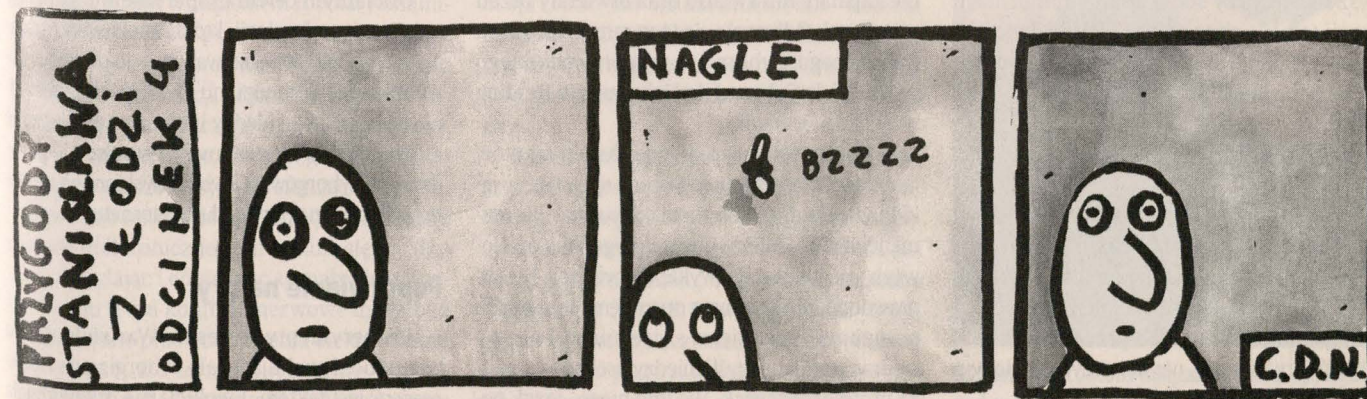
W Białym Domu nazywają go „Zaraza”. Pieszczotliwie. I już nie wymawiają się brakiem czasu czy sprawami wagi światowej. Już wiedzą, zwłaszcza teraz, po 11 września, że ta sprawa jest wagi światowej i że zegar tyka nieubłaganie.

Czy Bono jest niepoprawnym idealistą? Jeden z harwardzkich profesorów Robert Barro oświadczył zeszłego lata: – Bardzo szanuję Bono, ale nie wierzę, by jego marzenia mogły poprawić sytuację ekonomiczną Afryki. Gdyby swój talent obrócił na rzecz promowania edukacji ekonomicznej, gdyby propagował zasady własności, praworządności, wolny rynek, skromną liczebnie administrację rządową... Wtedy moglibyśmy mówić o rzeczywistych narzędziach budowania dobrobytu. Inaczej będziemy błdzić jak dotąd.

– Na Sądzie Ostatecznym okaże się, jak wszyscy traktowaliśmy najbiedniejszych. Ja w to wierzę, a pan? – zapytuje Bono każdego konserwatystę amerykańskiego. Że jednak na samej wierze rzecz się nie opiera, o tym przekonał się sekretarz skarbu Paul O'Neill.

„Sądziłem, że to jakiś gwiazdor, który chce mnie wykorzystać – powiedział niedawno. – Ale po rozmowie, jaką z nim odbyłem, jestem przekonany, że to poważny człowiek. Te sprawy leżą mu na sercu i trzeba przyznać, zna się na temacie. Jestem bardzo ciekaw, co mi pokaże w Afryce”. Ciekawość ministra zostanie zaspokojona.

FILIP ŁOBODZIŃSKI



CYBORG – to zabrzmie dumnie

Wchodzę do ciemnego pokoju – światło zapala się samo. Policja wie zawsze, kim i gdzie jestem, lekarz nie patrząc na mnie, wypisuje receptę. My, ludzie-maszyny, tak właśnie mamy

„Tych pięcioro Amerykanów to pierwsze cyborgi na świecie” – takie stwierdzenia pojawiały się niedawno w mediach przy okazji doniesień na temat rodziny, której członkom wszczepiono miniaturowe mikroprocesory. Dzięki temu będą zawsze nosić przy sobie komplet informacji na swój temat – chociażby aktualne dane medyczne. Trudno jednak uznać rodzinę państwa Jacobsów za pionierów cyborgizacji.

Człowiek z procesorem

Na miano to zasługuje raczej profesor Kevin Warwick. Z wyglądu nie różni się niczym od zwykłych ludzi – ma fizjonomię typowego Brytyjczyka, a nie Terminatora czy Robocopa. Zmiany, jakich dokonał przed kilku laty w swoim organizmie, nie naruszyły w niczym jego powierzchowności.

Jego pionierskie doświadczenia odnotowane zostały w Księdze rekordów Guinnessa. Już w roku 1998 wszczepił sobie w lewe przedramię miniaturowy procesor, dzięki czemu urządzenia w laboratorium rozpoznawały go i automatycznie zapalały mu światło oraz otwierały przed nim drzwi. Odbywało się to w ramach projektu badawczego Cyborg 1.0 przeprowadzonego na Wydziale Cybernetyki Uniwersytetu Reading w Wielkiej Brytanii.

Dalekosiężnym celem jego eksperymentów jest całkowite przemodelowanie sposobu, w jaki ludzie komunikują się między sobą. „Komunikacja wyłącznie za pomocą sygnałów myślowych jest sprawą niezwykle ekscytującą. Kiedyś prawdopodobnie dobrze opanujemy ten sposób porozumiewania się, w szczególności bezpośrednią wymianę myśli między osobami” – uważa profesor Warwick. Według niego „język po-

wstał dawno temu i jest już przestarzałym środkiem komunikacji – znajduje się już zresztą w odwrocie”.

W marcu tego roku profesor Warwick rozpoczął kolejny eksperyment pod kryptonimem Cyborg 2.0. W trakcie trwającej dwie godziny operacji neurochirurdzy podłączyli jego układ nerwowy do komputera. Implant składający się z wiązki stu elektrod grubości ludzkiego włosa przymocowano z jednej strony do dendrytów (małych „przewodów” układu nerwowego) jego ręki, a z drugiej – do niewielkiego urządzenia umożliwiającego łączność z komputerem.

Oficjalnym celem eksperymentu są próby stworzenia technologii, która umożliwi poruszanie się osobom sparaliżowanym. Ale profesor mówi otwarcie, że chodzi mu również o bezpośrednią komunikację między ludźmi oraz o łączenie ludzi i maszyn. Efektem ma być stworzenie prawdziwych cyborgów, których umysł można na stałe podłączyć na przykład do Internetu.

Poprawianie natury

Eksperymenty profesora Warwicka są dla wielu ludzi szokujące, ale cyborgizacja *Homo sapiens* jest faktem. Ewolucja nie przewidywała

Profesor Kevin Warwick już cztery lata temu wszczepił sobie w rękę miniaturowy mikroprocesor w kapsułce

możliwości życia bez rąk czy nóg, z wadami serca, wrzodami żołądka i rakiem. To, że przedłużamy i ratujemy sobie życie, że tworzymy protezy, jest efektem technologii.

Cyborg to organizm, który funkcjonuje dzięki połączeniu elementów biologicznych i technicznych. Tych drugich, już przez nas zaakceptowanych, jest dziś wiele: sztuczne serce, aparaty słuchowe, syntetyczne kości, wózek inwalidzki, sztuczna nerka, inkubator... Co jeszcze stworzymy w przyszłości? Czy jest jakaś granica, której nie powinniśmy przekraczać?

Francis Fukuyama, autor „Końca historii” i „Ostatniego człowieka”, uznał, że problemy wynikające z manipulowania ludzkim organizmem wymagają głębokiej dyskusji i szybkich regulacji. W swojej nowej książce „Nasza post-ludzka przyszłość”, która ukazała się w USA w połowie kwietnia, przyznał, że jednak historia się nie kończy: nauka i technologia manipulujące życiem i naturą człowieka spowodują, że gra potoczy się dalej. Jeżeli uda się zrealizować niektóre z rozpoczętych projektów naukowych, będziemy się musieli zastanowić nad nową definicją człowieka, a granica między nim a maszyną rozmyje się całkowicie.

Hardware i wetware

W laboratorium badawczym Northwestern University w Chicago żyje bardzo dziwne stworzenie – pół zwierzę, pół maszyna. Naukowcy wyjęli mózg z ryby (*Petromyzon marinus*), włożyli go do pojemnika z wodą, a następnie podłączyli do niewielkiego robota. Robot posiada czujniki światła. Informacja wędruje z nich do rybiego mózgu, skąd po przetworzeniu wraca do robota jako polecenie, w którym kierunku powinien jechać. W ten sposób maszyna może podążać za światłem. Technologia ta ma w przyszłości umożliwić bezpośrednie połączenie mózgu z protezą, dzięki czemu niepełnosprawny mógłby poruszać swoją sztuczną kończyną tak samo, jak porusza naturalną – za pomocą myśli.

Naukowcy, których określa się mianem neuroelektroników, podejmowali wiele prób stworzenia tego typu protez. Badacze amerykańscy z Duke University i MIT połączyli na przykład mózg małpy z ramieniem robota. Komunikacja odbywała się poprzez Internet. Małpa znajdowała się w laboratorium odległym o tysiąc kilometrów od miejsca, gdzie ulokowany był robot. Elektrody umieszczone w jej mózgu rejestrowały sygnały nerwowe, które program komputerowy przetwarzał na sygnały sterujące robotem.

Zarówno naturalne neurony, jak i sztuczne obwody elektroniczne komunikują się między sobą, wysyłając i odbierając sygnały elektryczne. Dzięki temu komórki nerwowe mogą być kontrolowane przez urządzenia elektroniczne i odwrotnie. Do terminu *hardware* (sprzęt – w domyśle elektroniczny) dołączył nowy

– *wetware*, czyli sprzęt biologiczny taki jak komórki, tkanki czy narządy.

Oto jest znamie Bestii

Technologie łączące *hardware* z *wetware* znalazły już praktyczne zastosowanie. Na początku kwietnia amerykański Urząd Żywności i Leków (FDA) dopuścił możliwość wszczepiania ludziom procesorów identyfikacyjnych i monitorujących stan ich zdrowia. Chodzi tu o procesory VeriChip oraz Digital Angel produkowane przez grupę Applied Digital Solutions.

Procesor taki ma rozmiar ziarenka ryżu. Można go wszczepić pod skórę w trakcie krótkiego zabiegu. Mogą go potem wykorzystywać służby ratownicze i medyczne, ale także – w celach kontrolnych – policja i służby graniczne. Procesor przekazuje zgromadzone w nim informacje, emitując sygnał radiowy. Może on też być połączony z systemem GPS. Umożliwi to stałe monitorowanie aktualnego miejsca pobytu danej osoby. Może zastąpić dowód tożsamości i instytucję stałego miejsca zameldowania.

W ciągu kilku najbliższych miesięcy grupa ADS uruchomi w USA kampanię promocyjną i oficjalnie zaoferuje wszczepianie procesorów ludziom. Rozpocznie się jeden z największych eksperymentów społecznych w naszej historii. Chęć wszczepienia sobie takich urządzeń zgłaszają coraz większe rzesze nastolatków, fanów techniki i osób, którym technologia ta jest rzeczywiście potrzebna ze względów zdrowotnych.

Keith Bolton, dyrektor techniczny grupy ADS, stwierdził: „Zgłoszenia pocztą elektroniczną przysłało nam już ponad dwa tysiące młodych osób. Uważają, że to jest *cool*”. Pierwszy zabieg wykonany został 10 maja na rodzinie państwa Jacobsów z Florydy.

Ale pojawiły się również protesty. Najbardziej aktywny jest Gary Wohlscheid, prezes sekty The Last Day Ministries. Uważa on, że zbliża się koniec świata, a dowodem na to jest właśnie procesor VeriChip. W biblijnej Apokalipsie jest bowiem mowa o Bestii, która będąc zwiastunem końca, sprawi, że wszyscy, „mali i wielcy, bogaci i biedni, wolni i niewolnicy otrzymują znamie na rękę prawą lub czoło i że nikt nie może kupić ni sprzedać, kto nie ma znamienia – imienia Bestii lub liczby jej imienia”. Wohlscheid stworzył nawet stronę internetową, aby ostrzec ludzkość przed potencjałem zła, które tkwi w procesorach.

Jednak protesty nie są zbyt głośne i zapewne podzielą los wcześniejszych akcji tego typu. Nikt nie sprzeciwia się dziś stosowaniu sztucznych szczęk ani rozruszników serca. Wielu badaczy sztucznej inteligencji (a także profesor Warwick czy Stephen Hawking) uważa, że cyborgizacja jest koniecznością. Prawdopodobnie pomoże nam przetrwać kolejny zakręt ewolucji. Jedynym bowiem ratunkiem dla ludzi

w konfrontacji z rozwijającymi się coraz szybciej komputerami i robotami jest przebudowa biologiczna gatunku *Homo sapiens*. Samodzielne roboty połączone z Internetem będą korzystać z niego o wiele wydajniej niż ludzie. Sztuczna inteligencja może się stać potężniejsza od biologicznej.

Pocuj mnie przez Sieć

Profesor Warwick nie wierzy, że procesory są znamieniem Bestii, i zapowiada, że kolejny etap jego badań będzie jeszcze bardziej ekscytujący. Jeżeli obecny eksperyment nie wywoła żadnych negatywnych skutków dla jego zdrowia, podobny procesor wszczepi sobie również jego żona Irena. Następnie małżonkowie spróbują połączyć swe układy nerwowe za pośrednictwem Internetu. Będą próbowali odczuwać ból i radość partnera poprzez Sieć. Byłby to nowy, niezwykle wydajny sposób komunikacji między ludźmi oraz między ludźmi i maszynami.

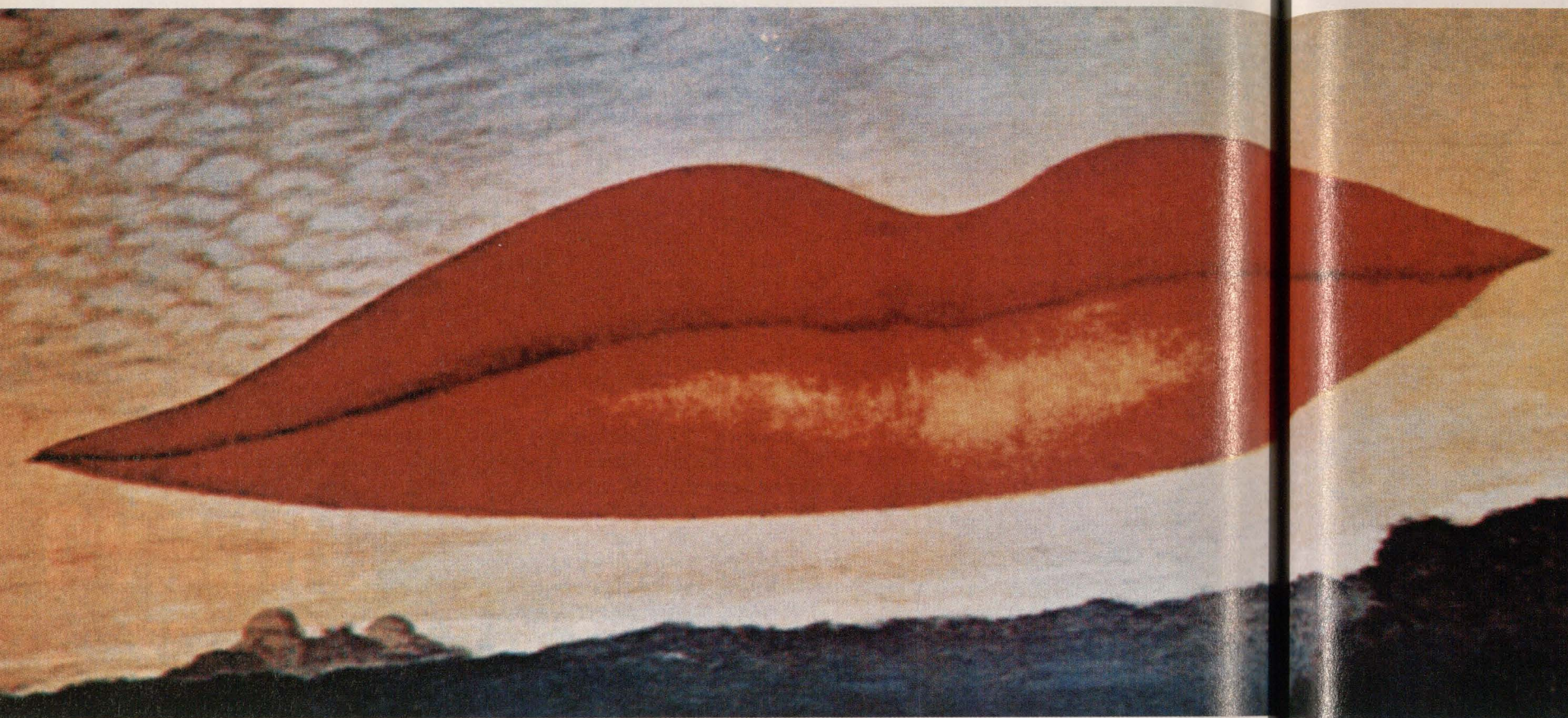
Profesor Warwick uważa jak klasyczny brytyjski liberał, iż „ludzie mogą się zmieniać, ale miejmy nadzieję, że będzie to sprawa indywidualnych decyzji. Wszyscy, którzy zechcą, będą mogli pozostać ludźmi, a ci, którzy chcieliby zamienić się w istoty potężniejsze, dysponujące większymi możliwościami, także będą mogli to uczynić”.

Fukuyama miał rację, odwołując swoją teorię o końcu historii. Prawdziwa historia dopiero się zaczyna.

WALDEMAR SADOWSKI



14-letni Derek Jacobs dołącza do grona cyborgów pod nadzorem rodziców (też cyborgów)



Jan Ray, *Zakochani*



Méret Oppenheim, *Futrzana zastawa stołowa*

JAN GONDOWICZ

Upraszasz się dotykać

Wystawa nowojorska
odsłania antyfeminizm surrealistów.
Zasłania zaś to, co sprawia,
że owo malarstwo nadal żyje

W Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku odbywa się wystawa „Surrealism: pożądanie bez granic”, w Paryżu Centrum Pompidou zgromadziło obrazy tego samego kręgu twórców pod hasłem „Rewolucja surrealistyczna”. Pod koniec czerwca „Rewolucja...” przeniesie się do Kunstsammlung w Düsseldorfie. Co oznacza ten triumfalny powrót surrealistów?

Malarz Arcimboldi – ten, który komponował gęby z owoców i warzyw, ksiąg i naczyń kuchennych – sportretował jednego z rycerzy cesarza Rudolfa II, który na turnieju dżgnięty

został w prawe oko kopią. Mimo to nieszczęśnik żył jeszcze długie lata. Malowidło przedstawia go z drzewcem grubości męskiego ramienia uciętym akuratanie na dłoń przed oczodołem. Na zniekształconym obliczu zastygł wyraz zgrozy. Dziko wybałuszone oko łypie gdzieś w nieznane, w niedostrzegalną dla nas czelusć. Jak tej otchłani na imię? Nadrealność.

Oko w stanie dzikim

Malarstwo nadrealistyczne istniało zawsze. Od potworów Boscha, przez Arcimboldiego,

po schizofrenika z Lubelszczyzny Edmunda Monsiela. Jednak dopiero tam, gdzie halucynacja graniczy z metodą, rodzi się surrealizm.

Surrealizm w sensie historycznym, czyli ten, który zaczął się jesienią 1924 roku wraz z „Pierwszym manifestem” André Bretona, był dziwnym ruchem artystycznym, który mało co obchodziła sztuka.

Osiągnięciu surrealistycznego stanu ducha służyć miały pewne procedury o tyle pokrewne poezji, że posługujące się słowem. Wyzwalało się je w trakcie losowania wycinaków zdań z kapelusza, jak to praktykowali

adaści, dzięki notowaniu najszybciej, jak można, wszystkiego, co przychodzi na myśl, lub przez pisanie w stanie hipnozy. Zyskałe dzięki temu swoiste piękno, jak najdalsze od tradycyjnego dzieła sztuki, najbliższe w swej naturze było wsadzeniu palców w kontakt. Odkryto, że „piękno będzie konwulsyjne albo go wcale nie będzie”.

Łatwo dostrzec, że styl myślenia „bodziec – reakcja” pochodzi raczej z laboratorium psychologii eksperymentalnej niż z biurka poety. Breton był psychiatrą. Początkom surrealizmu towarzyszyły wcale nie żartobliwe ambicje



eksperymentalne. Szło o nową dziedzinę wiedzy. Breton dobrze przemysłał sławny „List jaśnowidza” wielkiego prekursora, Rimbauda, w którym poeta wzywał do „metodycznego rozprężenia wszystkich zmysłów”. Surrealizm miał być zmysłowy w każdym sensie tego słowa, miał być rozprężeniem poza wszelkie granice, lecz w sposób jak najbardziej metodyczny.

Włochate posągi

Od samych narodzin nowy ruch zafundował więc sobie problem. Świadkowie mogli zagwarantować, że wiersz powstał zgodnie z doktryną, czyli spontanicznie, ale co na przykład z powieścią? Stąd nieufność wobec malarstwa, które w owych latach wymagało kompozycji, podmalówek, długotrwałego wylizywania detali. Na dodatek dużo bardziej niż poezja zdawało się być domeną reguł i małpiarstwa. Wciąż te same pejzaże z zieleniną, horyzontem i niebem, orgie starożytnego Rzymu, Napoleon na koniu, mniej lub bardziej gołe kobiety, w najlepszym razie bukiet kwiecica. Co prawda od parunastu lat jabłka, gitary i flaszki miały prawo być kanciaste. Ale jaki to ma związek z utajonymi mocami duszy?

Jednakże wyszło na jaw, iż malarstwo eksperymentu psychologicznego istnieje. Takie „metafizyczne” obrazy tuż przed wielką wojną i w jej trakcie malowali Włosi Giorgio de Chirico, były futurysta Carlo Carrà oraz Giorgio Morandi. Nie byli symbolistami, lecz mistyfikatorami. Zamiast Wielkiej Tajemnicy podsuwali bowiem jej pozór. A żeby stworzyć pozór tajemnicy, wystarczyło – okazuje się – wziąć ekierkę, manekin krawiecki, gipsowe popiersie i oświetlić dookołą pustkę ni to słońcem, ni to księżycem w pełni. Można to było powtarzać w nieskończoność. Głowa posągu, drabina i linia kreślarski przed lustrem. Kula biardowa, klepsydra i rękawiczka na tle architektury Turynu. Ściśle według recepty innego prekursora, Lautréamonta: „Spotkanie parasola z maszyną do szycia na stole sekcyjnym”. Do tego stosowne tytuły: „Sekret wyroczni”, „Maza metafizyczna”, „Tajemnica i melancholia ulicy”, „Idol-hermafrodyta”. Działo niezawodnie.

Dwa lata przed ogłoszeniem pierwszego „Manifestu surrealizmu” przybył do Paryża dadaista Max Ernst wsławiony tym, że wejście na jego wystawę w Kolonii wiodło przez wychodek. Przywiózł obrazy pełne posągów i manekinów. Lecz kartezjański umysł Bretona węszył mistyfikację. Jak to możliwe, że coś jest tajemnicze, a jednocześnie nie jest? Szef ruchu uznał surrealizm w malarstwie dopiero wtedy,

gdy dwaj Belgowie René Magritte i Paul Delvaux gipsom i manekinom domalowali na swych płótnach owłosienie łonowe.

Poza anatomią

Wahania surrealistów płynęły z dogłębnych lektur Freuda. Ojciec psychoanalizy objawił im, że wszelka symbolika jest erotyczna. Skoro tak, to po co malować? Lepiej bawić się szukaniem wszechobecnego erotyzmu. Szafa, dziurka od klucza, okno wystawowe, kałamarz, talerz czy winda to rzeczy bardzo pikantne i podniecające surrealistów – sparafrazować można Słonimskiego. Stąd wspólnie tworzone wiersze-objekty, montaże wycinków, zabawy w dorysowywanie dalszego ciągu zakrytych obrazków, dziwne przedmioty systematyzowane wedle udziału przypadku, jaki nadał im sens nadrealny, bo wedle teorii wszyscy mieli jednakowe libido.

Co prawda, jednoznaczność ma też mocne strony. Niektóre obiekty surrealistyczne cechuje nic a nic niewygasła, diabelna moc. „Futrza na zastawie stołowej” Szwajcarki Méret Oppenheim, czyli wyłożona tchórzofretkami filiżanka, to najbardziej seksualny przedmiot, jaki wyobrazić sobie można poza sferą anatomii. Kuszący, niepokojący, czuły, bez reszty żeński. Natomiast „Dar”, czyli żelazko zaopatrzone od spodu w rząd 14 świeczek, dzieło wsławionego nadrealnymi zdjęciami Amerykanina Mana Raya, wyraża z brutalną poezją dziką natarczywość samczą. Dość w myśli ujrzyć je w akcji.

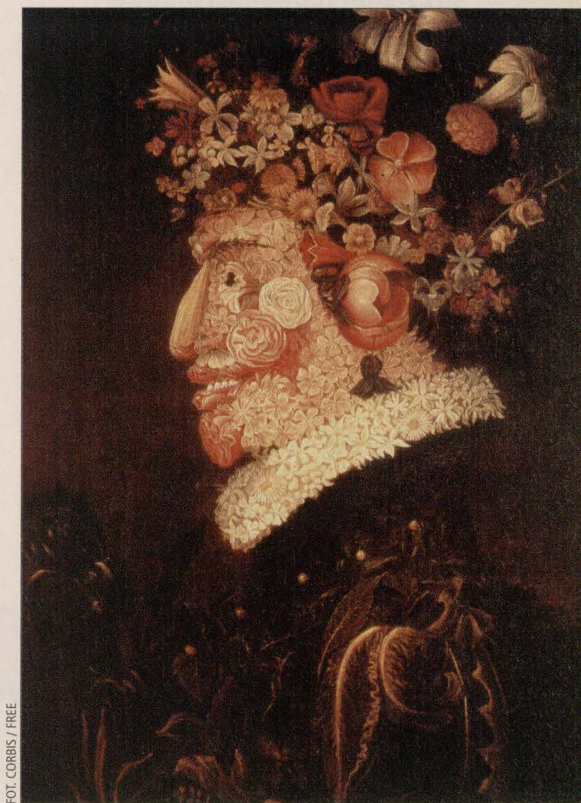
Żeby między surrealizmem a malarstwem popłynął wreszcie prąd, Breton musiał zgwałcić logikę swego umysłu. Zajęło mu to dwa lata. W długo wyczekiwany orędzie na temat malarstwa (wydanie książkowe 1928) padło wreszcie zdanie: „Pożądanie i spełnienie nie wykluczają się już nawzajem”. Można więc teraz było wiedzieć bezwiednie, widzieć – nie widząc, pragnąć – nie pragnąc. Erotyzm wyzbyty ciała zmienił się w pole magnetyczne. Malarstwo lepiej od słów przewodziło napięciu między tajemnicą a pożądaniem, lepiej wyrażało pożądanie tajemnic i tajemnice pożądań. Myśl surrealistyczna zyskała drugi biegun.

Filozofia w buduarze

Pożądania namalować nie można. Można je tylko sugerować. Kobiecość, fizycznie nieobecna, magnetyzuje malarską przestrzeń. Najbardziej seksowny obraz początku lat 30. „W czasie astronomicznym: Zakochani”, trzy-metrowe płótno malowane przez Mana Raya dwa lata, wypełnia od brzegu do brzegu parą zwartych niczym kochankowie karminowych warg, pod którymi z lesistego pejzażu wypuszczają się jak dwa cyce bliźniacze kopuły obserwatorium. Architektura niepokojąca artystę

w codziennych spacerach po Ogrodzie Luksemburskim. Oto przestrzeń nasycona pożądaniem.

Krótko przedtem, nim Roger Caillois z Biura Poszukiwań Surrealistycznych jął pisać swój słynny esej o modliszce, niesamowity ten owad ożywił wyobraźnię Maxa Ernsta. „Postać ludzka” (1931), blisko dwumetrowa płyta zielonkawego gipsu, przedstawia pod niewinnym tytułem szamana przebranego za owada. Ale upiorny to owad, bo sam przebrany za roślinę. To liściokształtna, pokryta bąblami i wypustkami modliszka *Idolum diabolicum* z Mozambiku. Zapoczątkowuje ona u Ernsta całą serię obrazów dżunglowych nasyconych dziką roślinnością, splotami ociekających sokiem kłaczy i łodyg. Kulmi-



Giuseppe Arcimboldi, *Wiosna*

nację stanowi „Nimfa Echo” (1936), gdzie tors zielonej boginki wyziera spośród liści; jedna jej dłoń obejmuje szypułkę, druga wrasta niepostrzeżenie w kolankowate odrośla. Widać właściwie samą głowę z wyłupiastym okiem i długim, rurkowatym, rozchylonym w półuśmiechu dziobem. W twarzy tej nie ma nic ludzkiego.

Ludzkie bowiem jest tylko to, co stanowi temat, a czego namalować nie można: głos. Wyraźniej przy tym niż na innych płótnach znać, że to dżungla w miniaturze, zwykła kępka trawy pod lupą, roślinno-owadzi horror rodem z jakiejś niemieckiej wersji „Przygód doktora Muchołapskiego”. Ta nimfa ma rozmiar świerszcza. Potężny, w ludzkiej skali, jest tylko zwodniczy głos zielonego ryjka. Pokusa w stanie czystym, bo niewidzialna.

Wizji tej nie ustępuje bardziej na pozór codzienna: wnętrze szafy, gdzie zwisa z wieszaka znoszona nocna koszula, a bliżej, na stoliku, rzucono parę damskich schodzonych lakierków. Tylko że z batystu koszuli wykwiatają niby czyraki dwie ciężkie, różowe piersi, lakierki zaś kończą palce kobiecych stóp. Ubiór przechował ślady jakiegoś nocnego szaleństwa. Malując tę „Filozofię w buduarze” (1947), Magritte musiał wiedzieć, że nie stawia się butów na stole. Stąd dramatyzm osieroconych przedmiotów. Niewątpliwie odeszła na zawsze! Wbrew markizowi de Sade, który użył tytułu, „Filozofia w buduarze” zaczyna się wtedy, gdy buduar jest pusty.

Sto kobiet bezgłowych

„Surrealizm: Pożądanie bez granic”, wystawa w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku, zdaje się niczego z tego nie chwytać. Stanowi najszerzą bodaj dotąd dokumentację roli kobiet w życiu i dziełach surrealistów, poczynając od lal Chirica po na wpół pornograficzne rysunki André Massona. Jest i obiekt stworzony przez prekursora ruchu Marcela Duchampa na użytek paryskiej wystawy w roku 1938, a uwieczniony na okładce ówczesnego katalogu: para różowych piersi z syntetycznego kauczuku z napisem: „Uprasza się dotykać”.

Burzliwe życie miłosne surrealistów istotnie pozwala zaprezentować malowniczą teorię i praktykę. Zarówno „miłość szaloną”, jak i faktyczną propagandę miłości analnej, wcześniej traktowanej w Europie jako przejaw erotycznego analfabetyzmu. Im więcej jednak seksu, tym mniej nadrealności.

Przygniecioną wspaniałym nadmiarem amerykańskich zbiorów kuratorka Jennifer Mundi z londyńskiej Tate Modern spostrzegła się rychło, że surrealiści widzieli w kobiecie absolutnie niezbędny (wyklinali homoseksualizm!), lecz jednak zaledwie obiekt. Te ciała, którym składano poetyckie hołdy, które wielbiono, malowano, fotografowano i upraszano dotykać, są tylko ciałami. Najlepiej wyrażają to na wystawie szokujące obiekty Bellmera – bezgłowe lalki złożone ze zwielokrotnionych pośladków, ud, wzgórków łonowych i biustów. Męsko-szowinistyczny styl miłosny surrealistów postanowiła więc zrównoważyć prezentacją dorobku surrealistek. Jest ich ponad 30, w tym artystki Leonora Carrington, Frida Kahlo, Toyen (Marie Čermínová), Alice Paalen, Leonor Fini, modelka Bellmera Unica Zürn czy muza Picassa Dora Maar, jak i muzy artyści: Gala Dali, Nusch Eluard, Joyce Mansour, Lila Ferry, Valentine Hugo. Niestety, nie mogą one zrównoważyć bogiń erotycznej wyobraźni: Nadjy Bretona, madame Edwardy Bataille’a, Georgette Soupaulta i właścicielki nienasyconej cipy – Ireny Aragony. Próba zaszczepienia tu feminizmu przywodzi na myśl tytuł cyklu kolaży Ernsta „La Femme



Man Ray, *Dar*

100 têtes”, co w mowie brzmi zarówno jako „Kobieta stugłowa”, jak i „Bezgłowa”.

Wystawa nowojorska odsłania antyfeminizm surrealistów, który chciałaby zasłonić. Zasłania zaś to, co sprawia, że owo malarstwo – jako jedyny artystyczny relikw XX wieku – nadal żyje. A żyje, bo człowiek współczesny wciąż szuka w sztuce tego, co mogą mu dać tylko surrealiści: złączonych w jedno temperatury uczuć, odkrywczości i humoru.

W roku 1942, schroniwszy się przed hitlerowcami w Stanach, Max Ernst stworzył obraz programowy „Surrealizm i malarstwo”. Wielkie płótno, niemal dwa na dwa i pół metra, obrazuje istotnie akt twórczy: dziwny, zwalisty stwor cienkim pędzelkiem wykańcza jeden z tych abstrakcyjnych malunków, jakie wszyscy znamy do znudzenia. Ten obraz w obrazie – nader gustowny – to zielonobure listki paproci pokryte ornamentem nienagannych, niczym grafionem wyciągniętych parabol i hiperbol.

Wtajemniczeni w osobistą mitologię Ernsta łatwo rozpoznają stwora. To dziwny ptak Loplop, który 10 lat wcześniej zawitał na jego obrazy jako żartobliwa podobizna niejakiego

Ferdinanda Lopa, popularnego w Dzielnicy Łacińskiej ulicznego poety. Z czasem Loplop z kogucim łbem, często w krawatce, stał się konferansjerem prywatnego kabaretu metafizycznego artysty. Nieraz stoi na jego płótnach za właściwym obrazem, ironicznie wskazując co lepsze miejsca łopaciastym skrzydłem. Tym razem można go jednak podziwiać w całej krasie.

Nogi ma słoniowate, grzbiet jak kangur, długą szyję – która kończy się głową w kształcie dłoni trzymającej pędzel – jak flaming. To, co najciekawsze, ma jednak pod brzuchem. Na kasce malarskiej kuca tam loplopiątko, któremu rodziciel drugą głowę, żurawią, kładzie czule na ramieniu, trzecią zaś, gołębią, zdaje się podawać pokarm. Martwym liniom abstrakcyjnego malowidła przeciwstawiają się kształty żywe i pełne uczucia. Karmin tych partii obrazu każe wspomnieć legendę o pelikanie, który rozdziera swą pierś, by nakarmić małe. Gorący Surrealizm to coś więcej niż zimne Malarstwo: kto go uprawia, składa ofiarę z własnej krwi.

JAN GONDOWICZ

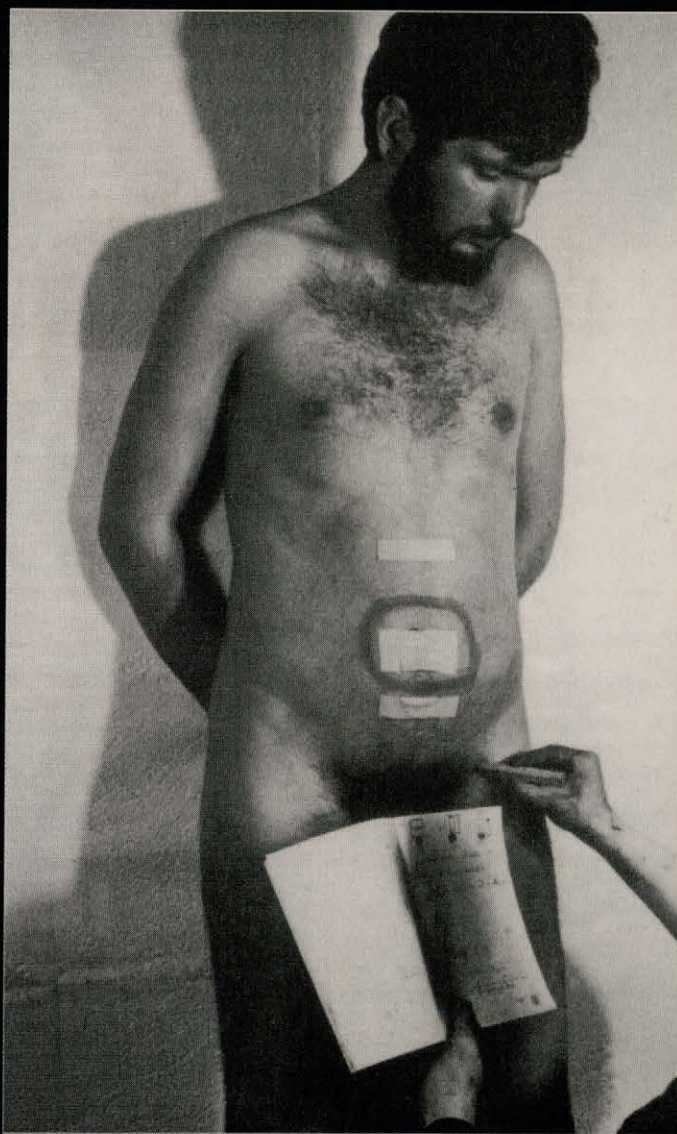
Prowokacje i obciachy

JAROSŁAW KRAWCZYK

Już od dawna w materiałach artystycznych panuje okropne pomieszanie, a publiczność dostaje kręčka, usiłując dociec, co właściwie jest sztuką. To całkowicie zrozumiałe, skoro od pewnego czasu obrazy – powiedzmy – Leonarda da Vinci i Witolda Wojtkiewicza wpisuje się do tego samego podręcznika o prowokacyjne „działania artystyczne” – powiedzmy – Rudolfa Schwarzkoglera czy Krzysztofa Wodiczki.

Dla ułatwienia, Schwarzkogler, artysta wiedeński, w imię sztuki prowokacji obciął sobie penisa, od czego zyskał wielką sławę (naturalnie, nie żyje). To właściwie drobny żart, albowiem wspomniany narząd był jego własnością i miał z nią czynić, co mu się żywnie podobało. Ostatnimi czasami stał się jednak coś daleko gorszego: słynny muzyk Karl-Heinz Stockhausen uznał za dzieło sztuki atak terrorystów na Twin Towers. Tu nie ma wątpliwości – coś złego dzieje się w pięknym świecie ogrodu sztuki. Trzeba go trochę poplewić.

Rzecz w tym, że korzenie rozmaitych prowokacji artystycznych tkwią dość głęboko w historii kultury. Pierwszy tego rodzaju wyzwanie miał chyba miejsce u kresu XVIII w., mianowicie w roku 1797. W kręgach artystycznych rozwijała się akurat moda na Homera, która zresztą pociągnęła za sobą zainteresowanie wszystkim co „archaiczne” i „prymitywne”. Na tym de niejakim Maurice Quai pojawił się ze swym słynnym nauczycielem Jacquesem Louisem Davidem (to ten od „Przysięgi Horacjuszy” i „Śmierci Marata”), który za niedościgny wzór uznawał późniejsze dzieła starożytności. Tylko, aby wyrazić swe poglądy, p. Quai niczego nie namalował: za-



Artyści Rudolf Schwarzkogler i Hermann Nitsch (widać jego ręce) podczas Akcji II, w czerwcu 1965

miał tego na wzór Achillesa zapuścić długie włosy i brodę i przywdziawszy strój właściwy bohaterom „Iliady”, mężnie ruszył w miasto w towarzystwie kolegów, p. Perrier.

Dziś to by nikogo nie zbulwersowało, lecz ponad 200 lat temu było nieco inaczej: paryżanie uciekali w popłochu na widok przebierańców. O ile wiem, policja nie interweniowała.

Nieco inaczej potoczyły się losy innego przedsięwzięcia tej grupy artystycznej. Otóż inny ze zbuntowanych uczniów Davida, p. Monroe, postanowił wraz z kolegami urządzić sobie piknik w Łasku Bułońskim. Oczywiście, piknik miał być homerycki, a z braku środków na sporządzenie odpowiednich kostiumów, zbroi, hełmów, tarcz i innych stosownych

akcesoriów uczestnicy postanowili wystąpić w strojach, w jakich paradowali greccy bohaterowie na igrzyskach ku czci Patroklesa, czyli bez niczego. Jak wiadomo, u Homera ciało Patroklesa płonęło wtedy na pogrzebowym stosie, który nasi artyści – pełni pietyzmu dla poety – starannie ułożyli i zażęgli ogień. Nikogo na nim nie spalili, lecz od stosu zajęła się część lasu i tylko wtargnięcie policji uchroniło Paryż przed pożarem. Policja okazała się wszakże wyrozumiała i prędko wypuściła młodych ludzi – pod słowem, że się ubiorą i ogolą.

Podsumowując w krótkich, żołnierskich słowach: już u kresu XVIII w. niektórzy artyści zrozumieli, że aby być malarzem, nie trzeba w ogóle malować; starczy zachowywać się w pewien sposób. Ta idea prędko uzyskała literacką podbudowę. W roku 1803 Charles Nodier, jeden z wynalazców tego, co nieprecyzyjnie nazywamy „romantyzmem”, wydał powieść „Peintre de Strasbourg” („Malarz ze Strasburga”), której bohater, niejaki Charles Munster (po części przypominający wspomnianego Maurice’a Quai, po części młodego Wertera) jest wybitnym malarzem, „choć nie narysował żadnego szkicu”. Zamiast tego mocno pracuje duchem włócząc się po świecie w osobiwej tunice o właściwościach włośniennicy. Umiera młodo, a na jego nagrobku zostaje wyryty napis: „Jego młodość minęła prędko, a ogień, który go ożywił, płonął tylko przez chwilę”.

Podobnie jak ogień, który wzniecił p. Monroe z kolegami. Ale tylko w sensie fizycznym, bo dziś zapalony przez nich płomyczek zmienił się w wielkie ognisko, którego dym przesłania prawdziwe dzieła sztuki. I gryzie w oczy – czas najwyższy, aby przyjechał wóz strażacki z motopompą. ■

MANU CHAO – poszukiwany przez CIA za wywrotowe teksty, nieobyczajne piosenki, szkaradną grę na gitarze i wyuzdany śpiew

Powyższy list gończy pojawił się na „Oscar Tramor” – pierwszym albumie francuskiego zespołu rockowego Mano Negra. Niestety, wzmiankowanego w nim rebelianta nie ujęto do dziś – pozostaje na skandalicznej wolności.

Agresor

Od wielu lat systematycznie dokonuje aktów wtargnięcia na szczyty popularności. Z początku, w latach 80. szesznego stulecia, zadawała się sukcesami w paryskich kręgach alternatywnych jako członek gangu muzycznego Los Carayos (hm... Uje). Równolegle jednak prowadził inną bandę o nazwie Hot Pants (Szałowe Portki), z którą usiłował spenetrować obszary rhythm and bluesa. Wskutek tej działalności udało mu się zdobyć pokłask wśród podobnych mu indywidualności i spory oddźwięk w środowiskach zarażonych radosną, nieobojętną na problemy społeczne muzyką.

W roku 1988 obwiniony założył z kuzynem i jeszcze jednym kamratem szajkę muzyczną o wymownej nazwie La Mano Negra (Czarna Ręka). W ciągu następnych sześciu lat opanował umysły i ciała tysięcy młodych Francuzów, Hiszpanów, Holendrów, Latynosów, Arabów, Afrykanów, Niemców, Włochów, Greków oraz Azjatów różnej maści.

Sprzedaż jego solowych przedsięwzięć sygnowanych jako Manu Chao idzie w miliony. W pojedynkę czy w otoczeniu współników (występujących jako Radio Bemba) okazuje się jeszcze skuteczniejszy.

Włóczęga

Nie sposób ustalić jego stałego adresu. Wymyka się granicom jak żywe srebro. Wychowywał się w paryskiej „Piętnastce”, dzielnicy pełnej imigrantów różno-

rakiego autoramentu, w rodzinie hiszpańskiego lewicowca. Dziś podobno mieszka w Barcelonie, równie kosmopolitycznym mieście, jednak – jak sam twierdzi – przebywa tam, gdzie przebywa, i jest „obywatelem teraźniejszości”. Jego francuska grupa Mano Negra beczelnie śpiewała po hiszpańsku, francusku, angielsku i arabsku. Członkowie zespołu (skandal!) rekrutowali się z różnych nacji, co ułatwiało grupie infiltrację rozmaitych kręgów podatnych na idee wywrotowe.

Poszukiwany do dzisiaj wymyka się organom odpowiedzialnym za lokalizowanie niebezpiecznych elementów i rusza uzbrojony w rebeliancką gitarę na ulice miast, do barów, na wiece organizowane w różnych częściach globu. Tam oddaje się procederowi, o którym poniżej.

Rozrabiaka

Inaczej: artysta. Posługuje się gitarą, akordeonem, instrumentami klawiszowymi i przede wszystkim głosem. Układa słowa i muzykę, często naprędce, a następnie przeprowadza akcje, podczas których dochodzi do bezpośredniego użycia sfabrykowanych przezeń piosenek. Przy czym wiele z nich pozostaje w pamięci słuchaczy na całe lata, co pozwala domniemywać, że ich działanie zbliżone jest do przewlekłej choroby zakaźnej. Badanie organoleptyczne pozwala jako tako określić muzykę Manu Chao *alias* Oscara Tramora jako mieszankę. Do podstawowych jej składników należą: francuski punk rock i leżąca u jego korzeni muzyka rockabilly z lat 50., flamenco, ballada uliczna, reggae i ska, swing. Sam podejrzany określał muzykę Mano Negra jako *patchanka* albo „dzikie brzmienie”. Z tamtych czasów najbardziej zaraźliwe okazały się piosenki „King Kong Five”, „Pas assez de toi”, „Mala vida”, „Bragg Jack”, „Letter to the

Censors”, „Out of Time Man”, „Señor Matanza” i „Casa Baby-lón”. Po rozwiązaniu bandy jej herszt zamknął na parę lat, w roku 1998 jednak wyszedł z ukrycia i zaatakował solowym przedsięwzięciem o wymownym tytule „Clandestino” („Podziemny”), wypełnionym piosenkami łagodniejszymi w barwie, ale wcale nie mniej przez to skutecznymi. Wręcz przeciwnie: „Clandestino”, „Bongo Bong/Je ne t’aime plus”, a także „Me gustas tú”, „Mr. Bobby” czy „Merry Blues” z następnego albumu są na ustach popleczników Chao w różnych punktach globu.

Wichrzyciel

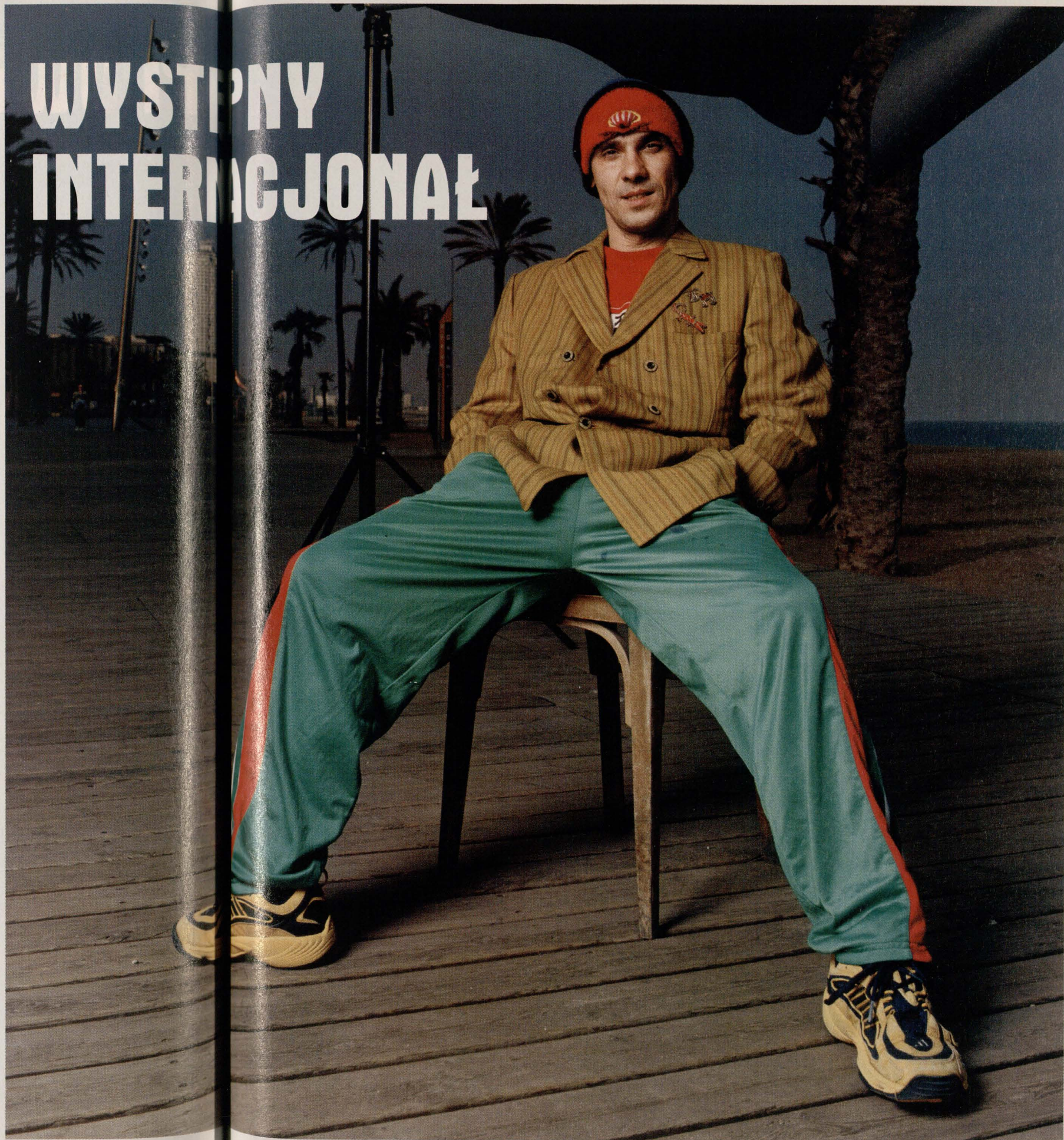
Oscar Tramor-Manu Chao nie ogranicza swej występnej działalności do serwowania porwujących rytmów i chwytliwych melodii. To rewolucjonista. Antyglobalista. Ekolog. Społecznik. Wystarczy poczytać teksty piosenek. „W sercu uśpionego miasta/miliony upodlonych ludzi/a po ulicach wędruje/tylko lump spod mostu /.../baron władający miastem/chce nas wszystkich widzieć w łóżkach/.../Paryż umiera” („Ronde de la nuit”). „Zachód nadciąga/do twego cichego gniazda/przynosi same atrakcje/McDonald, MTV” („Welcome in Occident”). „Uwaga na dzielnicę/uwaga na chodniku/uwaga wszędzie/szukają cię/faceci z bezpieki” („Peligro! [Rudy’s burial]”). Poszukiwany zjawia się wszędzie tam, gdzie toczy się aktywny spór z potężnymi konsorcjami. Jest przy tym inteligentny – nie wspiera zadymiarzy, optując za samodoskonaleniem i samorządnością.

Ktokolwiek go zobaczy albo dowie się o kolejnym ognisku jego aktywności, niech natychmiast poinformuje znajomych i sam pośpiesznie uda się na miejsce akcji.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Warszawski koncert Manu Chao i Radio Bemba Sound System w czwartek 23 maja w hali Mery. Wejście od godz. 19 surowo nakazane.

WYSTĘPNY INTERNAJONAL





„Jego twarz była pociągła
nos orli, oczy raczej duże niż małe
szczęki silne (...)
a wyraz twarzy
zawsze smutny i zamysłony...
Boccaccio, *Trattatello in laude di Dante*”

MICHAŁ KOMAR

ZAPRASZAMY DO PIEKŁA

Nim siądziemy na nowym przekładem „Piekła” Dantego, spójrzmy na świat, z którego ruszył w swą podróż

Dante Alighieri przekroczył bramę Piekła wiosną 1300 roku w towarzystwie cienia Publiusza Vergiliusa Maro, by następnie zwiedzić Czyściec i Raj, tym razem u boku Beatrycze, za życia mieszkającej na via del Corso (tam, gdzie dziś Banca Toscana), zmarłej 8 czerwca 1290 roku żony bankiera Simone de Bardiego.

Do Wergilego mógł mieć zaufanie: poeta rzymski dobrze znał zaświaty, przebywał w nich od 1319 lat, a jeszcze przed śmiercią dysponował sporą wiedzą o topografii krainy zmarłych, czemu dał wyraz w szóstej księdze „Eneidy”. Natomiast znajomość Dantego z Beatryczą była raczej powierzchowna. Miał dziećnięć lat, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, 18 – po raz wtóry. Nie zamienili ani jednego słowa. Potem Dante ożenił się z Gemmą Donati i spłodził czworo dzieci. Gdy Beatrycze zmarła, poświęcił jej tom „La vita nuova”, potem zaś najpiękniejsze wersy „Komedii” (nazywanej Boską od roku 1555). Do końca życia zachwycał się swą do niej miłością. Ogrom uczucia sprawił, że portret tej niewiasty w dziele Dantego jest tyleż doskonały, co bezcielesnie blady.

Szło się to zatem wedle świadectwa Dantego w czas równonocy wiosennej roku 1300, być może w Wielki Piątek, ale też być może wcześniej. Ówczesna Europa miała kłopoty z liczeniem czasu. Spierano się o podział dnia na godziny. Dochodziło w tej sprawie do gwałtownych zatargów. Zegar nazywany był narządem szatana. Spierano się o pierwszy dzień nowego roku: wedle kurii rzymskiej był to dzień narodzin Jezusa (25 grudnia), wedle innych duchownych – 1 stycznia, ustanowiony przez Juliusza Cezara, pokrywający się zaś z dniem święta obrzezania Zbawiciela. Jeszcze

inni przyjmowali, że rok zaczyna się 25 marca. Kościół katolicki mocno trwał przy ustalonym w roku 325 dogmacie, że równonoc wiosenna następuje 21 marca. Astronomowie protestowali – narażając się na zarzut herezji i związane z tym niebezpieczeństwa. W roku 1267 Roger Bacon starał się przekonać papieża Klemensa IV, że rok kalendarzowy różni się od roku słonecznego o kilkanaście minut, co oznacza, że w istocie równonoc tegoż roku 1267 przypada na 12 marca, a jak tak dalej pójdzie, to któregoś roku Wielkanoc będzie obchodzona zimą. Za głoszenie poglądów rozmiłujących się z rozumem franciszkanie osadzili Bacona w więzieniu na długie lata. Kto rządzi czasem, ten ma władzę.

Tak więc w pewien wiosenny piątek roku 1300 Dante Alighieri, 35-letni poeta, członek cechu lekarzy i aptekarzy, urzędnik florenckiej komisji budowlanej, wyszedł z via de Calzaiuoli i minawszy baptysterium San Giovanni (o czym zaświadcza płyta ze stosownym napisem wmurowana w ścianę budynku w roku 1907), podążył ku wzgórzom oświetlonym promieniami zachodzącego słońca, by na koniec zgubić się w ciemnym lesie. Widział słońce i widział las. A potem było ciemno.

Słońce było wtedy jedną z siedmiu planet poruszających się po kopule firmamentu, w którego środku spoczywała okrągła Ziemia, mniejsza od Słońca sto sześćdziesiąt sześć i trzy dwudzieste razy. Obwód Ziemi wynosił 20 147 mil lombardzkich. Kto przeczytał księgę „Almagest” – a było to arabskie tłumaczenie dzieła Klaudiusza Ptolemeusza – ten wiedział, że porządek natury jest taki: środek świata mieści się w głębinach Ziemi, nad Ziemią jest Księżyc, potem Merkury, Wenus, Słońce, Mars, Jowisz i Saturn, za granicą zaś krystalicznego firmamentu znajduje się niebo purpurowe, w którym przebywa Boskość ze wszystkimi aniołami.

Na wschód od Florencji leżała Azja z Egiptem, Arabią, przez którą płynął Tygrys, z Morzem Martwym, Cylicją, Baktirią, Cykonią i Indiami. W Indiach żyły ludy różnego rodzaju. Brunetto Latini, mistrz Dantego, zaświadczał: „Są tacy, którzy żywią się wyłącznie rybami i tacy, którzy zabijają swoich ojców, zanim oni się zestarzeją i popadną w chorobę, a potem zjadają ich, co uchodzi za objaw wielkiej czułości. Ci, którzy zamieszkują górę Nil, mają stopy w odwrotną stronę (...), a na każdej stopie po osiem palców. Są też tacy, którzy mają psie głowy. Inni wcale nie mają głowy, za to ich

oczy są umieszczone na ramionach” [„Skarbiec wiedzy”, przeł. Małgorzata Frankowska-Terlecka i Teresa Giermak-Zielińska – przyp. red.].

W Indiach znajdował się raj ziemski, niedostępny dla ludzi z powodu ciężącego na nich grzechu pierworodnego. Nieopodal granic Raju pojawiały się leucrotty i mantykory. O przewagach mantykory wypowiadał się ostatnio Umberto Eco w „Baudolino”, stronniczo pomniejszając znaczenie leucrotty. Naprawiając tę krzywdę, podajemy, że leucrotta przewyższała chyżością wszystkie inne zwierzęta, a co do wyglądu, to była wielkości osła, z piersią i nogami lwa, głową konia, paszczą od ucha do ucha i z zębami z jednego kawałka kości.

Na zachodzie i północy rozciągała się Europa, na której okrajach leżały wyspa Thule i Irlandia. Ta ostatnia zadziwiała podróżników czterema arcybiskupstwami, 36 biskupstwami oraz całkowitym brakiem węży. Na południe od Florencji był Rzym, następnie zaś wyspa Sycylia i Afryka, w której żyli Nasamoniowie, Troglodyci, Amantowie budujący domy z soli oraz ludy Etiopii. O tych ostatnich mówiono, że mają wspólne kobiety, z tego zaś wynika,



Dante ze swoim dziełem.
Inicjał z XV-wiecznego kodeksu

że – wobec nieznajomości swych ojców – wyróżniają się najgorszym urodzeniem w świecie. Tyle o geografii, zaś jeśli idzie o las, do którego Dante zawędrował, to w roku 1300 lasów w okolicach Florencji było bardzo mało.

Florentyńczycy potrzebowali ogromnych ilości drewna do młynów zbożowych, oliwnych, hutniczych i tkackich. Miasto przerabiało wełnę importowaną z Anglii wedle technologii folowania obmyślonej przez mnichów humilantów z kościoła Ognissanti: drewniane mechanizmy pilśniowały sukno spoczywające w wielkich kadziach, potem do dzieła przystępowali pracze, farbiarze, napinacze sukna, w sumie jedna czwarta zamieszkałej we Florencji siły roboczej. Ale to jeszcze nie wszystko, bo skoro surowe przepisy cechowe zakazywały konkurencji, to obrotniejsi Florentyńczycy zakładali tkalnie tuż za murami miasta, gdzie koszty robocizny były kilkakrotnie niższe. Wielcy przedsiębiorcy sprawujący kontrolę nad importem wełny, produkcją sukna i jego eksportem osiągnęli dodatkowe zyski przez stosowanie dwóch rodzajów pieniądza. Podczas gdy sprzedaż sukna następowała za mocne złote floreny (bite od roku 1252), to pracowników wynagradzano szybko dewaluującym się florenem ze srebra.

Operacje na rynkach międzynarodowych wymagały sprawnego księgowania, ubezpieczeń

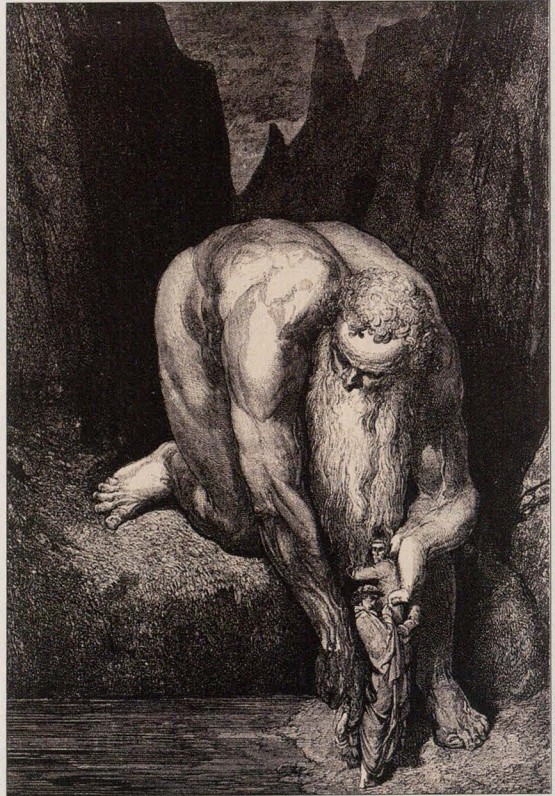
i kredytów. Co prawda papież potępiał z przyczyn doktrynalnych branie procentu od pożyczki (zapożyczając się jednocześnie we Florencji na wielkie sumy) – jednak kupcy z uwagi na znaczne ryzyko i wysokie koszty transportu chętnie sprzedawali na kredyt, inwestując dochody w zakup ładunku powrotnego. Z kolei banki udzielały pożyczek z wykorzystaniem funduszy rezerwowych i prowadziły obrotowe weksłami.

Wypracowano wówczas sporo przemyślnych technik zyskowego transferu pieniądza, dbając zarazem o spokój sumienia. Dwustronne (credit i debet) księgi handlowe zaczynały się sentencjami w rodzaju: „W imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, Świętej Dziewicy Marii, Jego Matki, i wszystkich świętych niebieskich, dzięki Ich łaskom i miłosierdziu niech dane nam będzie zdrowie i zyski zarówno na lądzie, jak i na morzu, a dzięki naszemu duchowemu i cielesnemu zbawieniu niechaj rozmnażają się nasze bogactwa i nasze dzieci. Amen”.

Wracając do młynów: ich doskonałe konstrukcje wpłynęły na stworzenie zegarów mechanicznych. Przy okazji we Florencji pojawiły się okulary dla 40-latków dotkniętych starczowzrocznością. Odtąd mogli pracować dokładniej i wedle porządku potwierdzanego przez wskazówki zegara. Kto rządzi czasem, ten ma władzę.

Wracając zaś do Dantego, to zapisał w „Piekle”, że w czasie marszu drogą, przez którą nie szedł nigdy żaden żywy – a dodajmy, że wiodła ona ku górze, ku skalnej grani – natknął się był na pan-

Chrystusowi-lwu. Uczeń średniowieczni zwracali uwagę na związek między Matką Bożą i lwicą, a to przez wzgląd na zapewnienia Arystotelesa (błędne), że lwica może urodzić tylko jedno młode. Dante znał trzy rodzaje lwów: do pierwszego zaliczały się małe, z grzywą kędzierzawą, dosyć potulne, ale szlachetne; do drugiego długie i duże, o prostej grzywie, wielce odważne i szlachetne; do trzeciego leopardy, bez grzywy, bez szlachetnych skłon-



Gustaw Doré, ilustracja do pieśni XXI „Piekle”

same zawsze wybierała najbrzydszego i tylko z nim się pokładała. Wilków we Włoszech w roku 1300 było dużo. Wszystkie brzydkie. Znany był też we Włoszech rodzaj wilka, z którego mocz tworzy się cenny kamień zwany lyncurium. Wilki o tym wiedziały i, chcąc zachować swój skarb, zasypywały urynę piaskiem.

Potem pojawił się Wergiliusz, a jeszcze potem brama z napisem:

*Przeze mnie droga do grodu boleści,
przeze mnie droga w wieczny ból, aż
do dna,
w kraj, co zgubionych tylko ludzi mieści.*

*Tak sprawiedliwość chciała niezawodna,
że wspólnie moje otwały wierzeje:
Moc Boża, Mądrość, Miłość pierworodna.*

*Przedemną rzecz stworzona nie istnieje,
Chyba, że wieczna, a ja wiecznie stoję.
Wchodząc, porzućcie wszelkie swe nadzieje.*

Podróż z Florencji do bram Pieła zajęła Dantemu kilkanaście godzin. Kroczył powoli, niepewnie, zatrzymując się i błędząc. Przeszedł ledwie parę mil. Możemy stąd wysnuć wniosek, że brama pieła mieści się nieopodal pięknego miasta, którego położenie na dzisiejszych mapach wyznaczają współrzędne 43,46 N i 11,15 E, albo też – co chyba bardziej prawdopodobne – że piekło jest zawsze blisko nas, bliżej, niż byśmy przypuszczali.

Tego, co Dante zobaczył potem, po przekroczeniu bramy, komentować nie będę. Mądrzy ludzie twierdzą, że tomy komentarzy napisanych na temat Dantego Alighieri wypełniłyby jego własne piekło. Wystarczy podjąć minimalny wysiłek:

Brama pieła mieści się nieopodal pięknego miasta, albo też – co chyba bardziej prawdopodobne – piekło jest zawsze blisko nas

terę, lwa i wilczycę. Komentatorzy powołujący się na list św. Jana i słowa Tomasza z Akwinu twierdzą, że pantera jest tu symbolem rozpusty, lew – pychy, wilczyca zaś – chciwości. Może tak, a może nie. Warto bowiem pamiętać, że dla Dantego i jego współczesnych pantera była zwierzęciem, które po trzydniowym śnie wydaje potężny ryk, a jej oddech rozciąga niebiańską woń znienawidzoną przez smoka, „sługę Dyabła”. Toteż panterę porównywano do Chrystusa, który „gdy zbudził się trzeciego dnia i powstał z martwych, był miłą wonią dla miłujących pokój”.

Jeśli idzie o lwa, to Orygenes w komentarzu do Księgi Rodzaju sporo miejsca poświęcił

ności i umiejscowione w rzędzie podłych bestii. Wiedział też poeta, że lwy z dwóch pierwszych rodzajów kochają człowieka i przebaczą mu wszelkie przewiny, jeśli ten przyjmie postawę błagającego o zmiłowanie, kobiet w zasadzie nie atakują, a co do dzieci, to ich nie tkną, chyba że bardzo im głód doskwiera.

Z kolei wedle Pisma Świętego wilk może się kojarzyć z rozlewem krwi, zabójstwem dla niesprawiedliwych zysków (Księga Ezechiela 22,27), zaś z przypowieści o dobrym pasterzu dowiadujemy się, że wilk to być może sam diabeł. Encyklopedyści średniowieczni zaobserwowali szczególnie obyczaj panujący wśród wilków. Otóż w czasie rui wilczyca nagabywana przez

sięgnąć po nowy, pełen grozy i śmiechu, jak prawdziwa komedia, przekład „Inferna” piora Agnieszki Kuciak. Rzecz wydały: Klub Książki Katolickiej i Biblioteka Telgte przy finansowej pomocy Zakładów Przemysłu Spirytusowego „Polmos”, a szczególnie prezesa tychże Janusza Michalskiego. Przekład piękny, radosny, jakże się z tej okazji nie napić, choć mówią, że grzech, ale że w dantejskim „Piekle” tylu wspaniałych ludzi znalazło sobie miejsce – będzie o czym porozmawiać w dobrym towarzystwie.

MICHAŁ KOMAR

Odgrzewane kotlety Reicha-Ranickiego

Nowe dzieło „papieża” niemieckiej krytyki literackiej stałoby się wydarzeniem – gdyby ukazało się 40 lat temu

W Niemczech ukazała się książka Marcela Reicha-Ranickiego o polskiej literaturze. To wspaniale, można by rzec, że najpopularniejszy krytyk niemiecki – z Polską na wiele sposobów związany, przebywał w warszawskim getcie i służył w PRL-owskim wywiadzie – napisał książkę o naszej literaturze. To wspaniale, można by rzec, bo taka publikacja mogłaby się znacznie przyczynić do wzrostu zainteresowania Niemców polskim piśnictwem, które to zainteresowanie jest obecnie znikome, a właściwie żadne.

To przecież recenzje Reicha-Ranickiego utożsamiały niegdyś drogę do sukcesu Andrzejowi Szczępińskiemu, który był nawet bardziej popularny i ceniony w Niemczech niż we własnym kraju. Zresztą, także książki, na których Reich-Ranicki nie zostawił suchej nitki, sprzedawały się często lepiej niż te, które pod niebiosa wychwalał. Niektóre zdobywały nawet światową sławę, jak choćby „Blaszany bębnek” Güntera Grassa.

To wspaniale zatem, że po różnych próbach promocji polskiej książki na niemieckim rynku, po jej szerokiej prezentacji na Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie nad Menem w roku 2000, również Marcel Reich-Ranicki wziął ją na swój krytycznoliteracki warsztat.

Krytyk nie omieszkiał zareklamować książki w „Reich-Ranicki solo”, nowym programie telewizyjnym, który prowadzi po porzuceniu legendarnego „Kwartetu literackiego”. – Na-

piisałem książkę o polskiej literaturze” – powiedział, po czym z kokieterią dodał, że pewnie i tak nikt jej nie przeczyta.

Nie, nie, tak źle nie jest. Dwie osoby już ją na pewno przeczytały – Joanna Skibińska, autorka recenzji w „Tygodniku Powszechnym”, no i ja. Muszę jednak od razu wyznać, że – w porównaniu ze Skibińską – czuję się tą lekturą bardziej rozczarowany. Uczciwiej byłoby bowiem, gdyby Marcel Reich-Ranicki powiedział, że napisał książkę o polskiej literaturze 40 lat temu, bo rzecz składa się głównie z przedruków jego prasowych recenzji z ukazujących się wówczas polskich książek, do których dołączono pisane na przestrzeni lat wspomnienia o zmarłych pisarzach – Antonim Słonimskim, Janie Parandowskim, Jerzym Andrzejewskim – i okazjonalny tekst o Noblu dla Czesława Miłosa.

Nie zdziwiłbym się więc, gdyby obawy Reicha-Ranickiego się potwierdziły, a jego książka nie znalazła w Niemczech czytelników. Bo nie wiem doprawdy, do kogo jest ona właściwie adresowana? Książki krytycznoliterackie docierają wszak do wąskiej, wyspecjalizowanej grupy odbiorców, zainteresować mogłoby ich szersze i bardziej wnikliwe spojrzenie na twórczość Schulza, Gombrowicza, Mrożka czy Miłosa, a nie zdawkowe recenzje sprzed lat. Mniej zorientowany w polskiej literaturze czytelnik gotów zaś pomyśleć, że do największych jej osiągnięć trzeba zaliczyć prozę Romana Bratnego.

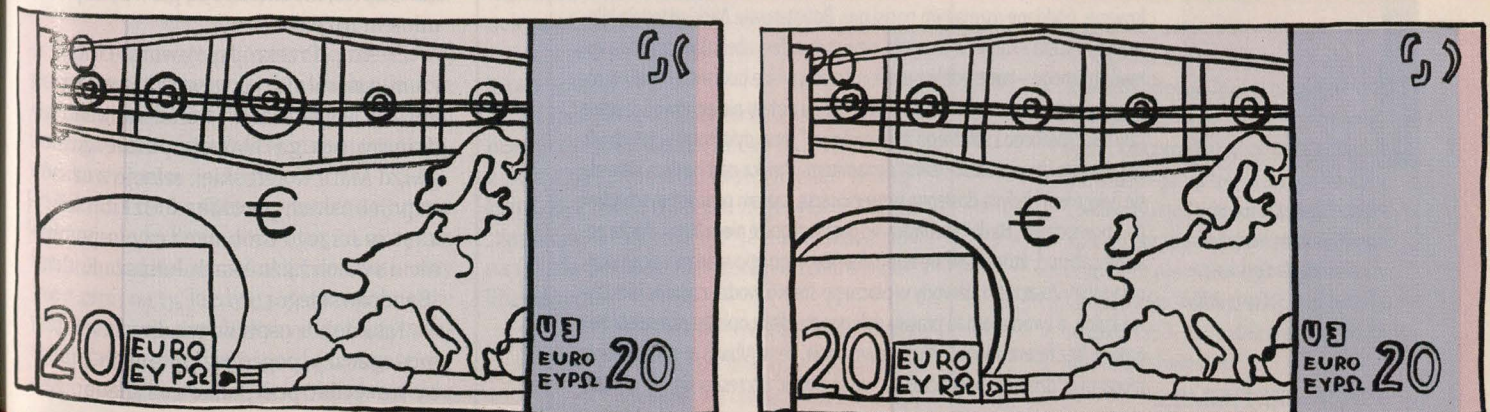
Marcel Reich-Ranicki nie zadał sobie trudu, żeby do dawnych tekstów dopisać choćby jedno zdanie. Próżno więc szukać opinii o dzisiejszej randze piśmarstwa na przykład Jerzego Andrzejewskiego. W książce o współczesnej polskiej literaturze nie ma nic o Zbigniewie Herbertcie, Tadeuszu Różewiczu, Wisławie Szymborskiej, Gustawie Herlingu-Grudzińskim, Ryszardzie Kapuścińskim, Adamie Zagajewskim.

W 1994 roku Marcel Reich-Ranicki tak podsumował swoje kontakty z literaturą polską: „Zacząłem ją poznawać dość późno, bo już po maturze, gdy zupełnie niespodziewanie znalazłem się w Polsce. Nigdy nie orientowałem się w niej tak, jak w literaturze niemieckiej, która zawsze była i w dalszym ciągu pozostała największą pasją mojego życia. W Polsce publikowałem od 1951 roku aż do mojego wyjazdu [w roku 1958 – przyp. red.], ale przez cały ten czas nie napisałem ani jednego słowa na temat polskiej literatury. Nie miałem po prostu odwagi o niej pisać”. Może należało przy tym pozostać? W opublikowanej książce i tak nie chodzi w gruncie rzeczy o polską literaturę, lecz o to, aby absolutnie nic ze spuścizny krytyka nie odeszło przypadkiem w zapomnienie.

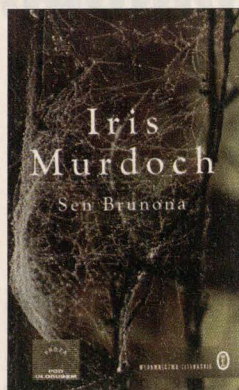
ZBIGNIEW BOCHENEK

Marcel Reich-Ranicki „Erst leben, dann spielen. Über polnische Literatur” [„Najpierw żyć, potem się bawić. O literaturze polskiej” – tł. red.], Wallstein Verlag, Göttingen 2002.

WYTEŻ WZROK...



...i znajdź 13 szczegółów, którymi różnią się te dwa rysunki Wilhelma Sasnala. Rozwiązanie na s. 73.



Iris Murdoch „Sen Brunona”,
przeł. Tomasz Lem,
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2002



Kir Bułyczow
„Pole bitwy z lotu ptaka”,
przeł. Ewa Skórska,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2002



Ylljet Alička „Kompromis”,
przeł. Dorota Horodyska,
Fundacja Pogranicze,
Sejny 2002

Bruno nie został zoologiem, Gwen nie uratowała tonącego dziecka, Miles nie spędził życia z Parvati, Nigel nie podbił londyńskich scen, Lisa nie pojechała do Kalkuty, zaś Adelajda de Crecy nie spotkała Swanna. Czy tym i innym bohaterom nieznanej dotąd w Polsce powieści Iris Murdoch cokolwiek w życiu wyszło tak, jak sobie zaplanowali? Nie od razu i nie do końca, ale za to mieli bardzo udane marzenia. Właściwa naszemu skomplikowanemu gatunkowi rozbieżność między losem zrealizowanym a wyśnionym decyduje o tym, że ta powstała pod koniec lat 60. książka jednak się nie zestarzała. Zmienia się bowiem scenografia, moda i otaczające nas gadżety, jednakże człowiek pozostaje tak samo bezradny i głupi jak jego przodkowie. Natomiast waleczny i stanowczy bywa przeważnie we śnie. Z którego, niekiedy, potrafimy się przebudzić, zanim ogarnie nas wieczna ciemność. Jeden z bohaterów „Snu Brunona” nazywa siebie „podglądaczem życia wewnętrznego” – czyż to nie piękny odpowiednik słowa „pisarz”? Albowiem, choć żyjemy w dobie mody na podglądactwo, ciągle tylko literatura potrafi wydobyć i jednak uwziósł to, czego żadna kamera nie może zarejestrować. Najważniejsze jest przecież niewidoczne dla oczu. (MIZ)

Ta książka najbardziej znanego – obok braci Strugackich – rosyjskiego fantasty ukazała się w oryginale w tym samym roku 1998 co film „Truman Show”. Można by się długo zastanawiać, co jest bardziej okrutną manipulacją – całe życie pod nieustanną obserwacją kamer w filmie Weira czy krwawe jatki, w których zabijają się weterani postsowieckich armii, porywani i zmuszani do bratobójczego gladiatorstwa (broń palna w użyciu) po uprzednim dokładnym wypraniu mózgu w książkowej wizji Bułyczowa. Seanse nienawiści mogą przypominać te z Orwellowego „Roku 1984”, ale autor kryptocytatem przywołuje rodzimą tradycję – antyniemiecką propagandę Erenburga z czasów II wojny światowej (przepraszam, Wielkiej Wojny Ojczyźnianej). Czyniona przy okazji diagnoza rosyjskiego społeczeństwa jest ponura: hierarchie partyjno-wojskowe przekształcają się w mafie, demokracja wydaje się fasadowa. Te smutne refleksje autor uprzyjemnia jednak wyśmienitym stylem, mnogością narratorów i żonglerką konwencjami. Zastanawia tylko, czemu Bułyczow uparł się, żeby w tej *social fiction* główny bohater Garik Gagarin był z pochodzenia kosmitą. (PDW)

Łatwo można zostać Wybitną Osobistością Wieku, wystarczy zamówić sobie dyplom w centrum biograficznym w Anglii. Wielu Albańczyków na początku lat 90. kupowało je za grube pieniądze. Czuli się wtedy bardziej Europejczy. Takie instytucje świetnie zarabiały również w Polsce – w wielu domach widać ozdoby dyplomy. Alička opisuje również wcześniejsze lata, czasy dyktatury (do roku 1991 Albania była całkowicie odizolowana). Świat opisany przez Aličkę można zrozumieć – zwłaszcza postaci wydają się bliskie: skołowane, poddane różnym naciskom. Bohaterowie Alički układają kilometrowe hasła z kamieni. To wcale nie jest metafora absurdów państwa komunistycznego – nauczyciele z uczniami rzeczywiście budowali napisy w rodzaju „Program partii programem narodu”, a potem pielęgnowali je przez cały rok. Wielkiego i solidnego napisu „Enver” (imię dyktatora) w latach 90. nie dawało się wysadzić nawet dynamitem. Opieka nad hasłem stawiała się nawykiem i jedyną dostępną przyjemnością, czasem pretekstem schadzek (w opowiadaniu „Hasła” kochająca się para rozkupuje nieco liter). Alička pokazuje absurd, który staje się normalnością, jego opowiadania przypominają satyrę Zoszczenki: zawody w płaczu po śmierci wodza czytamy jako czystą kpinę, a tymczasem to prawie dokument. Alička opisuje przeszłość bez emocji, bez resentymentu. Wyobrażam sobie, że w Albanii te opowiadania mogły mieć działanie oczyszczające, mogły godzić z przeszłością. (JS)

Niełatwa sztuka prowadzenia pogaduszek

„Pogaduszki”
Ludwika Jerzego Kerna
to potężna dawka
życiodajnego dowcipu,
sentymentu i inteligencji

Kim jest Ludwik Jerzy Kern, na tych łamach tłumaczyć chyba nie trzeba, ale dla porządku, w dobie transformacji i globalizacji, przypomnijmy. Rocznik 1921, z urodzenia łódzianin, z serca, ducha i zamieszkania – krakauer, poeta, satyryk, wieloletni opiekun ostatniej, poprzecznej strony „Przekroju”. No i na koniec, choć wcale nie najmniej ważne: twórca Ferdynanda Wspaniałego (mówiącego psa z człowieczymi przypadłościami), Karampuka (mówiącego królika z kapelusza) i Dominika (mówiącego słońca z porcelany).

A kim jest 13 rozmówców Ludwika Jerzego Kerna, towarzyszy jego „Pogaduch”? Persony to bardzo rozmaite. Znajdujemy wśród nich i genialnego aktora Tadeusza Łomnickiego, i nieznanego szerszej publiczności Tadeusza Bazylewicz (stolicie fortepianów w krakowskiej filharmonii). Nie tworzą oni grupy szczególnie reprezentatywnej ideowo czy charakterystycznej społecznie. Jedyne sześciu z nich, dość mocno w swoim czasie związanych z tygodnikiem „Przekrój” (Marian Eile, Jan Kalkowski, Stefan Kisielewski, Zbigniew Lengren, Zbigniew K. Rogowski, Jerzy Waldorff), łączy nieco mocniejsze więzi zawodowe, ale nie one są głównym przedmiotem rozmów.

Zresztą „Przekrój” pojawia się tutaj całkiem naturalnie, jak wszystkie pozostałe tematy „Pogaduszek”, wśród których znajdziemy (co za materii pomieszanie): gwizd Marii Koterbskiej, relacje z czasów napoleońskich potomka łódzkiej fabrykantów Jerzego Grohmana czy wspomnienie o synach bliźniakach Juliusza Kadana-Bandrowskiego.

Taki dobór osób wywiadowanych (czy może raczej „pogaduszkowanych”) mógłby się wydać przypadkowy i nieuporzą-



kowany, gdyby nie „dekalog pogaduszkowicza” Ludwika Jerzego Kerna wydrukowany na czwartej stronie okładki, dekalog, który pozwole sobie przytoczyć tu w całości, bowiem jest śmieszny, niebanalny i składa się tylko z czterech wyznań-przyznań, co – jak na dekalog – nie jest dużo:

Po pierwsze: z obcymi nie rozmawiam.
Po drugie: musimy być na ty.
Po trzecie: z nieciekawymi nie potrafie.
Po czwarte: mój magnetofon nie konfabuluje.

Zasady powyższe, szlachetne w swej prostocie, kryją w sobie komplikacje wprost niewyobrażalne i stawiają Ludwika Jerzego Kerna w rzędzie gigantów pogaduszkownictwa.

Potrafił on bowiem sprawić, że ludzie ciekawi nie byli mu obcy i on im obcy nie był, a na dodatek umiał w sposób naturalny być z nimi na ty, kiedy na stoliku pomiędzy nimi kręciły się szpule wszystko nagrywającego magnetofonu. Być może uwagi te po-brzmiewają oczywistością, lecz w dobie

dziennikarstwa szybkiego i powierzchownego wcale takie oczywiste nie są.

Ale porzućmy teorię i powróćmy do praktyki. A praktyką w „Pogaduszkach” jest niekończąca się liczba pereł anegdociarstwa polskiego, spośród których nie mogę się oprzeć zwłaszcza dwóm.

Dramaturg i satyryk Artur Maria Swinarski miał w zwyczaju tak wysyłać zaproszenia na premierę swojej sztuki, by łysi siedzieli sami w jednym rzędzie foteli.

Natomiast poeta K.I. Gałczyński chciał pewnego razu spróbować chleba sprawodawcy filmowego. Niestety, jego tekst nie zawierał ani słowa o filmie, reżyserze i aktorach, przekreślony był nawet tytuł filmu. „Recenzent” ze skrucą przyznał, że w kinie nie był, ale „niezwykle dokładnie oglądałem wystawione przed kinem fotosy, chyba przez pół godziny”.

„Pogaduszki” nie są jednakowoż tylko miłą lekturą rozrywkowo-obyczajową, która pozwala czytelnikom obcować z niebanalnymi osobowościami dzielącymi się swoimi poglądami na tak różne rzemiosła artystyczne, jak aktorstwo, muzyka, śpiew czy ślusarstwo. Ten zbiór rozmów to także nieoceniony materiał źródłowy dla dziejów polskiego humoru. Oto okazuje się, że dowcipy, nawet te – wydawałoby się – istniejące od zawsze, mają jednak swoich autorów. Znowu tylko dwa przykłady.

Marian Eile, twórca „Przekroju”, wskazuje na Janinę Ipohorską (bardziej znaną jako Jan Kamyczek) jako na autorkę dowcipu:

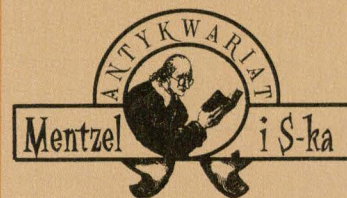
Petent: „Panie naczelniku, czy to się da zrobić?”. Urzędnik: „Jak się da, to się zrobi”.

Natomiast rozmowa ze Zbigniewem Lengrenem (twórcą Profesora Filutka) przynosi wiadomość, iż to właśnie on wymyślił rysunek, na którym matka woła do dwojga szamoczących się dzieci: „Heniusz, nie bij jej, bo się spocisz!”.

To książka paradoksalna, w znacznej mierze dotyczy siermiężnego okresu PRL-u, a skrzy się humorem, krotocwilą i wdziękiem. Być może dlatego, że jej naturalnym „zapleczem duchowym” jest niezniszczalna (?) siła polskiej inteligencji o rodowodzie liberalnym.

MARCIN BARAN

Ludwik Jerzy Kern „Pogaduszki”,
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002



Andrzej Kijowski „Ja”. Maszynopis
powielony (?); 17 s.

Autobiograficzny szkic Andrzeja Kijowskiego włączony po latach do ogłoszonego pośmiertnie tomu pod tytułem „Rachunek naszych słabości” powstał prawdopodobnie w roku 1972, co – ze względu na pewien istotny jego wątek – ma dziś dla mnie znaczenie symboliczne. Rok 1972 jest datą mojego debiutu prasowego; na łamach znanego tygodnika po raz pierwszy zobaczyłem swoje nazwisko w druku i doskonale pamiętam, że emocje, jakie zaczynały we mnie wówczas narastać, były dokładnie tym uczuciem, tą słabością, z którą rachuje się Kijowski. Opowiada on, że kiedy jako student poznał ludzi, którzy już drukowali, myśl, żeby samemu też coś wydrukować, nie dawała mu spokoju; co właściwie ma do powiedzenia, wcale nie było dla niego ważne, nikt też go o to nie zapytał. Trwiony ambicją przerzucał gorączkowo tygodniki literackie i wydawało mu się, że niczym kronika towarzyska wielkiego świata donoszą o książkach i dyskusjach jak o balach, mariażach, pojedynkach, megalomaniach. Wielki świat! List Jerzego Andrzejewskiego do jednej z redakcji proszący o zwrot za wynagrodzeniem zamszowych rękawiczek pozostawionych w sklepie spółdzielni Przełom (dawniej Antoni Hawełka) zrobił na młodym Kijowskim takie wrażenie, jakby się dowiedział, że „książę X przez roztargnienie wrzucił swój sygnet rodowy do Wisły i wzywa ochotników do jej przeszkakowania”. Wyobrażał sobie, jak wyglądają owe rękawiczki, marzył, żeby je znaleźć i odnieść autorowi „Nocy” – „dumnie odmówić wynagrodzenia”. Kijowski opowiada, jak rosnące z czasem ambicje coraz bardziej przesłaniały mu rzeczywistość, jak tracił zdolność prawdziwego widzenia świata na rzecz „jakiegoś widzenia sztucznego”, które dawało poczucie wtajemniczenia. Cienia minoderii nie ma w jego wyznaniach. Czujemy ich konieczność. Już wtedy, w roku 1972, rachunek słabości dodawał Kijowskiemu sił.

ZBMENTZEL@WP.PL

PAWEŁ HUELLE

RYSUNKI DMITRIJ SZEWIONKOW-KISMIEŁOW

Castorp

W pierwszym tomie „Czarodziejskiej góry” Tomasza Manna, kiedy narrator opowiada o losach Hansa Castorpa przed jego wyjazdem do sanatorium, pada między innymi takie zdanie: „Kiedy puścił się w podróż, podczas której go poznaliśmy, miał rok dwudziesty trzeci. Miał już poza sobą cztery półroczna studiów na politechnice gdańskiej i cztery następne, które spędził w wyższych szkołach politechnicznych w Brunświku i Karlsruhe”.

Ta krótka, enigmatyczna informacja, stała się dla Pawła Huellego punktem wyjścia do literackiej spekulacji na temat nieistniejącego, a może zaginionego, rozdziału „Czarodziejskiej góry” o gdańskim epizodzie w biografii Mannowskiego bohatera

Zanim podjął tę podróż, która – co tu ukrywać – dla jego młodego serca była trochę jak wyzwanie do wielkich, acz nieokreślonych jeszcze, czynów, miał długą rozmowę z konsulem Tienapplem. Żywy i poczciwy staruszek nie mógł na sam początek zrozumieć prostej idei semestrów wschodnich, a kiedy Hans Castorp wyjaśnił mu ją w sposób nieco filozoficzny, stosując prostą zasadę analogii, wujaszek podniósł się z kanapy i przemierzając salon tam i z powrotem, wygłosił coś w rodzaju politycznego przemówienia. W sposób niezwykle ekspresyjny jak na jego flegmatyczną naturę przedstawił w paru zdaniach ogólny zarys dziejów świata, Europy, wreszcie Niemiec samych, w którym to schemacie dla Wschodu jako takiego noty najwyższe nie były w ogóle przewidziane.

– Te twoje porównania – powiedział, zatrzymując się nagle przy oknie – jakkolwiek przepełnione właściwym z punktu widzenia człowieka naszej sfery dystansem, są przecież nie na miejscu. Czasy, kiedy nasi przodkowie wyruszali do Tallina, Rygi, Królewca czy Gdańska, minęły bezpowrotnie. To prawda: nie założysz kantoru ani nie przywdziejesz rycerskiego płaszcza, bo chcesz budować statki. Ale jaką tam mogą mieć politechnikę? Na pewno marną, powiadam ci, mój drogi – marną, cóż to za szkoła, która istnieje ledwie od paru lat? A ponadto – tu konsul Tienappel niemal przywarł twarzą do szyby i z niezrozumiałych dla Castorpa powodów ściszył głos – należy unikać sytuacji, w których wypracowane z takim trudem formy mogą pograć się w chaosie.

Wszystko to razem było zdumiewające do tego stopnia, że nieprzywykły do takiej aktywności staruszek Castorp śledził jego ruchy i słowa z na wpół otwartymi ustami, co wyglądało tak, jakby przez cały ten czas brakowało mu z wrażenia tchu. Wreszcie, przełamując nieśmiałość, zwrócił się do konsula.

– Ależ, drogi wuju, przemawiasz do mnie, jakbym rzeczywiście wyruszał na wojnę lub co najmniej w odległe i niebezpieczne kraje, skąd powrót jest wprawdzie możliwy, ale niekoniecznie pewny. Sądzę, że tam, gdzie bez trudu dociera żelazna kolej i dokąd zawijają parowce naszych stałych linii żeglugowych, nie może być niebezpiecznie. Myślisz, że popełniam błąd?

– Sofistyka, mój drogi – konsul odwrócił twarz od szyby i spojrzał uważnie na Castorpa – tak typowa dla młodości, a także brak doświadczenia, wszystko to powoduje, że nie ma sensu, bym dalej tłumaczył ci moje racje. Oczywiście, nigdy nie zamierzałem i nie zamierzam wpływać na twoje decyzje. Tak, mój drogi, chciałem ci tylko ostrzec. Bynajmniej nie przed jakimś konkretnym niebezpieczeństwem, które czyha na człowieka w podróży zawsze i wszędzie. To jest jedynie, by tak rzec, rada duchowa, troska starego i życzliwego ci człowieka, abyś nie poplątał tej nici Ariadny, którą sam trzymasz w dłoniach.

Przy tych ostatnich słowach wujaszek na powrót odwrócił twarz do okna i wyglądało to tak, jak gdyby przed domem Tienapplów od strony rzeki i ogrodów wydarzyło się coś niezwykle, czemu



konsul – mimo niedokończonych przecież konwersacji z krewnym – musiał poświęcić natychmiastową i wyłączną uwagę. Ale, rzecz jasna, nic takiego na trawniku nie zaszło i Castorp zdumiony jeszcze mocniej niż przed chwilą zachowaniem wuja wstał z fotela, podszedł do okna i stając tuż obok konsula, powiedział, spoglądając na rozciągające się daleko miejskie plantacje róż:

– Kochany wuju, czy jesteś zdenerwowany? Gdybym kiedykolwiek przewidywał, że mój pomysł podróży na Wschód wpędzi cię w taką dystrakcję, że sprawi ci tyle kłopotu, może nawet zmieniłbym plany albo – tu młodzieniec uśmiechnął się pod nosem w charakterystyczny dla siebie sposób – ukryłbym przed tobą prawdziwy cel podróży. – Niestychane – konsul zabębnił palcami prawej dłoni po parapecie – zdumiewające, sam widzisz, do czego to wszystko prowadzi! W naszym domu nigdy nie musiałeś kłamać, tymczasem wystarczała sama idea tej podróży, sama myśl powzięta jeszcze bez konkretnych, a już w twojej głowie rodzą się rzeczy okropne, niegodne ani twojego nazwiska, ani tradycji całej naszej rodziny! Tu konsul Tienappel odwrócił się wreszcie od okna i spojrzał uważnie w twarz kuzyna. – Naprawdę mógłbyś mnie okłamać? Cóż to za wychowanie otrzymują dziś młodzi ludzie w gimnazjach?! Za moich czasów samo wyznanie takiej możliwości byłoby nie do przyjęcia, pojmujesz to?

Hans skłonił lekko głowę, co oznaczało w sposób naturalny przyjęcie uwag wuja ze spokojem i powagą. Ale mimo wszystko chciał odpowiedzieć konsulowi, że owszem, rozumie zupełnie inaczej ideę wschodnich semestrów, niż wuj był łaskaw to pojmować, chyba opacznie lub zgoła powierzchownie biorąc ironiczną deklarację krewnego. Pozostawał też czynnik finansowy, o którym nawet nie wspomnieli: studia na Wschodzie w zupełności nowej szkole były połowę tańsze dzięki dotacjom rządu, co dla Castorpa – który korzystał wprawdzie z gościnności domu Tienapplów bez ograniczeń, lecz rozporządzał skromną w istocie rentą kapitałową po swoim dziadku i ojcu – nie mogło nie mieć znaczenia. Lecz zamiast tych wyjaśnień Castorp powiedział tylko: – Nić Ariadny? Chaos? Zupełnie nie pojmuję, drogi wuju, jaki to może mieć związek z moim pobytem w Gdańsku. Przypuszczam, że na tamtejszych ulicach ludzie ubrani są podobnie do nas, w stocznicach budują nie gorsze niż tu okręty, popołudnia lubią spędzać w kawiarniach tak samo jak my, nie stronią od książek i koncertów, słowem, jeżeli mogę spytać wprost, dlaczego użyłeś sformułowań, które sugerują, że znajduję się w jakimś dziwnym i zgoła niebezpiecznym labiryncie? Białe plamy dawno już zniknęły z naszych map.

– Jesteś optymistą jak twój dziadek – konsul Tienappel rozchmurzył nagle czoło – a co do labiryntu i nici, którą każdy trzyma w dłoniach, miałem na myśli młodość, także twoją. Zważ, proszę, jak łatwo zboczyć z raz obranej drogi. Nic nieznaczące słowo, chwila słabości, moment zapomnienia, mogą obrócić wniwecz starania wielu lat. Na Wschodzie takie rzeczy zdarzają się po prostu częściej, choć racjonalnie nie da się tego uzasadnić. Pragnę, byś o tym wiedział i pamiętał, i życzę ci, mój drogi, tej samej stanowczości tam, co tutaj. Nasz dom będzie dla ciebie zawsze stał otworem, wiedz, że nie traktuję cię inaczej niż moich własnych synów.

Przy tym ostatnim zdaniu konsul Tienappel położył swoją dłoń na ramieniu kuzyna i pewnie dlatego zabrzmiało ono niczym biblijne błogosławieństwo. A przynajmniej takim być miało w inten-

cjach samego wuja, który natychmiast po jego wypowiedzeniu wyjął z kieszeni surduta wielką kraciastą chustkę i otarł nią oczy, pod którymi Hans Castorp nie dopatrzył się wszakże ani jednej łzy.

W następujących po sobie szybko dniach września, kiedy na Esplanadzie pojawiły się już dojrzałe kasztany, a nad dachami Giełdy i Domu Hanzy prawdziwie jesienne *cumulusy*, zajęty przygotowaniami do podróży Hans Castorp nie miał czasu wracać myślami do tej rozmowy, choć zdawał sobie doskonale sprawę, jak niezwykle stanowiła wyłom w domowych obyczajach konsula Tienappl. Korespondencja z panią Wybe, u której wynając zamierzał stancję, kompletowanie zapasu bielizny w najlepszych magazynach, uzupełnienie garderoby, z czym wiązały się dwukrotne nieraz w ciągu dnia wizyty u krawcy, czy wreszcie przeniesienie części swoich rachunków do wybranego z rozwągi i namysłem Banku Zbożowego w Gdańsku, a także sporządzenie listy niezbędnych przyborów toaletowych, których nie powinno mu zabraknąć w dalekim mieście – wszystko to zaprzętało Hansa Castorpa bez reszty. Miał także pewien dylemat, o którym powiedzieć możemy wyrozumiale, iż był młodzieńczy i w dużym stopniu związany z jego trzeźwą, acz nie pozbawioną sentymentu, uczuciowością. Jaką mianowicie drogą miał odbyć tę podróż? Przyszły budowniczy okrętów zrazu nie miał wątpliwości, że najbardziej stosowny byłby w tych okolicznościach statek, najlepiej handlowy, z kilkoma tylko kajutami przeznaczonymi dla pasażerów. Z drugiej jednak strony, gdy myślał o po-

łączeniach kolejowych i z uwagą studiował rozkłady jazdy, nie mógł nie oddać się pewnemu wspomnieniu, które niespodziewanie powracało do niego, pochylonego nad mapą, kilka kwadransów przed zaśnięciem w pokoju.

Ojciec i matka stali na oświetlonym rzeźbiście gazowymi lampami peronie berlińskiego dworca, przy którym czekał już pociąg do bałtyckiego kurortu. Dzień spędzony w stolicy pełen był słońca, dźwięków wojskowej orkiestry, bąbelków lemoniady, zgrzytu hotelowej windy i rozgwaru rozmów, jakie ojciec toczył z kilkoma poważnymi kupcami na tarasie kawiarni. Hans Castorp nigdy nie miał się dowiedzieć, czy jechali wówczas przez Berlin z powodu interesów hamburskiej firmy ojca, czy też dla zasięgnięcia konsultacji u światowej sławy lekarza, profesora Landaua, który zapisał matce jakieś egzotyczne krople. Drobnie wątpliwości blaskły jednak zawsze wobec siły wspomnienia tamtej podróży. Sypialny przedział oblany nikłym światłem elektrycznej lampki jak tajemniczy kufer przesunął się przez noc. To z niej wyłaniały się obrazy zapamiętane już na zawsze: okna śródmiejskich kamienic, w których sylwetki ludzkie przypominały wycięte z czarnego papieru figurki, puste perony prowincjonalnych stacji, samotne domki dróżników czy wreszcie welon porannej mgły przechodzący za każdym razem we wspomnieniu w oślepiającą biel piaszczystych wydm, pośród których spędził wówczas mały Castorp kilkanaście najszcześniejszych dni lata.

Wybór nie był więc łatwy: za podróżą statkiem przemawiało bliżej nieokreślone poczucie zawodowego obowiązku, kolej natomiast ofiarowała przyszłemu budowniczemu okrętów z góry określoną przyjemność zanurzenia się w czasie przeszłym dokonanym. Ostatecznie wybrał tę pierwszą możliwość i zaopatrzwszy się w bilet Północnoniemieckiego Towarzystwa Żeglugowego Lloyd'sa, dwudziestego ósmego września przekroczył trap „Merkurego”, który napędzany nowoczesną maszyną parową obrał kurs na Gdańsk, prując siwe fale morza z prędkością jedenastu węzłów.



Kiedy za rufą drobnicowca zniknęły ostatnie dźwigi hamburskiego portu, wsparty o reling pasażer Hans Castorp odczuł nieznany mu dotąd rodzaj wzruszenia. Po raz pierwszy opuszczał rodzinne miasto nie dla zimowej czy letniej kanikuły, ale po to, by zmienić bieg życia. Myślał o tym, patrząc, jak potężna siła obrotowej śruby wyrzuciła nieustannie spienioną, ciemną masę wody. Wzburzone kilwatery ciągnęły się za rufą „Merkurego” wiele dziesiątków metrów i wreszcie zniknęły gdzieś daleko, wchłonięte przez żywioł. Była w tej ruchliwości jakaś niepokojąca stałość, bezruch osiągnięty najwyższym napięciem zmiany; ostatecznie pół mili za statkiem woda wyglądała tak, jakby nie przeorały jej przed chwilą setki ton stali uformowane przez człowieka. Spostrzeżenie to, jakkolwiek oczywiste, zafrasowało Hansa Castorpa. Czyż nie podobnie mają się sprawy ludzkie? Nieustanny ruch zamiera nagle bez śladu w nieokreślonym punkcie horyzontu i to wszystko. Pastorzy mówią wprawdzie w takich chwilach o wieczności, filozofowie o pamięci, rodziny stawiają nagrobki i wspominają zmarłych, wszystko to jednak służy pragmatycznie żywym i nie zmienia postaci rzeczy; odchodzimy bez śladu, bezpowrotnie. Rozmyślając w ten sposób, młody podróżny wsparty o reling liniowego parowca odkrył nie bez pewnego zaskoczenia, że owa ciemna, pesymistyczna tonacja, która nigdy jeszcze nie zagrościła w jego duszy na dobre, teraz manifestuje swoją ugruntowaną tam obecność. Przypominało to muzyczny motyw w tonacji dur: nieznanego autorstwa, odbity echem nie wiadomo skąd, powracał jak fala. Przy tym wszystkim Castorp odkrył coś jeszcze: znajdował mianowicie pewien rodzaj przyjemności w tym, aby motywu tego od siebie nie oddalać; przeciwnie – wsłuchiwał się w niego z upodobaniem.

– Proszę założyć pelerynę! – tubalny głos spadł na młodego pasażera z łoskotem większym niż huk fali. – Tych małych kropelek nie widać ani nie czuć, ale za chwilę przemoczą pana do bielizny i zapalenie płuc gotowe. A my tutaj nie zajmujemy się leczeniem.

Zdumienie widoczne na twarzy Castorpa musiało być istotnie głębokie, skoro dziobatą twarz bosmana rozjaśnił przelotny uśmiech, z którym dodał rzeczowo: – Peleryna dla pasażerów są wydawane przy oficerskiej mesie, nie powiedziano panu o tym? No tak, nie mamy specjalnego oficera, żeby tu państwem się zajmował. Powiedziawszy to, marynarz obrócił się na pięcie i nie dając podróżnemu najmniejszej szansy na zdawkową choćby odpowiedź, ruszył na lewą burtę, przeskakując swobodnie liny zwinięte pod kabestanem. I chociaż Castorp nie obawiał się zapalenia płuc, mając na sobie kurtkę ze szkockiej wełny, musiał przyznać rację bosmanowi: wilgoć trwała z minuty na minutę i lepiej było w ogóle zejść z pokładu, niż doppytywać się o pelerynę. W ten sposób nasz podróżny przerwał swoje młodzieńcze rozważania, jak się to mówi – w samą porę – bo kiedy szedł już wąskimi schodkami do kajuty, na śródokręciu rozległ się mocny, donośny dźwięk dzwonu, który wzywał pasażerów na pierwszy wspólny posiłek.

Razem z Castorpem było ich czworo: pani de Venancourt podróżowała do Gdańska, gdzie jej mąż od dziesięciu już lat usiłował bezskutecznie odzyskać podmiejską posiadłość należną mu po francuskich przodkach. W Hamburgu, dokąd przybyła z Bordeaux liniowcem holenderskim, przesiadła się na „Merkurego”, zachęcona korzystną ceną biletu. Kiekiernix reprezentował belgijską spółkę drzewną, choć był Holendrem i nie omieszkiał tego faktu podkreślić na samym początku. Pastor Gropius natomiast, po dwudziestu latach spędzonych wśród najczarniejszych plemion Bantustanu, rok tułał się po Niemczech w poszukiwaniu parafii, aż wreszcie otrzymał propozycję w jednej ze wsi na wyżynie, skąd – jak zapewnił go listownie radca konsystorski Holle – w pogodne dni widać gotyckie wieże starożytnego Gdańska. Wszystkich niezwykle grzecznie, choć powściągliwie, przywitał kapitan „Merkurego” pan Mattias Hildebrandt, po czym oddał się do swoich obowiązków. Podano tłusty rosół z makaronem, solidną sztukę mięsa w chrzanowym sosie, kartofle,

brukselkę, zasmażoną marchewkę z groszkiem, kwaszoną kapustę. Pani de Venancourt popijała francuskie *vin de table*, które steward na jej wyraźne życzenie godzinę wcześniej ustawił w karcie na stole, aby nabrało odpowiedniej temperatury. Hans Castorp, podobnie jak pastor Gropius, zadowolony się niezbyt dobrym gatunkiem piwa. Tylko kupiec Kiekiernix przyszedł do stołu zaopatrzony we własny trunek. Była to wódka ryżowa sprowadzana z Chin, którą przedstawiciel spółki drzewnej nalewał sobie z zielonej butelki w pokazowych rozmiarów czarce i wychylał jednym haustem, po każdej porcji sumiennie przeżutego jadła. Wszyscy oprócz Hansa Castorpa mówili głośno, jak gdyby właśnie rozpoczęta podróż wywoływała w nich euforię, dzięki której ci zupełnie przypadkowi ludzie nagle stali się wesołą gromadką uczniów, uwolnioną na czas wycieczki – rzecz jasna w granicach określonych regulaminem – od surowej reguły szkolnych murów. Pani de Venancourt bez najmniejszego skrupowania nazywała pruskie sądownictwo bandą kapuścianych głabów. Kiekiernix informował zebranych, że miasto, do którego się udają, to zapyziała i prowincjonalna dziura, czego dowodem mógł być fakt, że nie ma tam teatru na poziomie. Pastor Gropius pomstował na jezuitów: ich misja doprowadziła do tego, że czarne owieczki nie tylko odrzuciły wyznanie ewangelicko-augsburskie, lecz w ogóle chrześcijaństwo, podpalając domy wszystkich białych, na czym oczywiście skorzystali obłudni Anglicy, zajmując bezprawnie cudze terytoria. Przez chwilę temat angielski zdecydowanie połączył tę trójkę we wspólnym froncie. Dla pani de Venancourt ideał dżentelmena był wymysłem wyspiarskiej megalomanii: spotkała wielu Anglików i żaden nie posiadał prawdziwie dobrych manier. Poza tym poeci angielscy stanowczo są przereklamowani. Kiekiernix wyliczał ich niewiarygodny faryzeizm i wiarołomstwa w handlu opium na wodach Azji. Gropius uważał, że anglikański kościół nigdy naprawdę się nie zreformował i prędzej czy później – choć brzmi to może fantastycznie – wróci na łono papieża. W tym momencie, zupełnie bez związku z konwersacją, Hans Castorp zakaszał, ponieważ mała chrząstka utknęła mu w przełyku.

– A pan – Kiekiernix przechylił się do niego nad stołem – właściwie co o tym wszystkim sądzi, młody człowieku?

– Cóż – odparł zagadnięty, upiwszy łyk piwa – właściwie to nic. Mówią państwo o tak różnych rzeczach, doprawdy, trudno je ogarnąć, a coż dopiero połączyć. Obawiam się zresztą, że oczekujecie w tej chwili bardziej potwierdzenia własnych tez niż głosu w dyskusji. Otóż nie znam się na handlu opium. Nie wiem, jakie są zasady anglikańskiego kościoła. Zaś co do dżentelmenów: mój ojciec, który miał rozległe stosunki handlowe z Anglią, twierdził, że jest w nich więcej ogłady niż u nas. Czy to państwa zadowala?

– A zatem jest pan po ich stronie – pani de Venancourt utknęła w Hansie Castorpie znaczące spojrzenie. – Czułam to od razu!

– Jeżeli jest pan katolikiem, przepraszam za mój, być może, rozgorączkowany ton. Co do jezuitów, nie mogę jednak zmienić zdania: to wilki w skórce baranków – wtrącił pastor Gropius. – Proszę mi wierzyć, *ergo* Anglicy to nic innego jak jezuici polityki i wszyscy się o tym niedługo przekonamy.

– Tak się składa – odparł spokojnie Castorp, patrząc na Gropiusa – że jestem tego samego co pan wyznania. Odpowiadając zaś na pani kwestię – zwrócił się do Francuzki – to wyznam, że współczesny człowiek korzystający z dobrodziejstwa postępu i nauki powinien być wolny od uprzedzeń. Cóż bardziej niesprawiedliwego niż przypisywanie sąsiadom wszystkich okropnych cech charakteru? Zapewne jest pani wiadomym, jakie rzeczy potrafią wygadywać o Francuzach moi rodacy, nie wspominając już Anglików.

– Mówi pan jak filozof – Kiekiernix przechylił czarce i otarł usta serwetą – więc dobrze, teoretycznie ma pan rację, ale w praktyce to się zupełnie nie sprawdza.

– Udaję się do Gdańska – Castorp nie dał się zbić z tropu – by studiować budowę okrętów. W dziedzinie ludzkiej myśli, technicznych

wynalazków, nie ma, bo być nie może, takich uprzedzeń, o jakich państwo mówi. Gdyby nie Watt i Stephenson, dziś pływalibyśmy nadal pod żaglami. Galileusz dokonał największych odkryć dzięki holenderskim optykom. Pasteur wynalazł swoją szczepionkę nie tylko dla Francuzów. A Malpighi? Loevenhook? Newton? Leibniz? Łomonosow? Niech państwo sobie tylko wyobrażą: odrzucać epokowe odkrycie albo wspaniały wynalazek tylko dlatego, że uczony, który go dokonał, pochodzi z nacji, jakiej nie lubimy. Czy to nie absurd? Dokąd zaszłaby ludzkość, gdyby stosować tę zasadę? To samo, o ile je rozumiem, tyczy się nieśmiertelnych dzieł sztuki. Czy kiedy słuchamy Mozarta, musimy pamiętać, że był Austriakiem? Sonata Scarlattiego jest piękna nie dlatego, że był Włochem.

Wyznajmy, drogi czytelniku, że była to pierwsza mowa Hansa Castorpa na forum publicznym, jeśli nie liczyć dawno już zapomnianego występu w gimnazjum, pod tytułem „Co zawdzięczamy starożytnym Grekom?”, za który otrzymał notę celującą. Teraz, przy oficerskim stole „Merkurego”, gdy wybrzmiały ostatnie słowa o sonacie Włocha, zapadła przejmująca cisza wypełniona jedynie równomiernym taktom parowej maszyny dobiegającym nieustannie z maszynowni. Steward podawał leguminę, kawę, herbatę i ciasteczka.

– Brawo! Doskonale! – schrypięty głos rozległ się za plecami rozmawiających. Wszyscy obrócili się w stronę drzwi. W przejściu do oficerskiej mesy stał pierwszy mechanik „Merkurego”, oficer inżynier Thomas Fiedler. Jego wyprostowana postać, jego siwa, z zegarmistrzowską precyzją przystrzyżona broda, jasne i prostolinijne spojrzenie błękitnych, nieco wyblakłych oczu, wreszcie aura munduru, który doskonale zdawał się podkreślać zalety jego charakteru, wszystko to uczyniło na zebranych nieodpartą wrażenie, że mają do czynienia z człowiekiem wyjątkowym.

– Państwo wybaczą – przedstawił się imieniem i nazwiskiem – ale przysłuchiwałem się ostatniej kwestii waszej konwersacji. Ten młody człowiek – wskazał ruchem głowy Castorpa – przynosi zaszczyt nie tyle sobie, co wszystkim, którzy kształtowali jego umysł i serce. Wprawdzie nie znam się na sztuce, ale wiedza, technika i postęp są to dziedziny, które dowodnie obrazują, jaką drogą winniśmy kroczyć, by godnie zasługiwać na miano *Homo sapiens*. A teraz miłe obowiązki – uśmiech pierwszego mechanika był niezwykle sympatyczny – po deserze zapraszam państwa na zwiedzanie naszego serca, to jest siłowni okrętowej.

Pani de Venancourt wymówiła się lekką migreną, która w huku i gorącym powietrzu dolnych pokładów mogłaby stać się niebezpiecznie ciężką. Kiekiernix widział już tyle razy maszynownię, że wolał zostać przy kawie i cygarze. Pastor Gropius natomiast, jakkolwiek doceniał trud wszystkich ludzi ciężkiej pracy – co podkreślił głębokim ukłonem głowy w kierunku Thomasa Fiedlera – nigdy nie mieszał spraw duchowych, które mu były przeznaczone, z materialnymi aspektami ludzkich działań, ergo odmówił najuprzejmiej. Tak więc Hans Castorp, obmywszy palce w miseczce z wodą podanej przez stewarda, podziękował współpodróżnym za posiłek i zstąpił z pierwszym mechanikiem do trzewi statku.

Pouczająca to była eskapada pod każdym względem. Wychowany w żywiole portowego miasta bohater nasz nie stronił od wizyt na frachtowcach, które od czasu jego dzieciństwa zdążyły przejść metamorfozę od żagli po maszyny. Widział co prawda niejedną już siłownię, znał ich

budowę, słuchał wyczerpujących informacji, ale ujrzyć potężne mimośrodowe tłoków, które wielkimi łapskami obracały równomiernie korbowy wał, zobaczyć ciśnieniowe kotły z manometrami drżącymi od napięcia, słyszeć ten nieustanny szum i łoskot siły ujętej w karby przez człowieka, słowem – być w środku tego serca na pełnym morzu, przy nieustannej pracy wszystkich mechanizmów – było to doświadczenie nowe, zdecydowanie głębsze od obserwacji podobnych konstrukcji w stanie spoczynku. Inżynier Thomas Fiedler okazał się rzeczowym przewodnikiem. Spraw oczywistych nie tłumaczył. Choć miał w pamięci wszystkie dane, nie zasypywał gościa kaskadą cyfr. Tam, gdzie uznawał za stosowne, wstrzymywał krok, by wypowiedzieć kilka uwag, zwłaszcza pod kątem przyszłych zadań, jakie w czas praktyk mogą być postawione przed studentem. Umiał też zajmująco mówić o badaniach, tych, które w zakładach naukowych rozwiązują wiele koniecznych i praktycznych kwestii. Kiekiernix pierwszy mechanik „Merkurego” dzielił się z Castorpem problemem wytrzymałości materiału czy też zagadnieniem zmniejszania strat energii, znać było, że ma duszę naukowca. Ale nie tylko tym ujął przyszłego inżyniera. W kotłowni, gdzie zaszli już na koniec, wskazał mu dwóch łączy śpiących właśnie węgiel w paszczę pieca. Ich praca, okrutnie ciężka i niewdzięczna, zasługiwała na zdanie mechanika nie tylko na szacunek, lecz także uwagę. Każdego ruchu szufli, półobrótu ciała, przesunięcia punktu ciężkości z nogi na nogę, wszystko to było doskonale wywiedzione z praw fizyki, tak aby zbędne ruchy wydatkujące niepotrzebnie energię ograniczyć niemal do zera. A przecież ludzie ci, prości, bez wykształcenia, nie stosowali obliczeń i teorii. I pewnie byłoby żdziwieniem, gdyby im oznajmić, że ich sprawność, to znaczy stosunek energii wydatkowanej do uzyskanej, jest znacznie wyższa niż oczekujących mechanizmów.

– Wiedział już o tym Leonardo – kończył swój wywód inżynier Thomas Fiedler na schodkach, którymi wspinali się ku górnemu pokładowi – wiedział, że ludzkie ciało to najdoskonalszy i najbardziej skomplikowany mechanizm, jakiego sam człowiek nigdy nie będzie w stanie stworzyć. Dlatego chciałem w młodości studiować medycynę. Ale wie pan, co mi wówczas powiedział mój ojciec? Trupów krajać nie będziesz – stali już na pokładzie, z przyjemnością wdychając świeże powietrze – ha, ha, trupów krajać nie będziesz – powtórzył pierwszy mechanik „Merkurego” i spojrzał uważnie na Castorpa. – Mam nadzieję, że pański ojciec pochwała pana wybór, nie mówiąc o postawie, chyba się nie mylę, prawda? – Mój ojciec zmarł dość dawno. Nie umiem sobie wyobrazić, co mógłby sądzić o tej konkretnej sytuacji. Był kupcem – Hans Castorp zawahał się przez moment, czy mówić dalej – w ostatnich latach życia raczej nie lubił swoich obowiązków. – Rozumiem – mechanik uciął krótko – tym bardziej godne szacunku jest pana dążenie. Na pewno osiągnie pan zamierzone cele. Tymczasem ja mam wachtę, więc do widzenia – podał młodzieńcowi dłoń i uściśnął ją serdecznie. – I niech pan nie da się zbici z tropu takim ludziom jak pańscy współpodróżni. Na lądzie jest ich całe mnóstwo, proszę uważać.

Hans nie odpowiedział już mechanikowi, który zniknął w drzwiach nadbudówki. Inżynier oficer Thomas Fiedler wywarł na nim głębokie wrażenie i nawet po kilku latach, gdy Castorp kończył swoje studia, wspominał jego postać i słowa. Ale nie uprzedzajmy faktów, czytelniku ma prawo dowiedzieć się paru szczegółów o kolacji, jaka nieuchronnie czekała jeszcze tego wieczoru naszego podróżnika.



Kiekiernix ledwie trzymał się na nogach. Czerwony na twarzy wkroczył do mesy spóźniony i usiłując zająć swoje miejsce, omal nie wyrznął głową w stół, gdy parowiec wspiął się niespodzianie na grzbiet fali, po czym opadał długo i statecznie jak lotka wolanta. Pani de Venancourt była oburzona na Północnoniemieckie Towarzystwo Żeglugowe Lloydsa. Jak mogło zatrudniać stewardów, którzy nie tylko, że nie mówią, lecz nie pojmują nawet słowa po francusku! Pastor Gropius natomiast, cichy i spokojny, nakłaniał współbiedniaków, aby przed jedzeniem zechcieli odmówić modlitwę, albowiem dziękczynienie za dary boże jest jednym z najpiękniejszych aktów, do jakich powołany jest człowiek. W końcu, kiedy nie znalazł chętnych, odmówił modlitwę sam i zabrał się do pałaszowania szynclii z sałatą po tokańsku. Castorp milczał, ledwie podnosząc wzrok znad talerza. Nawet niewprawny obserwator zauważyłby, że ten pasażer, obecny myślami gdzie indziej, ma tylko jedno pragnienie: jak najprędzej zaspokoić głód i udać się do swojej kajuty, gdzie czeka już na niego zasłana koja. Całkowicie wbrew swoim obyczajom jadł szybko i chaotycznie, nałożywszy na talerz bez żadnego porządku szynclę, sałatę, zasmażaną kapustę i kilka oliwek, które na skutek kołysania statku kulały się tam i z powrotem po obrzeżach fajansowego naczynia. Kończył już prawie posiłek, gdy Kiekiernix, który nie tknął jedzenia, racząc się za to co i raz chińską wódką, powiedział, wycelowując weń wskazujący palec:

– Bardzo pięknie, młody człowieku. Oto zamierzasz studiować i udzielasz nam rad! A czy zastanowiłeś się kiedy nad źródłem obecnego bogactwa narodów? Anglia! Holandia! Francja! Jak to dostojnie brzmi. No i ten twój ogromny kraj! Czy pomyślałeś kiedy, ile z tych nieprzebranych dóbr pochodzi z rzetelnej pracy rolnika, rzemieślnika, robotnika, kupca? Milczysz? Więc powiem ci, mój drogi. Kiedy skończysz tę swoją szkołę, zatrudnij się w kolonialnej spółce. I jedź tam zobaczyć piekło. Ale to nie my siedzimy w kotłach, nie. My odgrywamy rolę diabłów. Batem, głodem, karabinem, opium i wódką, a potem strachem lub paciorkiem rządzymy milionami niewolników. Pracują dla nas, bo jakie mają wyjście?! Tacy jak on – Kiekiernix wskazał na pastora – biorą pieniądze za to, żeby tym nieszczęśnikom wytłumaczyć, że tak chce dobry Bóg. Ale Bóg nie jest dobry dla wszystkich jednakowo!

– Jest pan pijany – stwierdziła sucho pani de Venancourt. – Wywoływanie awantur na statku, o ile mi wiadomo, jest surowo zabronione przez regulamin. Proszę iść spać, a jutro przeprosi pan naszego młodego inżyniera i pastora! Bez tego proszę nie zjawiać się przy stole.

Ale pastor Gropius nie potrzebował obrońcy. Odstawił szklanke z piwem i rzekł: – Te popularne sądy, jakie przytacza pan Kiekiernix, są znane już od lat. Spotkałem kiedyś pewnego socjalistę, mówił to samo, tyle że uprzejmiej. Nie ma się czym przejmować, proszę państwa. Niesiemy tym biednym ludom religię, cywilizację, oświatę i kulturę. Bez nas tonęliby w mrokach barbarzyństwa. Pan Kiekiernix zdaje się zapominać, kim jest i co reprezentuje, lub raczej – co winien reprezentować. Nieprawdaż, panie Castorp? – zwrócił się do zamyślnego Hansa, a kiedy ten nie odpowiedział, ciągnął niestrudzenie dalej. – Kolonizacja jest zjawiskiem tak starym jak ludzkość, proszę państwa. Grecy, Rzymianie, to są powszechnie znane fakty. Weźmy jednak za przykład nasz niemiecki naród. Spóźniliśmy się w Azji i Afryce, prawda. Ale na wschodzie Europy? Od setek lat niesiemy prawo, ład, harmonię sztuki i technikę. Gdyby nie my, Słowianie dawno popadliby w anarchię. To dzięki naszym dobrodziejstwom znajdując swoje miejsce w rodzinie, której na imię cywilizacja i kultura.

Podczas tyrady pastora Kiekiernix – zdawało się – przysnął odrobinię. Ale gdy tylko ostatnie słowo Gropiusa wybrzmiało w mesie, wybuchnął sardonicznym śmiechem.

– Skoro bierze pana na świadka – przechylił się w stronę Castorpa – niech pan zapyta w Gdańsku pierwszego lepszego Polaka, co sądzi o tej sprawie. Z góry mogę powiedzieć, co pan usłyszysz.

Dobrodziejstwa – Kiekiernix ryknął na całe gardło i huknął pięścią w stół – to pięknie powiedziane!

– Straszne – pani de Venancourt zwróciła się do pastora – pan Kiekiernix ma chorą wyobraźnię! Nie mogę tego więcej słuchać. Dla czego Północnoniemieckie Linie Żeglugowe Lloydsa wpuszczają takich ludzi na pokład swoich statków? Pytanie to pani de Venancourt zadała, wycierając chusteczką oczy. Następnie uniosła się z krzesła, wysunęła swoje ramię ku Gropiusowi i powiedziała: – Kategorycznie proszę mnie stąd natychmiast wyprowadzić. Nie bez poczucia należytego dystansu, ale też z opiekuńczą skwapliwością, pastor Gropius podał pani de Venancourt ramię, po czym *ad hoc* stworzona para opuściła mesę, nie mówiąc nawet dobranoc. Hans Castorp odsunął od siebie talerz, na którym niedojedzony kotlet i resztki sałaty tworzyły smutną kompozycję martwej natury.

– Panie Kiekiernix – powiedział cicho – czy może pan wyjaśnić, dlaczego w swoim wywodzie wspominał pan Polaków?

Ale przedstawiciel belgijskiej spółki drzewnej i autor całego zamieszania w jednej osobie drzeżał na dobre z głową opadającą na piersi. Hans Castorp wstał od stołu i z poczuciem niejasnej winy ruszył wąskim korytarzykiem do swojej kajuty. Ponieważ „Merkury” coraz mocniej kołysał się na falach, droga na spoczynek nie była wcale łatwa.

PAWEŁ HUELLE

Powyższy tekst jest początkowym fragmentem noweli, która ukaże się nakładem wydawnictwa słowo/obraz terytoria w drugiej połowie roku.

Wydawnictwo Czarne
38-307 Sękowa, Wołówiec 11
tel. 018 351 00 70, 0502 318 711
fax 018 353 63 60
www.czarne.com.pl
e-mail: info@czarne.com.pl

Jurij Andruchowycz
OSTATNIE TERYTORIUM
wydawnictwo  czarne

PRZE KROJ

 wp.pl
książki.wp.pl

Zapraszamy do stoiska 129 sektor A
na Międzynarodowych Targach Książki
w Warszawie, PKiN 15–19.05.2002



Zestaw niezbędnych wyrazów
i zwrotów w różnych językach świata

Jak określić kontrolera biletów w środkach komunikacji miejskiej?



RYŚ. PIOTR MŁODOŻENIECZAK

- w Polsce: **KANAR**
- w Wielkiej Brytanii: **CHOPPER** (dosłownie: penis, helikopter, motocykl, tasak)
- we Włoszech: **CAPO** (szef) lub **IL CONTROLORE** (bardzo oficjalnie), lub **LO STRONZO** (bardzo brzydko)
- w Hiszpanii: **AGENT** (dosłownie: agent)
- w Portugalii i Brazylii: **O PICA** („dziurawnik”, słowo pochodzi od czasownika *picar* – dziurawić; uwaga – to samo słowo w rodzaju żeńskim, czyli *a pica*, oznacza... penisa)
- w całych Niemczech: **FAHRSCHEINKONTROLLEUR** kontroler biletów (funkcjonariusz cieszy się szacunkiem – wprowadza porządek), w Monachium **SCHWARZESHERIF** (czarnokurtkowcy)
- w Austrii: **SCHWARZKAPPLER** (od *schwarze Kappe* – czarna czapka, którą noszą kontrolerzy)
- w Iranie: nie ma „dochodzącego” kontrolera biletowego jak w Europie, ale o kimś, kto przydybął człowieka na gorącym uczynku, można powiedzieć: **MESL-E ADŻAL-E MO’ALLAQ RESID** (przybył jak nagła śmierć)
- we Francji i Holandii: **CONTROLEUR**
- w Finlandii: **TARKASTAJA** lub **VALVOJA** (kontroler – bez negatywnego zabarwienia)

teraz szczęście

O tajemnym przejściu

– Poszczęściło mi się i już. Dlaczegoż pan chce, żeby inny nie miał tego szczęścia, które ja miałem, znajdując to przejście. Może ktoś je jeszcze kiedyś odkryje – tak mówił prosty kanalarz Griffith do lorda, gubernatora Banku Angielskiego, kiedy udowodnił, że może się dostać tajemnym przejściem do skarbcza banku.

Z trudem doprowadził do audiencji u lorda. Założył się z nim, że dostanie się do skarbcza. Jako prawdziwy ekspert, jako strażnik kolektora obsługującego City, wiedział wszystko o labiryncie podziemnym, o którym na powierzchni nikt nawet nie myśli. W dodatku udało mu się to, co jest marzeniem dużej części ludzkości. Znalazł absolutnie nikomu nieznane tajemne przejście między pogardzanym światem kanałów i budzącym respekt i pożądanie bankowym centrum świata.

Działo się to wszystko na początku wieku XX, a opowiedział to w „Kanalarzu z Londynu” wspaniały pisarz, opowiadacz i kapitalny błagier Blaise Cendrars.

Oczywiście lord usiłował wymusić na kanalarzu udostępnienie mu tej drogi. Nic z tego. Kanalarz zachował tajemnicę i przyjął tylko stałą rentę, a ponadto obiecał oddać się za granicę. Dlatego poznajemy go jako żołnierza I wojny światowej? Nawet w malignie nie zdradził swojej tajemnicy, chociaż opowiedział o tamtym wydarzeniu swemu kapralowi.

Któż by nie chciał znaleźć tajemnego przejścia prowadzącego z więzienia codziennej rzeczywistości do niepoznawalnego świata marzeń. Ludzkość nigdy nie porzuca tego wątku. Chociaż nadaje mu niezliczoną liczbę kształtów.

Ale żeby tak z marszu dostać się tajemnie do skarbcza Banku Angielskiego – to dopiero coś!

Małgorzata Baranowska

daje słowo

Dość

Dość rzadkie są wyrazy, które są tak rozdwojone znaczeniowo.

Pierwsze „**dość**” jest pewne i mocne.

Mówię „**dość**”, gdy myślę, że wystarczy. Że więcej nie trzeba. Że mam **dość** czasu, miejsca, pieniędzy, sławy i miłości. Mam **dość** i więcej nie potrzebuję. Jak jest **dość**, to jest tyle, ile trzeba. Wystarczy. No już, **dość**, wystarczy. Wystarczy, powiedziałem. **Dość! Dość!!**

I za dużo...

A czasem mi nie **dość**. Mogę mieć wszystko: nie **dość**, że mam zdrowie, to jeszcze mam szczęście i pomyślność. I myślicie, że mi **dość**?

Dość, żeby się coś na horyzoncie pojawiło, już tego chcę. Nie **dość** na tym: żądam. W każdym razie – oczekuję.



RYŚ. MAREK SOBCHYZAK

A drugie „**dość**” jest małe, skromne i unika przesady.

Bo może mi wystarczać, że mi się **dość** dobrze powodzi. Stosunkowo dobrze. Nie żeby zaraz, ale jakoś. Że zwykle czuję się **dość** dobrze, nie mogę narzekać. W pewnym stopniu. Że mam **dość** ciekawe życie.

To drugie „**dość**” jest sympatyczne. Skromne. Unika przesady. Ale nie używam go w pochwałach. **Dość** elegancka kobieta, **dość** sprawny artysta, **dość** miły gość tego nie lubią.

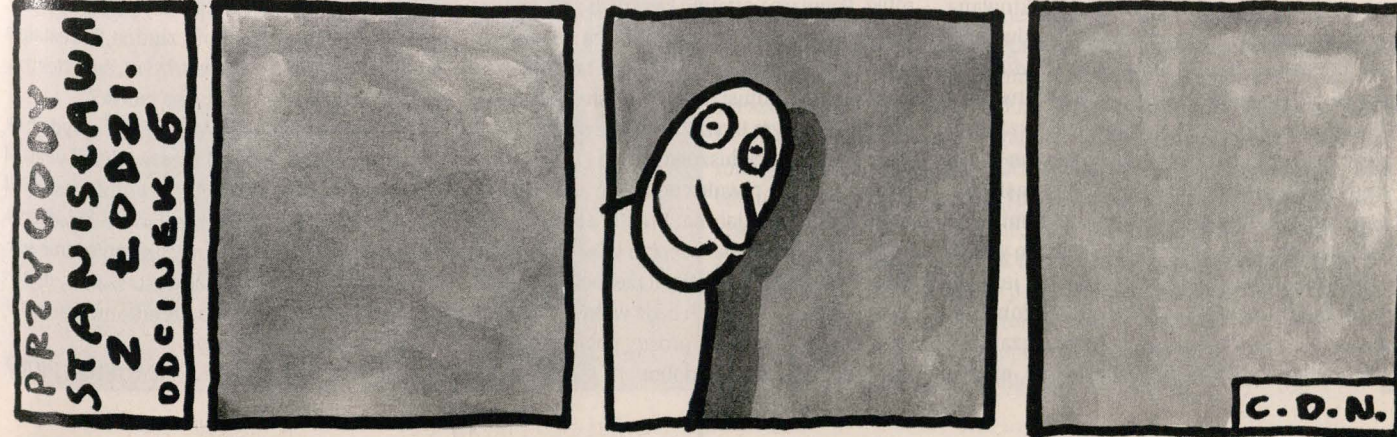
Jednego „**dość**” mi nie **dość**. Mam więc jeszcze „**dosyc**”. Są **dość** podobne. Nie różnią się prawie wcale znaczeniem. A właściwie: wcale.

Jerzy Bralczyk

HECA

Ten typ to prototyp.
Wesoła minka, bo chlapaną drinka.
Ten to namolny niczym naftalina.
Melancholia cię zię, a smutek wypłuje.
Alkohol to zguba ludzkości, ale nie gości.
Aż strach pomyśleć, więc nie myślę.
Homo homini kawał świni.
I kominarza można oczernić.

HECA

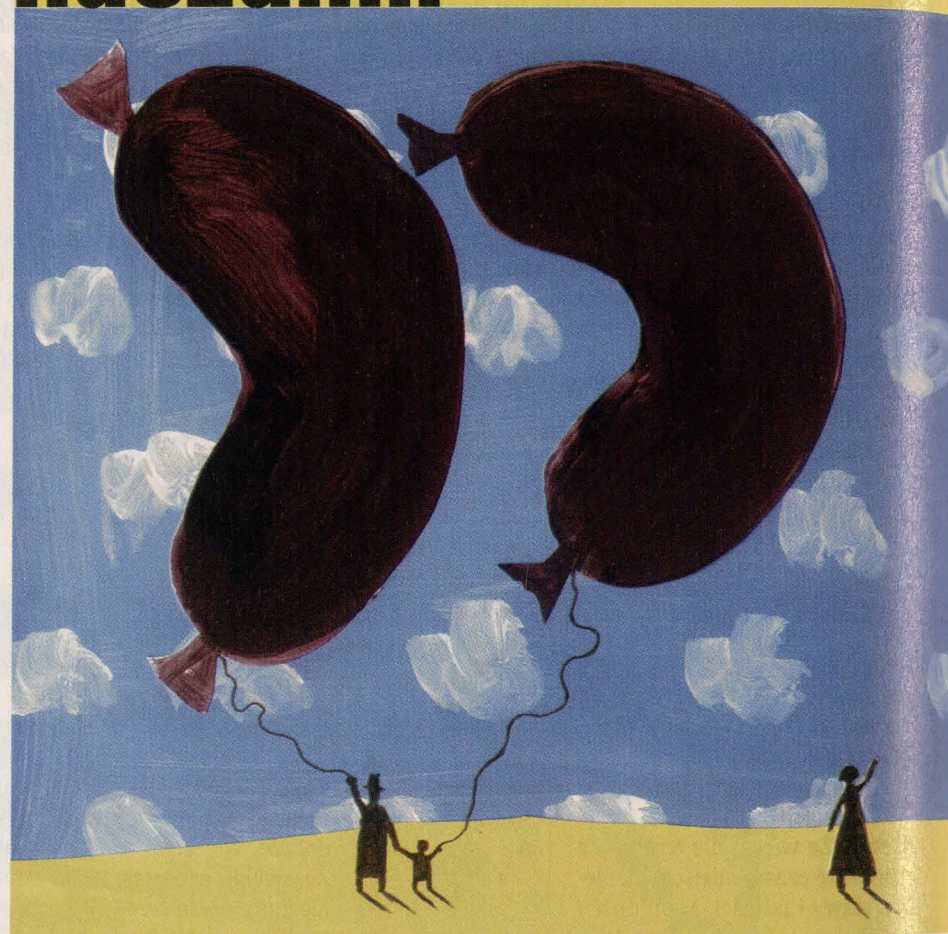


W stronę kaszanki

Gdyby Marcel Proust znał polską kaszankę, być może to ona, a nie sławna magdalenka, przeszłaby do historii europejskiej kultury

Kiedy w roku 1990 przyjechałem po dłuższej nieobecności do Warszawy, moją uwagę zwróciły napisy na murach, z których dwa pamiętam do dziś. Na Rakowieckiej ktoś napisał „Everybody kombinerki”, zaś na Marszałkowskiej, pomiędzy Świętokrzyską i Królewską, „Kaszana forever”. Zastanowił mnie zwłaszcza ten drugi napis, ponieważ kaszanka nie dość, że była pierwszą potrawą, jaką nauczyłem się przyrządzać, to jeszcze jedną z moich ulubionych. Tymczasem stała się synonimem bryndzy bądź pasztetu. To fakt, że niejeden przysmak jest – obiektywnie rzecz biorąc – strasznym świństwem. Lecz poczułem się trochę pokrzywdzony tym obrotem polskiej idiomatyki. Wiele kiedy Sebastian – ten z firmy Kminek, Żyto, Karkówka i wspólnicy – oznajmił, że znalazł w podwarszawskiej Magdalence najlepszą kaszankę na świecie, uradowałem się wielce. Nie tylko dlatego, że wiele sobie po niej obiecywałem, lecz również z tej przyczyny, iż prawie każda europejska kuchnia narodowa ma swój sposób na kaszankę, i choć wszystkie z nich moim zdaniem ustępują polskiemu, to w ostatnich latach nie udało mi się trafić w Warszawie ani innych miastach na kaszankę naprawdę dobrze zrobioną. Trwoniłem więc czas podczas pobytów za granicą, jedząc to, co powinienem dostawać w najlepszym wydaniu właśnie w kraju.

Kaszanka w innych krajach nie jest utożsamiana z czymś podrzędnym ani traktowana protekcyjnie przez smakoszy. Porównując wszak zagraniczne receptury na *boudin noir* czy *black pudding* z rodzimymi, łatwo dostrzec, dlaczego tamtejsze wyroby muszą z konieczności ustępować naszym. Escoffier w „Le guide culinaire” podaje przepis na kaszankę z sadła, gęstej śmietany, jaj, cebuli, tymianku, liścia laurowego i, oczywiście, krwi. To wersja francuska – do angielskiej dodaje się jeszcze ryżu. Bardzo ładnie, ale bez sensu. Inne odmiany kaszanki również nie zdają egzaminu – wszystko jest zbyt drobno zmielone, nie ma



kontrastu w konsystencji poszczególnych składników. Tymczasem Wincenta Zawadzka, autorka „Kucharki litewskiej”, poleca kiskę czarną zrobioną z sadła, mleka, pieprzu angielskiego i prostego, gałki muszkatołowej, krwi i – krup gryczanych. I w krupach gryczanych tkwi sekret kaszanki, czy to znad Niemna, czy znad Wisły. Krupom zawdzięczamy chrupką powierzchnię plastrów smażonej na patelni kaszanki.

Dlatego gruba kaszanka jest najlepsza – cienka często się rozpada przy takim sposobie obróbki. Popularna ostatnio kaszanka z rusztu jest nieporozumieniem – jeśli cokolwiek się przypiecze na chrupko, to flak, którego i tak lepiej nie jeść. Kaszanka musi mieć bezpośredni kontakt ze skwierczącym tłuszczem, a nie płomieniem. Dobra jest do niej duszona cebula i ostra musztarda, można ją również podawać z podsmażonymi kawałkami jabłka. Proste, elementarne i powszechnie znane – czemu więc tak trudno to dostać? Kulinarny pietyzm nie może być ograniczony do dań trudnych bądź wykwinnych, bo wówczas to, co dobre i proste, pozostanie proste, lecz nie będzie już dobre.

TADEUSZ PIÓRO

Talia jedzie?

Co jest ważne w modzie? Myślę tu o nowej modzie, czyli wiecie, idzie nowy sezon, będą zmiany i na co zwracamy uwagę? Większość ludzi pyta mnie niezmiennie o długości. A ja od wielu sezonów mam tę samą odpowiedź: różne. Bo modne są właściwie wszystkie długości, od do kostek do supermini, i z tym jest prawdziwy kłopot, bo trzeba się samemu decydować. Lansuje się tę długość: kolano ledwo przykryte, bo jest nowsza niż mini czy długa, ale już też nie jest nowa, już też się przyjęła, czyli przyzwyczailiśmy się do niej. Nic nas nie dziwi w dziedzinie długości, ani zupełnie odsłonięte nogi, ani mamy dorosłych córek z odsłoniętymi kolanami. A mnie trochę dziwi, że nikogo nie dziwi, iż kobiety z trudem wywalczywszy pewne prawa i wyzwolewszy się z pęt długich spódnic (i gorsetów), noszą teraz chętnie długie spódnice (i gorsety). Otóż długość jest bardzo ważna, bo jest jednym z trzech elementów, które określają sylwetkę, a są to: ramiona, talia, długość. I tak jak są różne modne długości, tak mamy różne ramiona. Teraz równocześnie pokazujemy ramiona ostre w górę jak dach pagody, ramiona kwadratowe poszerzane poduszkami, ramiona bez poduszek, ramiona wręcz wąskie, wąskie z małą bufką, wąskie ramiona z główką, małe kimono, ramiona zaokrąglone i ramiona zupełnie opadające.



teraz mamy problemy z talią. Bo talia może być albo w pasie, albo podniesiona, albo opuszczona. Kiedy mamy tak modne teraz spodnie czy spódnice na obniżonej talii, to z jednej strony jest talia zaznaczona niżej, z drugiej widać odsłoniętą talię – czyli w miejscu. Do tego modne są rzeczy dość obcisłe, czyli pokazujące wcięcie w pasie: żakiety, gorsety, sukienki. Ale i migają bluzki czy sukienki trochę infantylne czy w tym modnym stylu folk z wyraźnie zaznaczoną talią podniesioną. A do tego pokazuje się masy rzeczy z talią wyraźnie obniżoną, co zaznacza się krojem, a najczęściej paskiem. Szeroki pas na wysokich biodrach albo wąski pasek, najlepiej przewiązany dwa razy. Zjawiała się zupełnie nowa sylwetka, jakby przeciwieństwo tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni: zupełnie szeroka, wręcz zbluzowana, góra sięgająca aż do bioder, tu zwykle szeroki pas i mały dół, na przykład prosta mini. Taka luźna sukienka czy bluzka miała szerokie rękawy i jeśli ma duży łódkowy dekol, zwykle bywa kokieteryjnie spuszczone z jednego ramienia. To jest znany fason prostego szerokiego swetra z łódką u góry. Oczywiście są przeróżne warianty, ale na to lato ukazało się całkiem sporo sukienek, bluzek luźnych, z wyraźnie zaznaczoną obniżoną talią. Modne, a nie przyjmuje się. Może kiedyś, na razie nie bardzo. Jeszcze nie chcemy oderwać się od rzeczy choć trochę dopasowanych. Już zakładamy paski w spodniach czy spódnicach na biodra. Talia na biodrach przy szerokiej górze to zasadnicza zmiana sylwetki i przy obecnym wachlarzu propozycji i koncepcji, że nie powiem: chaos w modzie, może stać się kolejną możliwością.



GILLES ROSE, FOT. RAPAL STRZUCHOWSKI/FREE

PIĄTKA KLEPKA

Dzisiaj zajmiemy się odpowiedziami na trudne pytania. Niejednokrotnie się zdarza, że ktoś zadaje nam kłopotliwe pytanie, tym trudniejsze, że nie znamy intencji pytającego. Aby ułatwić wszystkim życie, podajemy specjalnie opracowane odpowiedzi na sześć najbardziej kłopotliwych pytań:

1. P: Jesteś za Unią?

O: Unia ey ansu ao wielkie adgrozenie dla Polski.

Odpowiedź powyższa może zostać zinterpretowana na dwa następujące sposoby:

- Unia jest szansą na wielkie odrodzenie dla Polski.
- Unia tych Hansów to wielkie zagrożenie dla Polski.

2. P: Jesteś za Legią?

O: Lejae lejae.

Ta odpowiedź może być interpretowana na dwa sposoby:

- Leję na Legię.
- Legia Legia!

3. P: Dobry ten makaronik?

O: Oggotowane bpria ak fyfoalii.

Dzięki tej odpowiedzi możemy spokojnie powiedzieć prawdę:

- Rozgotowana breja, smak cynfolii, a żona, matka, ciotka, względnie kelner usłyszy: - Ugotowany prima, jak w Italii.

4. P: Na ile lat wyglądam?

O: Hahaheasćiaę.

W tym przypadku niezwykle ważne jest prawidłowe wymówienie końcówki, tak, aby stanowiła coś dokładnie pośredniego między -dziesiąt a -naście.

5. P: Kogo bardziej kochasz, tatusia czy mamusię?

O: Ausiae.

6. P: Po co żyje człowiek?

O: Istnienie człowieka oe yey bnędhy, wau wunkiey aeśczyuaej oppoeunlacji eebb'li.

Odpowiedź zostanie zinterpretowana tak:

- Istnienie człowieka to szczyt nędzy, włącz w bunkier i strzelaj do populacji debili.

Albo tak:

- Istnienie człowieka jest niezbędnym warunkiem właściwej pielęgnacji mebli.

TOMASZ PIĄTEK

Obraz wyrażen

Odpowiedź: Obchodząc się jak z jajkiem

m y ś l i

Przyzwyczajasz się do czegoś, sądzimy, że to się nam słuszenie należy.

Przyzwyczajanie sprawia pozory sprawiedliwości.

Postęp nie ma większego wroga niż przyzwyczajenie.

Jose Marti

Dla podróżnika najcenniejszym bagażem jest pusta sakiewka.

angielskie

Wyobraźnia - magazyn faktów z poetą i kłamcą jako współwłaścicielem.

Ambrose Bierce

O, ludzka raso, zrodzona na to, by wznieść się na skrzydłach, czemu upadasz przy tak małym wietrze?

Dante

Gorsze jeszcze od ulatwionego życia jest - ulatwione myślenie.

Karol Irzykowski

Zapamiętaj, gdzie kopales dolki, może je wykorzystasz.

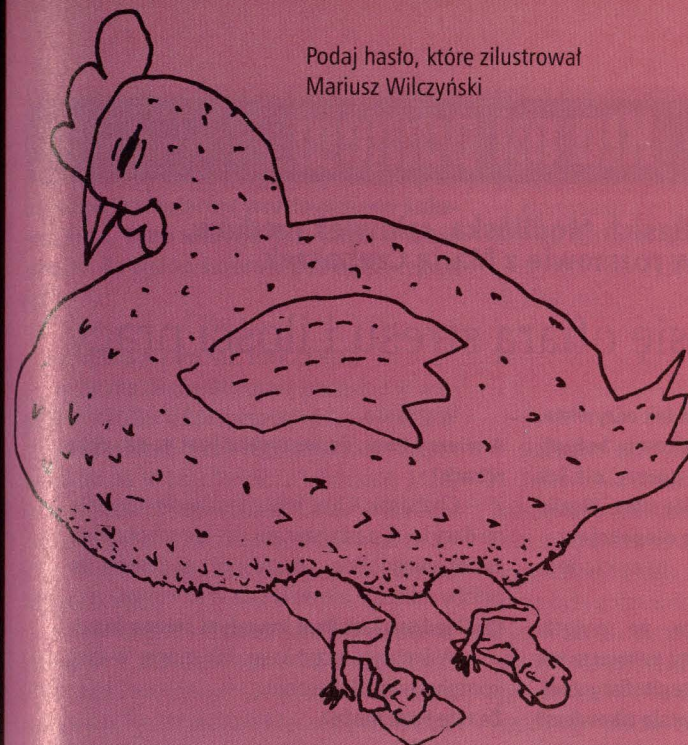
Sławian Trocki

Czy naród może żyć miłością do władzy?

Marek Niegodajew

Myśli zebrana Stella Warcaby

Podaj hasło, które zilustrował
Mariusz Wilczyński



nie ma głupich pytań

Nie matura

Beata Kęczkowska (z Warszawy) pyta Stefanię Grodzieńską

W jednej ze swoich książek przyznała się Pani do tego, że nie ma matury. Mija kolejny maj, inni matury robią, a Pani? Czy nie przyszło Pani do głowy, by zdać egzamin dojrzałości eksternistycznie?

- Mogłabym odpowiedzieć bardzo krótko, mottem z własnej książki:

„Nie matura, lecz chęć szczerza

Zrobi ciębie Shakespeare'a”.

Maj z kasztanami to dla mnie wspaniały okres: rocznica niezdawania matury. Nigdy w życiu bym jej nie zdała. Jedyna nauczycielka, która we mnie wierzyła - polonistka - przepychała mnie z klasy do klasy, ale po wzięciu mnie do klasy maturalnej oświadczyła, że dalej już nie będzie mogła mi pomóc.

Na szczęście tuż przed terminem matury wyrzucono mnie ze szkoły. Babcia, u której się wychowywałam, straszliwie rozpaczła: „I kim ty zostaniesz w życiu?! Będziesz krowy pasać? Kamienie na szosie twoje? Nic z ciebie nie będzie!”.

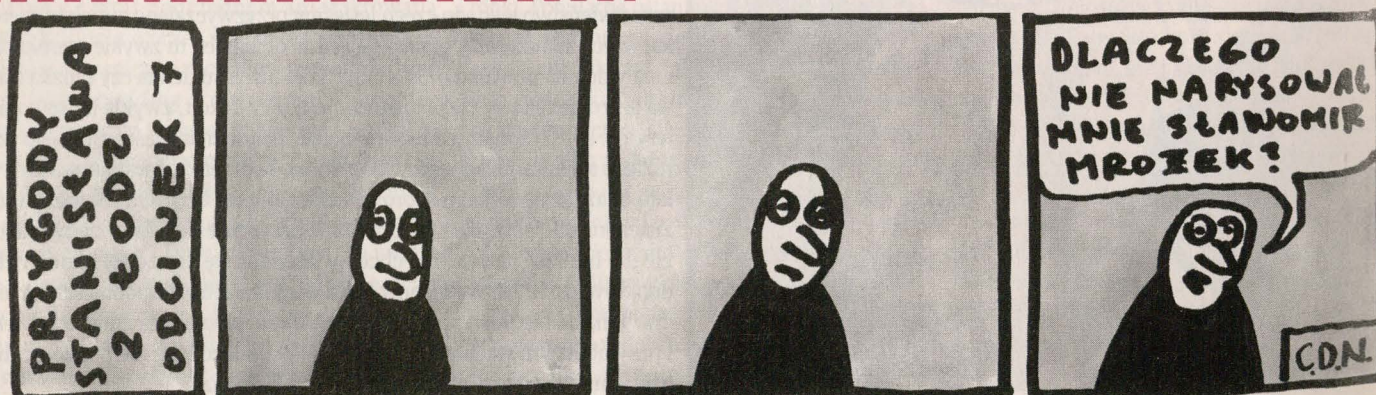
Złośliwi powiedzą, że miała rację. Ja się z tym nie zgadzam. Czy, gdybym miała maturę, zostałabym Hańskiem i Fredrą? Nie. Pisywałabym różne kawałki i twierdziłabym, że jestem satyryczką. Co też ro-

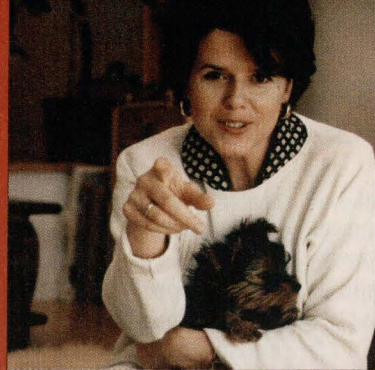


bię, nie mając matury. Można ją mieć albo nie mieć, do wyboru. Zakładam, że ambitni młodzi ludzie spędzają więcej czasu w szkole niż na wagarach, próbując nauczyć się tabliczki mnożenia i odróżniając fizykę od chemii. Profesorowie, którzy mi tak imponują, mieli ambicje i teraz są profesorami. I ich babcie są zadowolone. Ale taki profesor musi uczyć innych, a to jest bardzo ciężki los za bardzo małe pieniądze. Albo musi dokonywać wynalazków, a to jest ryzykowne, bo można niechcący wynaleźć nie to, co trzeba. A ci bez ambicji tłuką kamienie, zakładają firmy albo zostają satyrykami.

To wcale nie jest zły pomysł z tą maturą. W tym roku już nie zdaję, ale za rok spróbuję przystąpić do egzaminu dojrzałości. Może i nie zdam, ale wśród maturzystów niewątpliwie będę najbardziej dojrzała.

Uwaga, Czytelnicy! Stefania Grodzieńska czeka na Państwa pytania. Na autorów publikowanych pytań czekają z kolei nagrody książkowe. Nasz adres: Redakcja „Przekroju”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem „Nie ma głupich pytań”.





FOT. AGMA/FOTUM

Kto mi pomógł

Alicja Resich-Modlińska, człowiek mediów,
w rozmowie z Marią Czubaszek

Nie czuję się ofiarą stresu i ilości pracy

Inne pytania

MARIA CZUBASZEK: Można być, nie bywając?
ALICJA RESICH-MODLIŃSKA: Zależy, kim. Domyślam się, że można być świetną kosmetyczką czy programistką, nie bywając na prestiżowych imprezach, jak premiery, pokazy mody czy bale charytatywne. Ale w przypadku kogoś takiego jak Pani?

– Bywanie należy w dużym stopniu do obowiązków. A jeśli niemal codziennie powinno się gdzieś być, jest to w realizacji męczące i nie zawsze miłe.

Za to zawsze trzeba pamiętać, żeby nie pokazać się w tej samej kreacji?

– Tak mówią.

A co mówią o pokazaniu się z tym samym partnerem?

– Nie jestem pewna, co mówią, ale osobiście uważam, że to bardzo dobre. Pokazać się z tym samym mężczyzną nie tylko dwa razy, ale nawet częściej.

Co może być jednak równie trudne w realizacji jak częste bywanie w ogóle. Bo z badań wynika, że związki bywają coraz krótsze.

– Bywają również i dłuższe.

Ale jedne i drugie kończą się zwykle, jak mawia mój znajomy, nieszczęśliwie. Albo rozstaniem, albo małżeństwem. Co lepsze?

– To się na ogół okazuje po czasie.

Dajmy więc czasowi czas, a sobie spokój z tymi rozważaniami. Pamięta Pani taką piosenkę... „Słaba płeć”...

– „...a jednak najsilniejsza”? Oczywiście.

Okazuje się otóż, że to nie jest tak oczywiste. Lekarze alarmują, że stan zdrowia kobiet, niezależnie od wieku, jest gorszy niż ich rówieśników. Nie jesteście takie silne. Wyniki ostatnich badań są naprawdę niepokojące.

– Ja chyba jestem przykładem na poprzednie badania.

A może przykładem na to, że wyjątki potwierdzają regułę? Że kobiety, zwłaszcza tak zwane przodowniczki pracy kapitalistycznej, swoje ambicje i sukcesy przypłacają zdrowiem?

– Może nie jestem aż taką przodowniczką?

A może nie lubi Pani przepłacać?

– To na pewno! Tak jak nie czuję się ofiarą stresu i ilości pracy.

Jest Pani pewna siebie? Czy zdarza się, że miewa Pani wątpliwości, na przykład „Co ja robię tu”?

– Nie tyle wątpię, co się dziwię. Co ja tutaj robię? O co tu chodzi? To ciągle uczucie dość poważnego zdziwienia i myślę, że zejść z nim z tego świata.

Odrotnie niż ja. Osobiście niczemu już się nie dziwię. Może dlatego, że jestem starsza?

– Myślę, że to nie sprawa wieku. Widziałam starszych od Pani.

Ode mnie?!?

– A mówiła Pani, że nic już Pani nie dziwi. No, więc widziałam dużo starszych od Pani, którzy w chwili śmierci też byli zdziwieni. Dlaczego już? Dlaczego właśnie oni? Będę miała to samo. Tak jak teraz dziwię się, że jestem, że to wszystko funkcjonuje...
To, czyli co?

– Wszystko.

A wierzy Pani, że wszystko jest w naszych rękach?

– Chyba tak. Choć jeśli zdarzają się przyjemne dary losu, zastanawiam się, kto mi pomógł? Jakies aniołki? Bóg, a może mój tata z nieba? To byłoby miłe, ale nie do końca w to wierzę.

Czyli jednak jest Pani kowalem swego losu?

– W każdym razie kuje. Jak mogę. W tym kompletnym zdziwieniu.

Że tyle Pani może?

– Kuć?

Nie o to pytałam, ale zostawmy to. Wierzy Pani, że ludzie się zmieniają?

– Niektórzy. Do pewnego stopnia.

A w układach damsko-męskich, kto kogo bardziej próbuje zmienić?

– Raczej kobieta mężczyznę.

Z czego to się bierze?

– Ze słabości mężczyzn. Stąd wiara kobiety, że uda się jej go zmienić. Ale to wiara beznadziejna.

Mężczyzna nie da się zmienić?

– Jeśli się da, to znaczy, że nie jest mężczyzną. Ale drobne poprawki się udają. Fryzurka trochę bardziej na bok, buty zamiast adidasów, inny krawat...

Diabeł tkwi w szczegółach?

– Kiedy można zmienić tylko drobiazgi, chciałabym w to wierzyć.

W co jeszcze?

– Na przykład, że nasza rozmowa okaże się dowcipna.

No! To byłby najlepszy dowcip!

po opublikowaniu w ostatnim numerze „P” wywiadu z wiceprezesem Zarządu Polskiego Radia otrzymaliśmy drogą elektroniczną list od jednego z autorów wrocławskiego kabaretu Elita. Tego samego dnia odpisał także adresat. Za zgodą autorów publikujemy oba listy.

SZANOWNY PANIE PREZESIE!

Nigdy nie ośmieliłbym się podawać w wątpliwość Pańskich kompetencji, jako mego Sze-fa i wieloletniego radiowego praktyka. Nie pozwala mi na to pracownicza lojalność. Mam jednak moralny obowiązek stanąć w obronie dokonań mego Przyjaciela, Wielkiego Artysty i Wspaniałego Człowieka – Andrzeja Waligórskiego.

W wywiadzie udzielonym Wojciechowi Mannowi („Przekrój” nr 20 z 19.05.2002) stwierdził Pan, cytując: „A gdzie jest ta nowa rozrywka? Ile lat można klęczeć przed znakomitym Andrzejem Waligórskim i jego osiągnięciami”. Otóż wiele lat, Panie Prezesie. Andrzej Waligórski 46 lat temu stworzył i do ostatnich dni kierował Studiem 202, najstarszą audycją satyryczną w Europie, tak jest – w Europie. Poziom audycji pozostawiam do oceny najważniejszemu jury – dziesiątkom, jeśli nie setkom, tysięcy wiernych radiosłuchaczy.

W osłupienie natomiast wprawiła mnie data wywiadu – nieomal dokładnie w 10. rocznicę śmierci Andrzeja.

I jeszcze jedno, groteskowe tym razem, skojarzenie. Nad fragmentem tekstu „Wielu protestujących w obronie starej »Trójki« to przedstawiciele inteligencji po czterdziestce, którzy wychowali się na »Trójce«” (nijak nie rozumiem – to źle, czy jak?), otóż nad fragmentem jak wyżej, umieszczono zdjęcie, na którym trumnę

z logo „Trójki” właśnie, niosą słuchacze. Nie wiem, czy we trójkę mają 40 lat. A twarze, faktycznie, inteligentne.

Domyślam się, jaki ewentualny skutek może mieć dla mnie ten list, ale przyjmę to z pokorą. Już raz wyleciałem z pracy w radiu. W 1982 roku.

Z wyrazami szacunku
STANISŁAW SZELC

Wrocław

SZANOWNY PANIE,

Jestem poruszony Pańskim listem. Tylko proszę nie żartować: byłbym łajdakiem, gdybym miał mściwie reagować na słowa krytyki. Oczywiście, równie niefortunna co niezamierzona była zbieżność ukazania się mego wywiadu z 10. rocznicą śmierci Andrzeja Waligórskiego, ale przecież zdaje Pan sobie sprawę, że oba fakty nie mają ze sobą nic wspólnego. Może nie wyraziłem się dość precyzyjnie, niemniej była to żywa, dynamiczna rozmowa z kimś takim jak Wojciech Mann, a cel tego fragmentu był czytelny.

Zadając pytanie: „Ile lat można klęczeć przed znakomitym Andrzejem Waligórskim i jego osiągnięciami?” nie pomniejszam znaczenia – podkreślam – ZNAKOMITEGO twórcy, ale apeluję o tworzenie też NOWEJ satyry i kabaretu, odnoszących się nie do „wczoraj”, lecz do „dzisiaj”. Nie mamy z czego się śmiać, co wydrwić? Już słyszę na antenie tego zachęcające początki – pojawił się nowy program zdolnego i świetnie się orientującego w branży Artura Andrusa, pojawiły się codzienne komentarze satyryczne Marcina Wolskiego. Mam nadzieję, że to tylko początek.

Trzeba wracać do najlepszych osiągnięć z przeszłości, z których „Trójka” może być

dumna, do Waligórskiego, ale też i do Kofty (PR wydaje płyty), Kabaretu pod Egidą Pietrzaka, Piwnicy pod Baranami, STS-u, Teatru STU itd., itd. Przed wszystkim „Trójka” musi się jednak skupić na nowej twórczości, albowiem język, nastroje i kulturowe punkty odniesienia sprzed lat są często niezrozumiałe dla ogromnej większości młodszych słuchaczy. Dlaczego „Przekrój” poszukuje dla siebie nowej formuły, a nie kulturowe wyłącznie przeszłe, dobrze znane osiągnięcia? Bo otoczenie i zainteresowania odbiorców się zmieniły!

A my nie budujemy pomnika kogokolwiek – my mamy robić dobre, skuteczne radio dla wielu pokoleń, „Trójka” ma się przede wszystkim skupić na grupie wiekowej 20-40 lat, to znaczy na ludziach, których znakomita większość z twórczością prawdziwie znakomitego Andrzeja Waligórskiego zapoznać się mogła tylko, i to okazjonalnie, na antenie Programu III.

Rzeczywiście, młode i inteligentne są twarze kilku osób niosących trumnę, ale proszę się nie odwoływać do grona miłośników pewnej koncepcji jednego z programów Polskiego Radia, jakkolwiek kochanego, skoro każdych 15 minut „Trójki” słucha obecnie kilkaset tysięcy odbiorców. Nie ma najmniejszego powodu, byśmy nie darzyli wszystkich słuchaczy jednakowym szacunkiem i równocześnie nie myśleli o potencjalnych nowych, też inteligentnych słuchaczach.

Proszę przyjąć moje pospiesznie skreślone uwagi jako wyraz szacunku do Pana i do tro-ski, jaką Pan przejawia o to, co stanowi trwałą wartość w dorobku Programu III.

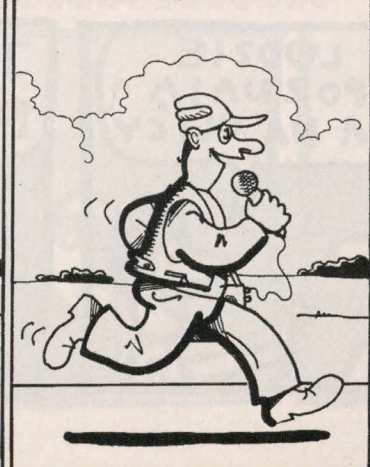
Z wyrazami szacunku
EUGENIUSZ SMOLAR
wiceprezes Zarządu Polskiego Radia SA

„REDAKTOR WSZĘDOBYLSKI” — ANDRZEJ MLECZKO.

W DZISIEJSZYCH CZASACH DOBRY REPORTER MUSI BYĆ BARDZO DOCIEKLIWY



A ZARAZEM BĘSKAWICZNIE PRZEMIESZCZAĆ SIĘ Z MIEJSCA NA MIEJSCE



OCZYWIŚCIE MOŻE SIĘ ZDARZYĆ, ŻE DOCIEKLIWOŚĆ OKAZUJE SIĘ ZBYT DUŻA, A TEMPÓ PRZEMIESZCZANIA ZBYT SZYBKIE.



PRZEKRÓJ

Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor MARIAN EILE

REDAKTOR NACZELNY:

Roman Kurkiewicz

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO:

Jacek Kowalczyk

ASYSTENTKA REDAKTORÓW NACZELNYCH:

Maria Świetlik

SEKRETARZE REDAKCJI:

Magda Bauman (szef), Ewa Biała, Magda Gędziorowska

KULTURA:

Manana Chyb (szef), Bogna Świątkowska (z-ca), Marcin Baran, Paweł Dunin-Wasowicz, Joanna Gromek Illg, Leszek Mazan, Tadeusz Nyczek, Magda Papuzińska, Marcin Sendek, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA:

Dariusz Rosiak (szef), Małgorzata Fiejdasz, Agnieszka Litorowicz-Siebert, Filip Łobodziński, Wojciech Maziarski, Jakub Mielnik, Magda Papuzińska, Wawrzyniec Smoczyński, Kazimierz Targosz, Anna Tarnowska, Michał Wójcik

REPORTAŻ:

Monika Piątkowska, Leszek Talko (szefowie), Marcel Andino Velez

NAUKA:

Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA:

Paweł Sito (szef)

PRACOWNIA GRAFICZNA:

Piotr Gidlewski (szef), Łukasz Dziedzic, Maria Klich, Dos Dominos

FOTODYDZIA:

Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański, Bogdan Krężel (fotograf)

KOREKTA:

Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej

ARCHIWUM:

Wanda Lacrampe

PRODUKCJA:

Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY:

Alan Jawor

ADRES REDAKCJI:

ul. Wiejska 12a, V p., 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 584 25 25, faks (0-prefiks-22) 628 86 32 e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA:

Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 584 22 00, faks (0-prefiks-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:

Zbigniew Napierała

WICEPREZES:

Krystyna Kaszuba

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:

Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:

Paweł Satkowski

DYREKTOR WYDAWNICZY:

Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU:

Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:

Agnieszka Smit

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:

Elżbieta i Bogdan Zochowscy

DYREKTOR PUBLIC RELATIONS:

Katarzyna Bem

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:

tel. (0-prefiks-22) 584 22 28, Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:

Marcin Fedisz (kierownik), Agata Obrębska

BIURO REKLAMY:

Agata Eigner – dyrektor, Maciej Stożek, Bartek Kluczyński, Adrianna Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków) Warszawa, ul. Wiejska 19, tel. (0-prefiks-22) 584 22 94 faks (0-prefiks-22) 584 22 98

DRUK:

Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła, tel. (0-prefiks-67) 210 84 00

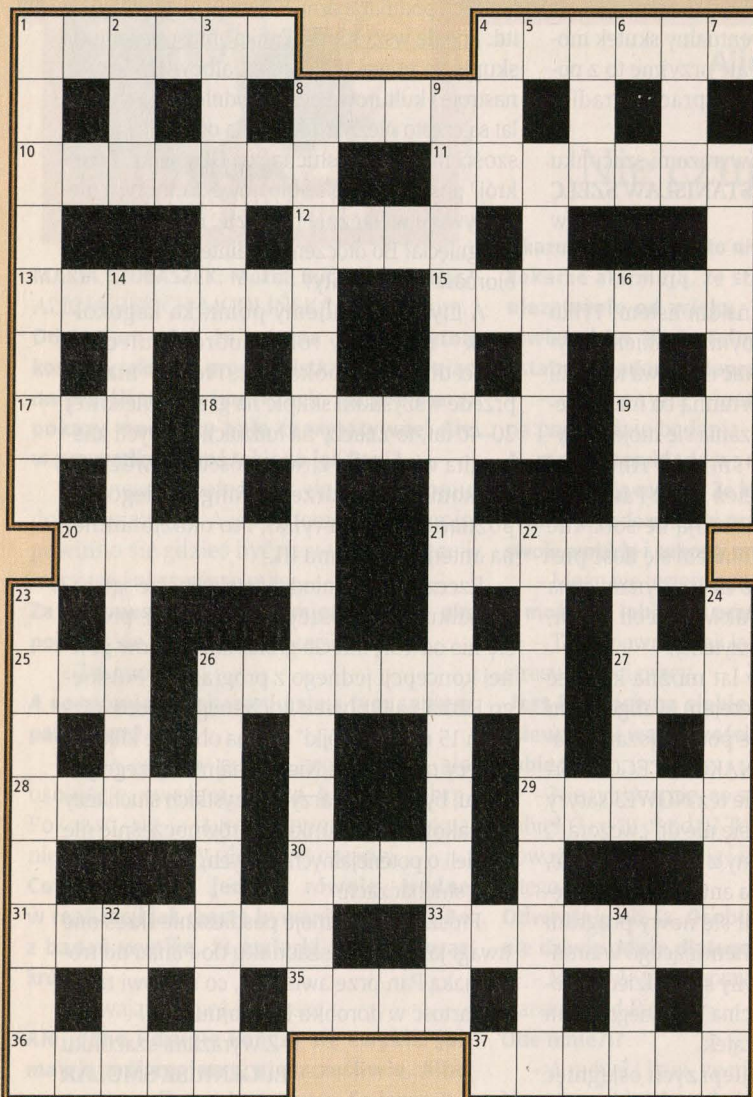
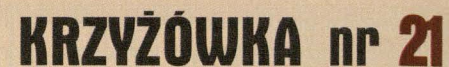
PRENUMERATA:

u Wydawcy Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska, tel. (0-prefiks-22) 584 22 29 lub 584 22 30 faks (0-prefiks-22) 584 22 32

przez pocztę przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe na terenie całego kraju

przez Ruch SA informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31, faks (0-prefiks-22) 532 87 32

Zabroniona jest bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych „Przekroju” po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż po cenie innej niż wydrukowana jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością prawną. Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótnów w nadesłanych artykułach i listach.



1 nieboszcza
4 opłakany
8 z kurkiem, ale nie na dachu
10 siostra polska
11 zajmą się wnętrzem, choć nie
psychologowie
12 na górze
13 syn Zygmunta i Frydy
15 chwali swój tył
17 karciany polonez
18 Aidakoel w lustrze ładnie wygląda
19 gad dla elegantek
20 rolnikowi stoi w polu
21 między Aocją i Beocją
25 w talii albo grając talią
26 „Szpilki” dla ubogich
27 po dorobku
28 świećcie oczko krakowianki
29 milczenia, choć w nazwie jakby
mówienia
30 mebel lub samochód
31 żółte w sklepach za czerwonych
33 znak graficzny
35 swoje lub mobilne

1 w sweterku nawet latem
2 smutku lub szczęścia
3 efekcik donosiku do NIK-u
5 jak kula u nogi
6 kawał zwierza
7 to nie Kraków w indiańskim
narzecz, to wulkan między
Sumatrą a Jawą
8 no, po prostu serce kraje
9 zdarza się wśród bliźniaków
14 Grzegorz Piskowcy
16 zdradzenie puenty – dla dowcipa
22 pocałunek meduzy
23 gotowy lek
24 społecznik z lufami
26 członek kapituły doścoła
32 ból w częściach dolno-tylnych
34 Białej szukaj w stopecie

Poziomo: 1. maciejka 4. Dionizos
8. rura 9. jemiota 11. piec 12. hipopotam 15. kalorie 16. aster 18. trofeum 20. mitynki 21. płyta 22. parasol 23. inercja 25. igloo 27. hulanka
29. Czarnolas 31. fozy 32. szparag
34. neon 35. kwadrans 36. emervtka

Pionowo: 1. Marchoń 2. chrapy
3. jajko 4. dno 5. obawa 6. zwierzy-
niec 7. soczewki 10. immatrykula-
cja 13. przepisy 14. trampolina
15. karmaniola 17. Strzelin 19. opa-
rzelizna 22. pachotek 24. Abisynia
26. klient 28. kasza 30. regle 33. pas

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 15 nagrody wylosowali:
Magdalena Nawrot, Starachowice; Krzysztof Pietrzak, Kalisz;
Helena Sabarańska, Chełm; Barbara Tresenberg, Katowice;
Janusz Wwiątek, Nowy Tomów. Gratulujemy!

Logicznie rzecz biorąc

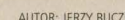
Na każdej z kartek było sto zdań.

Jeśli auto wyruszyło z firmy prezesa. Dokładnego o tej samej godzinie co zwykle, a on sam wkroczył do gabinetu 10 minut wcześniej niż zwykle, to oznacza, że jazda auta w obie strony trwała 10 minut krócej niż zwykle. Zatem w jedną stronę auto jechało 5 minut krócej niż zwykle. Jeśli zatem auto jechało po prezesa 5 minut krócej niż zwykle, to znaczy, że prezes wsiadł do auta 5 minut wcześniej niż zwykle. A ponieważ prezes wyszedł z domu godzinę wcześniej niż zwykle, więc szedł na piechotę $60 - 5 = 55$ minut.

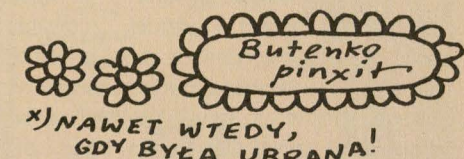
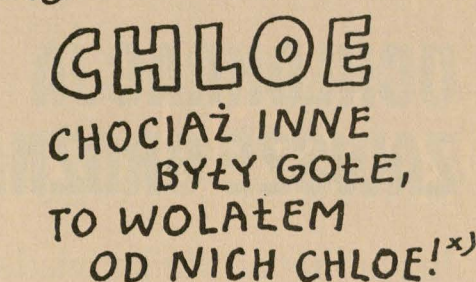
Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

- przyjęcie u Mołotowa
- degnie się jak każdy dzień z piosenki
- z nim kręci się fresk
- stara wierzba go nie zatuszuje
- prawdziwy horror dla słabego ucznia
- rezerwowa rezerwa
- kartoflana serpentyna • z PL na oplu
- kamawafowa podłoga

• stolarz w innym niż kowal • ujada
w logarytmie i pogardzie • rzymski bóg
kanału Romantica • i święty spokój ma
swoja



Za poprawne rozwiązanie jolki nr 16 nagrody wylosowali: Lidia Bizewska, Wejherowo; Joanna Gołoszewska, Łódź; Ewa Kamińska, Poznań; Andrzej Kozarzewski, Pułtusk; Aleksandra Pogorlecka, Wrocław; Gratulujemy!



Nasz adres: „Przekrój”,
ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa,
z dopiskiem **Jolka 21** lub **Krzyżówka 21.**



OCHLOKRACJA ZAWSZE GROŻNA

Już od ponad stu lat wiadomo, że przywódczy prymitywizm umie rozpalić czczymi słowami ludzkie nadzieje i sprowadzać całe narody na manowce

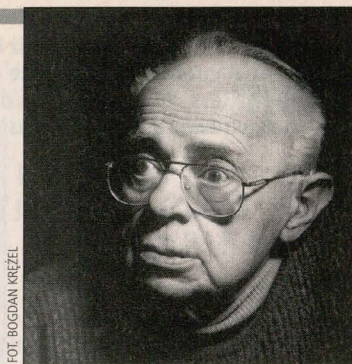
Dawno temu, bo jeszcze w roku 1895, uczony francuski Gustave Le Bon opublikował książkę pod tytułem „Psychologia mas”. Przedstawił w niej, bodajże po raz pierwszy, niezmiennie powtarzający się w historii fenomen swobodnego roztopiania się poszczególnych indywidualności w ludzkiej masie. Ukazał na przykładach, zaczerpniętych zwłaszcza z rewolucji francuskiej, w jaki sposób powstają stadne zrywy zbiorowości ludzkiej, w jak niezwykle mierze górują w nich emocje nad rozumem, jak bardzo nieuchronnie przekształca się dowolna prawie jednostka, bez względu na jej wykształcenie i pochodzenie, w atom zbiorowego ruchu, który może zarówno niszczyć, jak dążyć ku jakimś ideałom.

Le Bon przekonująco udowodnił jednak, na podstawie bogatego materiału faktograficznego, że uruchomione masy w zasadzie działają destrukcyjnie, niszcząco i gwałtownie. Typowe dla poszczególnych osobowości hamulce moralne roztopiają się niejako w burzy namietności, która zdaje się całkowicie zwalniać człowieka z tłumy od osobistej odpowiedzialności za czyny, ponieważ staje się on tylko anonimowym elementem.

Psycholog francuski zajął się też ukazaniem okoliczności, w jakich powstają, zdobywają szacunek, prestiż oraz sławę przywódcy mas. Podkreślał i ukazywał,

że taki lider niejako sam sobie nadaje autorytet, zwracając się do potencjalnych zwolenników w sposób prosty i kategoryczny, apelując do ich oczekiwań i grając przede wszystkim na negatywnych emocjach słuchaczy. Przywódca taki nie argumentuje za pomocą rozumowania logicznego, nie ukazuje konkretnych dowodów przeciwko tym, których piętnuje, lecz głosi swoje orzeczenia oszczercze, brutalne, oczerniające, oświadcza, iż posiada konkretne dane, ujawniające przestępcze czynności przeciwników, ponadto zaś rzuca liczne hasła oraz obietnice, zapewniając, jak wspólnie nagrodzeni będą ci, którzy za nim pójdą.

Le Bon rozróżniał dwie kategorie przywódców mas. Po jednej stronie dostrzegał apostołów,



FOT. BOGDAN KRZEL

Co Pan na to,
Panie LEM?

natchnionych religijnie idealistów, wybitnych mówców; po drugiej natomiast postaci mniejszego kalibru, które posługują się retoryką arogancji, nieustannie wysiłonych powtórzeń, pomówień, oszczerstw, dzięki czemu mobilizują i kierują w pożądaną przez siebie stronę gniew albo zawiść tłuszczy. Przywódcy tego drugiego rodzaju są historycznie bardziej ułomni, niejako tymczasowi, ponieważ wielokrotnie zdarzało się w dziejach, że potrafili równie szybko zdobyć prestiż i zaufanie, jak potem je utracić, aby zniknąć z politycznej sceny.

Praca Le Bona była jedną z pierwszych prób ukazania roli, którą w pewnych okolicznościach odgrywają masy dochodzące do władzy. Władzę tłumy nazywamy i dzisiaj ochlokracją. Może ona w sposób paradoksalny, lecz prawdziwy, zmierzać ku krótko triumfującej wzniosłości, moralnie ponadprzeciętnej, jak i wyżywać się w morderczych szalach. W taki sposób masy ludzkie poruszają się w skrajni pomiędzy anarchią i zniewoleniem. Francuski psycholog twierdził, że łagodnych, dobrze im życzących władców masy lekceważą, mając ich

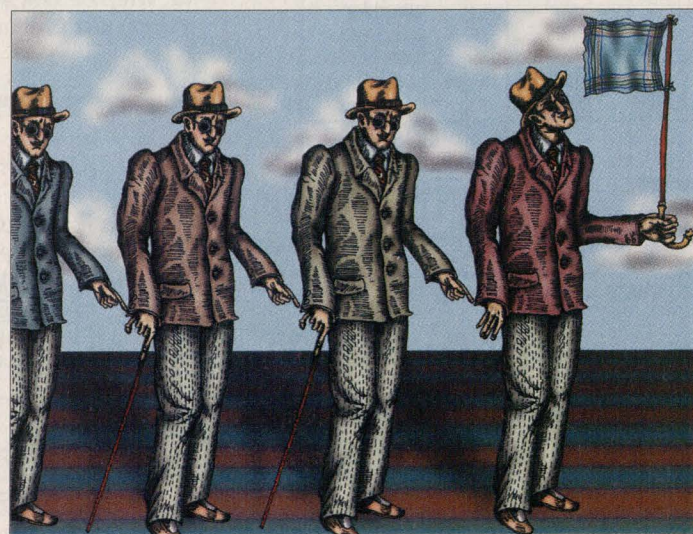
za słabych. Natomiast łatwo padają łupem tyranów, którym długo pozostają wierne i wznowią pomniki chwały.

Kiedy streszczam, bardzo łaconicznie zresztą, pracę Le Bona, którą nabyłem w niemieckim tłumaczeniu, nie mogę pominąć wstępu, napisanego przez profesora Walthera Moede. Uczony ów dłuższe wywody na temat dezaktualizacji „Psychologii mas” zamknął akapitem, w którym zapewnił, że pesymistyczne mniemanie Le Bona o słabości i zmienności drzemącej w masach zostało ostatecznie obalone. Przekreśliła je nowa epoka w historii Niemiec, stanowiąca najpotężniejszy dowód, iż istnieć może masowy ruch powołujący naród pełen najwyższych wartości, na którego czele staje odpowiedzialny za swoją historyczną misję Führer, uosabiający niezmiennie moce rasy, krwi i ojczyzny. Nie sądzę, ażeby przypadkowa była data, jaką autor tej przedmowy umieścił pod swoim tekstem – a mianowicie lato roku trzydziestego ósmego w Berlinie.

Zachwyty nad promienną przyszłością, ku jakiej Führer prowadzi Niemcy, stanowią prawdziwy wzorec czarnego humoru, ponieważ przedmowa książkę o gotowej się ujawnić nikczemności mas ludzkich skrytykował na przedprożu katastrofy, w jaką Trzecia Rzesza Hitlera obróciła Europę i część Eurazji.

Nie wiem, czy warto dodawać, że książka Le Bona pozostała aktualna i że ukazany w niej przywódczy prymitywizm, który umie rozpalić czczymi słowami ludzkie nadzieje, nadal może odegrać niepoślednią rolę, sprowadzając całe narody na manowce.

STANISŁAW LEM
14 maja 2002



RYS. DMITRI SZEWKOW-KISIELIOW

Maksymilian Kolbe

Święty, który oddał życie za bliźniego

Odcinek 29 (4) św. Maksymilian cena 4,29 zł (zawiera VAT 0%)

Jan Paweł II KOLEKCJA

NIEZWYKŁE HISTORIE LUDZI WIARY

Księga Świętych

REPORTAŻ Z NIEPOKALANÓW – JAPONSKI NIEPOKALANÓW

REPORTAŻ Z NIEPOKALANÓW – NASTĘPCY ŚW. MAKSYMILIANA

ZŁOŻENIA BRAT Cyprian – SPORTOWIEC I FOTOGRAF

MODLITWA ZA EUROPE
O GROBU ŚW. WOJCIECHA

POWĄDZ: SYMPOZJUM O ŚW. JÓZEFIE W KALISZU

Maksymilian Kolbe
Męczennik Oświęcimia

Odcinek 29 (4) św. Maksymilian

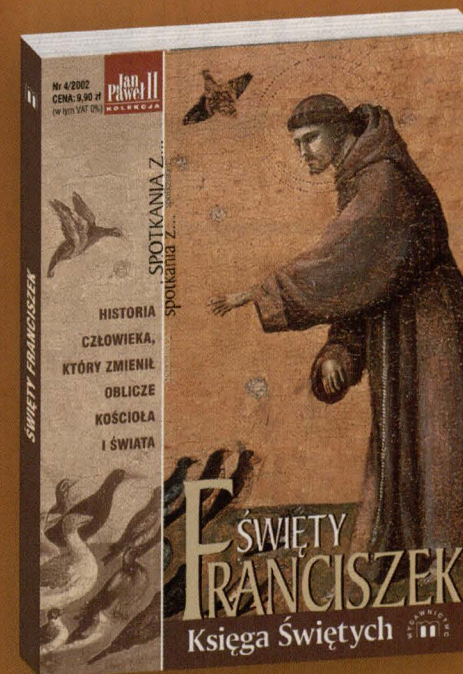
Maksymilian Maria Kolbe Oddał życie za brata

W tym numerze: Maksymilian Kolbe, który oddał życie za brata, w Oświęcimiu. Jak to możliwe, że syn zamożnego kupca, z własnej woli został żebrakiem? Dlaczego Jego życie i działalność wywarły tak potężny wpływ na losy chrześcijaństwa i całej ludzkości? Dlaczego od ponad 800 lat Franciszek pociąga i fascynuje rzesze ludzi?

Fakty

W tym numerze: Maksymilian Kolbe, który oddał życie za brata, w Oświęcimiu. Jak to możliwe, że syn zamożnego kupca, z własnej woli został żebrakiem? Dlaczego Jego życie i działalność wywarły tak potężny wpływ na losy chrześcijaństwa i całej ludzkości? Dlaczego od ponad 800 lat Franciszek pociąga i fascynuje rzesze ludzi?

Księga Świętych poleca:



Jak to możliwe, że syn zamożnego kupca, z własnej woli został żebrakiem?

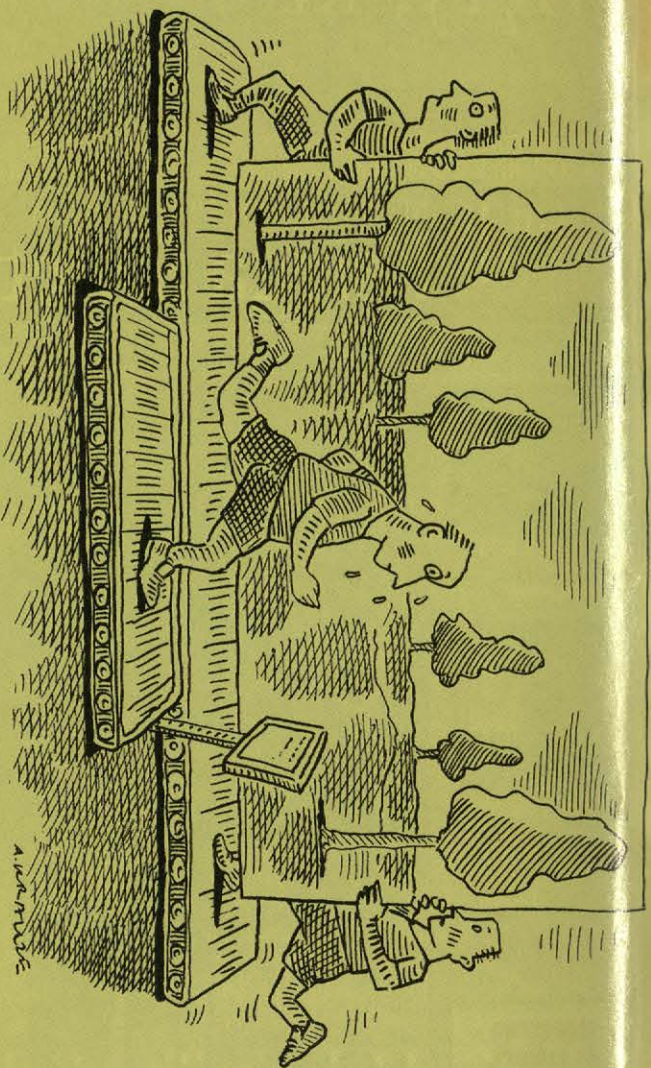
Dlaczego Jego życie i działalność wywarły tak potężny wpływ na losy chrześcijaństwa i całej ludzkości?

Dlaczego od ponad 800 lat Franciszek pociąga i fascynuje rzesze ludzi?

Najnowszy numer i książka już w kioskach!

MAJSTRO

W FILMIE



Rys. ANDRZEJ KRAUZE

ARTOR ANDROS
Wiersz o ważnych pytaniach, które towarzyszyły autorowi podczas trwającej cztery dni emigracji w Szwecji

Niech mi tylko Szwedzka Ulica
Nie odpowie Północnym Chłodem...

Pytam: Ile z blasku księżyc
Emigruje razem z Narodem?

Które wiatry do nas należą
Zagubionych w zamorskiej dali?
Czy są, jeszcze tacy, co wierzą
W święte prawo do morskiej fali?

Czy po skandynawskich uliczkach
Wienien chodzić Polak-Katolik?
Czy została we mnie Włeczka?
Ile we mnie z Włeczki soli?

Dokąd gnam z podróżną torbą
Przyjaćielko Pomiewerko?
Ile tu kosztuje volvo
Ze skórzaną tapicerką?



Dziewieczyna
przedzej się
odda,
niż podda.

Bardziej
niż wroga
mężczyzna
boi się
śmieszności.

KINOTEATRZYK
P. JURKA

Gulezas,
a jak myślisz...

Występują:
JERZY GRUZA
CHOR KRYTYKÓW
„BIG BROTHER”
FAN CLUB
MONIKA SEWIOŁO

JERZY GRUZA:
(nie ma wstydu
oraz skrupułów)
CHOR KRYTYKÓW:
(sam wie, co ma my-
śleć, więc to wyraża)
„BIG BROTHER”
FAN CLUB:
(jest zachwycony)
MONIKA SEWIOŁO:
(jest gwiazdą)

KURTYNA:
(jest miejscami
dziurawa)

TOFOTOFOTOFOTO



FOT. FPM

TEMAT
NA CZASIE

W folderze „Wakacje na Warmii i Mazurach 2002” gmina Bisztynek zachęca turystów.

„Szczególnie polecamy (...) kościół św. Michała”. N a t o m i a s t „Kurier Lubelski” z 27 kwietnia zamieszcza ogłoszenie szpitala neuro-psychiatrycznego, który rozpisal

„nieograniczonego przetrwania na kościół parowy”. Oto many oście-porożę w metalizycznej saunie.

(Nadesłał: Iwona Sz. z Krynicy oraz Barbara Korczyńska-Zuk z Łęcznej)

HUMOR
ZESZYTOWY
SZKOLNYCH

Pan Muszalski stał na murach Kamienica Podolskiego i posyłał z tuku śmiercionośne strzały, nując przy tym do wtrutu.

Przywódcą rebelii chłopskiej w Galicji był Jakub o pseudonimie Szeina.

Ajchyllos, Sofokles i Eurypides byli twórcami tragedii autentycznej.

Ostatnią fazą baroku był styl zwany rokoko.

Przy skoku sportowcy odbijają się z jednej nogi, obunóż albo tyczką.

HE!

Pewien żółw był takim krótkowidzem, że zakochał się w żołnierskim hełmie.

ŚWIECIE NASZ

„Super TV” nr 14/2002 informuje o meczu Wisła Kraków-Orlen Płock. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że spotkanie odbyło się w ramach „półfinału Pucharu Świata”.

Może chodziło o Puchar Miasta Świecie nad Wisłą? (Nadesłał: Tadeusz Kułej z Bełżyna)

Z GŁOWY...

Chcesz zasnąć – nie budź wspomnień.

... KRZYSZTOFA
BILIŃCY

MŁOSIERDZIE GMINY

„Życie” z 18 kwietnia w dziale „Ogłoszenia sądowe” zamieszcza postanowienie Sądu Rejonowego w Bydgoszczy, który „prowadzi postępowanie o stwierdzenie nabycia spodka po Romualdzie B.”.

A co z filiżanką? (Nadesłała: Marcela Kleczkowska z Trybunin)